

MELISSA DE LA CRUZ

Błękitnokrwisći

Tom I

TŁUMACZENIE

MAŁOGORZATA KACZAROWSKA

Jaguar

Rodzina nie jest po prostu sumą powiązań, tworzących wielką, rozległą sieć relacji... rodzina... to nazwisko, materialne i symboliczne dziedzictwo, rodzaj udziałów w Ameryce, opisujące w całości pochodzenie, przeszłość, teraźniejszość i przyszłość.

- Eric Homberger, *Mrs. Astor's New York*

You can't push it underground

You can't stop it screaming out

How did it come to this?

You will suck the life out of me...

- Muse, *Time Is Running Out*

*Książkę dedykuję mojemu ojcu, Bertowi de la Cruz
w którego żyłach płynie najprawdziwsza błękitna krew,
krew bohaterów.*

*Książka nie powstałaby bez miłości, wsparcia,
wnikliwości i inteligencji mojego męża, Mike'a Johnsona,
któremu wszystko zawdzięczam.*

Sto dwie osoby przybyły do Ameryki na pokładzie statku „Mayflower” w listopadzie 1620, ale tylko niespełna połowa z nich dożyła założenia kolonii w Plymouth w następnym roku. Chociaż nikt nie zmarł w czasie podróży przez ocean, życie w Nowym wiecie okazało się niezwykle trudne, szczególnie dla najmłodszych. Śmierć zbierała żniwo głównie wśród tych, którzy nie skończyli jeszcze szesnastu lat.

Tak wysoka śmiertelność spowodowana była z jednej strony ostrą zimą, z drugiej zaś tym, że podczas gdy mężczyźni przebywali na świeżym powietrzu, budując domy i pijąc czystą wodę, kobiety i dzieci pozostawały w wilgotnym, zatłoczonym wnętrzu statku przez dodatkowe cztery miesiące, czekając na wzniesienie budynków mieszkalnych i gospodarczych. Młodzi purytanie zwyczajowo opiekowali się chorymi, co zwiększało ich podatność na wiele chorób, w tym śmiertelną chorobę krwi, która w dokumentach historycznych

była nazywana „wysuszeniem”.

Myles Standish został wybrany na gubernatora kolonii w roku 1622 i piastował ten urząd przez trzydzieści rocznych kadencji. Z żoną Rose mieli czternaścioro dzieci, i co godne odnotowania, było to siedem par bliźniąt. Niezwykły splot wydarzeń sprawił, że w ciągu kilku lat liczebność kolonii podwoiła się, ponieważ we wszystkich ocalałych rodzinach pojawiły się ciężce mnogie.

Śmierć i życie w kolonii Plymouth (1620 - 1641),

prof. Lawrence Winslow Van Alen

Dziennik Catherine Carver
21 listopada 1620 r.
Na pokładzie „Mayflower”

Zima okazała się niezwykle trudna. Pobyt na morzu nie służył Johnowi, dodatkowo dokuczają chłód. Być może znajdziemy wytchnienie na nowej ziemi, chociaż wielu uważa, że nie uciekniemy przed niebezpieczeństwem. Brzeg za oknami przypomina Southampton i wdzięczna za to jestem losowi. Zawsze będę tęsknić za ojczyzną, ale nasz rodzaj nie był tam bezpieczny. Nie wierzę w prognozy, ale muszę postąpić, jak mi polecono. Tak zawsze czyniliśmy. John i ja podróżujemy teraz jako mąż i żona. Planujemy pobrać się wkrótce. Jest nas zbyt mało garstka i potrzeba by było nas więcej, jeśli mamy przetrwać. Być może wreszcie los się odmieni. Być może szczęście uśmiechnie się do ocalałych i nasze położenie się poprawi. Statek przybił do brzegu. Dotarliśmy na miejsce. Oczekuje nas Nowy Świat!

- C.C.

Nowy Jork



Teraźniejszość

JEDEN

Klub The Bank mieścił się w zniszczonym, kamiennym budynku na końcu Houston Street, na ostatnim skrzyżowaniu między pylistym East Village a dziczą Lower East Side. Gmach, niegdyś główna siedziba szacownego domu inwestycyjnego i maklerskiego Van Alenów, imponował przysadzistą, klasyczną bryłą, sześciokolumnową fasadą i onieśmielającymi żłobieniami - ostrym ząbkowaniem, pokrywającym

powierzchnię frontonu. Przez wiele lat stał opuszczony, pusty i zdewastowany na rogu Houston i Essex, aż pewnego zimowego wieczora noszący opaskę na oku sponsor nocnych klubów przechodził tamtędy po skonsumowaniu hot doga w Katz's Deli. Poszukiwał miejsca, w którym mógłby zaprezentować nową muzykę tworzoną przez jego didżejów - mroczne, przejmujące brzmienia „trance”.

Pulsująca muzyka wylewała się teraz na chodnik, gdzie Schuyler Van Alen, drobna, kruczowłosa piętnastolatka o intensywnie niebieskich oczach podkreślonych ciemnym cieniem do powiek, czekała nerwowo na końcu kolejki przed wejściem. Zeskubywała z paznokci odpryskujący czarny lakier.

- Naprawdę myślisz, że nas wpuszczą? - zapytała.

- Spoko. - Jej najlepszy przyjaciel, Oliver Hazard - Perry, uniósł brwi. - Dylan mówił, że to łatwizna. Poza tym zawsze możemy pokazać im tę tablicę. W końcu to twoja rodzina wybudowała ten dom, nie? - wyszczerzył zęby.

- I co jeszcze? - Schuyler uśmiechnęła się, przewracając oczami. O ile wiedziała, była spokrewniona z muzeum Ficka, Van Wyck Expressway i Hayden Planetarium, plus minus jedna czy dwie instytucje (lub arterie). Wyspa Manhattan była nierozzerwalnie połączona z historią jej rodziny. Nie sprawiało jej to większej różnicy. Pieniędzy miała zaledwie tyle, by starczyło na pokrycie dwudziestopięciodolarowej opłaty za wstęp do klubu.

Oliver z czułością objął przyjaciółkę ramieniem.

- Nie martw się! Za bardzo się przejmujesz. Będzie fajnie, obiecuję.

- Wolalabym, żeby Dylan na nas zaczekał - denerwowała się Schuyler, drżąc z zimna w długim, czarnym, zapinanym swetrze z wycięciami na ramionach. Wyszperata go tydzień wcześniej w tanim sklepie Manhattan Valley. Sweter pachniał stęchlizną i zwietrzałą wodą różaną, a drobna sylwetka Schuyler ginęła w jego obfitych fałdach. Zawsze wyglądała, jakby tonęła w tkaninach. Czarny sweter sięgał jej prawie do łokci. Pod spodem miała jednolicie czarny T-shirt, włożony na znoszony, szary, ciepły podkoszulek. Lamówka zamiatającej chodnik cygańskiej spódnicy, była czarna jak u dziewiętnastowiecznej ulicznicy. Nosila ulubione czarno-białe tenisówki Jacka Purcella, z otworem na czubku. Ciemne, falujące włosy zebrała do tyłu i związała ozdobioną szarfą, którą znalazła w szafie babki.

Zachwycająca uroda Schuyler, jej słodka twarz w kształcie serca, lekko zadarty nosek i delikatna, mleczna skóra kryły w sobie coś niemal eterycznego. Przywodziła na myśl dreźnieńską lalkę w stroju czarownicy. Dzieciaki w Duchesne uważały, że ubiera się jak menelka. Wyjątkowo nieśmiała i zamknięta w sobie, została niestusznie uznana za zarozumiałą, podczas gdy była po prostu trochę wycofana.

Oliver, wysoki i szczupły, o przystojnej elfie twarzy, obramowanej szopą intensywnie kasztanowych włosów, wystających kościach policzkowych i życzliwych, brązowych oczach nosił prosty, wojskowy płaszcz, narzucony na flanelową koszulę i postrzępione niebieskie dżinsy. Oczywiście koszula była od Johna Varvatos, a dżinsy marki Citizens of Humanity. Oliver uwielbiał grać rolę zbuntowanego nastolatka, ale jeszcze bardziej uwielbiał zakupy w Soho.

Byli najlepszymi przyjaciółmi od drugiej klasy, kiedy opiekunka pewnego dnia zapomniała zapakować Schuyler drugie śniadanie, a Oliver oddał jej pół swojej kanapki z sałatą i majonezem. Kończyli

nawzajem swoje wypowiedzi, a kiedy byli znudzeni, lubili czytać głośno przypadkowe strony z *Infinite Jest*. Oboje chodzili do Duchesne ze względu na swój rodowód, który wywodzili od osadników z „Mayflower”. Drzewo genealogiczne Schuyler liczyło sześciu prezydentów USA. Ale nawet z takim pochodzeniem nie pasowali do Duchesne. Oliver wołał muzea od lacrosse’a, a Schuyler nie odwiedzała fryzjerów i kupowała ubrania w sklepach wysyłkowych.

Dylan Ward - chłopak o smutnej twarzy, długich rzęsach, przenikliwych oczach i marnej reputacji - dołączył do nich niedawno. Podobno był notowany przez policję i właśnie został wyrzucony ze szkoły wojskowej. Mówiło się, że jego dziadek ufundował Duchesne nową salę gimnastyczną, żeby Dylan mógł zostać przyjęty. Szybko dołączył do Schuyler i Olivera, wyczuwając w nich pokrewne dusze.

Schuyler przygryzła policzek i poczuła uczucie niepokoju w żołądku. Najlepiej byłoby po prostu siedzieć jak zwykle w pokoju Olivera, słuchać muzyki i oglądać filmy na jego TiVo. Oliver odpalałby kolejną rundę Vice City na podzielonym ekranie, a ona, kartkując błyszczące magazyny, marzyłaby o tym, że pewnego dnia będzie wylegiwać się na dmuchanym materacu na plażach Sardynii, tańczyć flamenco w Madrycie, albo wędrować w zadumie ulicami Bombaju.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł. - Miała wrażenie, że wołałaby znaleźć się powrotem w przytulnym pokoju, a nie dygotać na chodniku, zastanawiając się, czy zostanie wpuszczona do klubu.

- Nie myśl tak negatywnie - skarcił ją Oliver. Porzucenie wygodnego pokoju i wyruszenie na podbój nocnego Nowego Jorku było jego pomysłem i nie zamierzał żałować swojej decyzji. - Jeśli będziesz myśleć, że nas wpuszczą, to nas wpuszczą. Pewność siebie to klucz do

wszystkiego, serio. - W tym momencie zadzwieczał jego smartfon BlackBerry. Wyciągnął go z kieszeni i spojrzął na ekran. - To Dylan. Jest w środku, spotkamy się z nim przy oknie, na drugim piętrze.

- Na pewno dobrze wyglądam? - zapytała Schuyler, nagle nabierając wątpliwości co do swojego stroju.

- Wyglądasz świetnie - odpowiedział automatycznie, wystukując odpowiedź. - Po prostu rewelacja.

- Nawet na mnie nie spojrzales.

- Patrzę na ciebie codziennie - roześmiał się Oliver. Napotkał jej spojrzenie i nietypowo dla siebie zarumienił się, odwracając wzrok. BlackBerry znowu zapiszczał i tym razem Oliver przeprosił ją, odchodząc na bok, żeby odebrać.

Po drugiej stronie ulicy Schuyler kątem oka dostrzegła podjeżdżającą do krawężnika taksówkę, z której wysiadł wysoki, jasnowłosy chłopak. W tym samym momencie inna taksówka wystrzeliła zza rogu, jadąc w przeciwnym kierunku. Skręciła gwałtownie i wyglądało, że ominie stojącego, ale w ostatniej chwili chłopak rzucił się pod nadjeżdżające auto, znikając pod kołami. Taksówka nie zatrzymała się, odjechała, jakby nic się nie stało.

- O Boże! - krzyknęła Schuyler.

Chłopak został potrącony - widziała to - został przejechany, na pewno nie żył.

- Widzieliście? - zapytała, gorączkowo rozglądając się za Oliverem, który gdzieś się rozplynął. Przebiegła przez ulicę, spodziewając się widoku ciała, ale chłopak stał spokojnie, przeliczając

drobne w portfelu. Uregulował rachunek i zatrzasnął drzwi taksówki, która włączyła się do ruchu. Był cały i zdrowy.

- Powinieneś być martwy - szepnęła Schuyler.

- Słucham? - zapytał z zagadkowym uśmiechem.

Schuyler była trochę zaskoczona - знаła go ze szkoły. To był Jack Force. Słynny Jack Force. Jeden z tych facetów - kapitan drużyny lacrosse'a, główne role w szkolnych przedstawieniach, praca semestralna o centrach handlowych, opublikowana w „Wired”, tak oślepiająco piękny, że trudno było na niego patrzeć.

Może jej się przywidziało. Może tylko wydawało jej się, że potrąciła go taksówka. Na pewno. Była po prostu zmęczona.

- Nie wiedziałam, że lubisz taką muzykę - zagadnęła, mając na myśli trance.

- Szczerze mówiąc, nie bardzo. Idę tam - wyjaśnił, wskazując wejście sąsiadującego z The Bank klubu, do którego zamroczony gwiazdor rocka holował właśnie chichoczące groupies.

Schuyler zaczerwieniła się.

- Przepraszam. Powinnam wiedzieć.

- Czemu? - uśmiechnął się życzliwie.

- Co „czemu”?

- Czemu przepraszasz? Skąd miałaś wiedzieć? Umiesz czytać w myślach, czy co?

- Może umiem. I może jasnovidzenie wzięło dzień wolny - uśmiechnęła się. Flirtował z nią, a ona się dostosowywała. Dobra, więc

zdecydowanie się jej przywidziało. Na sto procent nie rzuciłby się pod taksówkę.

Była zaskoczona jego bezpośredniością. Większość facetów z Duchesne zadziera nosa tak, że Schuyler nawet nie zwracała na nich uwagi. Wszyscy wyglądali identycznie - drogie spodnie, wystudiowana nonszalancja, nieśmieszne dowcipy i kurtki do lacrosse'a. Nawet przelotnie nie myślała o Jacku, uczniu trzeciej klasy, mieszkańcu planety popularności. Może i chodzili do tej samej szkoły, ale nie oddychali tym samym powietrzem. A poza wszystkim innym jego siostrą bliźniaczką była niezniszczalna Mimi Force, która zajmowała się w życiu głównie tym, by wszyscy wokół czuli się nieszczęśliwi. „Wybierasz się na pogrzeb”? „Ktoś umarł i zostałeś bezdomna”? - monotonne obelgi w tym stylu Mimi z reguły kierowała do Schuyler. Właśnie, gdzie Mini? Przecież bliźniaki Fore były praktycznie nierozłączne.

- Może chcesz zajrzeć? - zapytał Jack, pokazując w uśmiechu równe zęby. - Mam kartę członka.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Oliver zmaterializował się u jej boku. Zastanawiała się skąd przyszedł. I jak mu się to udawało? Oliver miał rzadki talent do pojawiania się w takich momentach, kiedy sobie tego wcale nie życzyła.

- Tu jesteś, skarbie - powiedział z lekkim wyrzutem w głosie.

Schuyler zamrugnęła.

- Cześć Ollie. Znasz Jacka?

- Kto by nie znał? - zakomenderował tonem właściciela. - Zaczęli wpuszczać ludzi. - Wskazał The Bank, gdzie gęsty tłum ubranych na czarno nastolatków tłoczył się między smukłymi kolumnami.

- Muszę lecieć - powiedziała przepraszająco.
- Tak szybko? - zapytał Jack, a jego oczy znów się śmiały.
- Nie dość szybko - mruknął Oliver, uśmiechając się krzywo.

Jack wzdrygnął się.

- Do zobaczenia, Schuyler - rzucił, podnosząc kołnierz tweedowego płaszcza i ruszając w przeciwnym kierunku.

- Bezczelny typ - narzekał Oliver, kiedy wrócił na swoje miejsce w kolejce. Splóttł ramiona i wyglądał na poirytowanego.

Schuyler milczała, a jej serce biło mocno.

Jack Force pamiętał, jak miała na imię.

Posuwali się razem z kolejką, zbliżając do bramkarza z notesem, spoglądającego po królewsku zza pluszowej liny. Lustrowała wzrokiem wszystkich wchodzących, ale nikt nie został zatrzymany.

- Pamiętaj, jeśli będą kłopoty, po prostu nie panikuj i myśl pozytywnie. Wyobraź sobie, że nas wpuszczają, jasne? - wyszeptał gorączkowo Oliver.

Schuyler kiwnęła głową. Ruszali naprzód, gdy zatrzymała ich wielka mięsista łapa bramkarza.

- Dokumenty! - warknął.

Schuyler drżącymi palcami wydobyła prawo jazdy z cudzym nazwiskiem - ale jej zdjęciem - na laminowanej powierzchni. Oliver zrobił to samo. Przygryzła wargi. Na pewno ją złapią i wsadzą do

więzienia. Ale cały czas dźwięczały jej w głowie słowa Olivera: *Bądź opanowana. Pewna siebie. Myśl pozytywnie.*

Bramkarz machnął ich dokumentami pod czytnikiem, który nie zapiszczał. Zmarszczył brwi i podniósł dokumenty do oczu, przyglądając się im z powątpiewaniem.

Schuyler próbowała udawać spokój, jej serce tłukł się pod warstwami ubrania. Jasne, że wyglądam na dwadzieścia jeden lat. Bywałam tu wcześniej. Dokumenty są w idealnym porządku - myślała.

Bramkarz znowu przesunął prawa jazdy pod maszyną. Potrząsnął głową.

- Coś jest nie tak - mruknął.

Poblady Oliver popatrzył na Schuyler, która myślała, że zaraz zemdleje. Nigdy w życiu się jeszcze tak nie denerwowała. Minuty mijały. Ludzie tłoczący się za nimi zaczęli zdradzać oznaki zniecierpliwienia.

Dokumenty są w porządku. Opanowana i pewna siebie. Opanowana i pewna siebie. Wyobraziła sobie, że bramkarz macha na nich, żeby przeszli; wyobraziła sobie, że wchodzi do klubu. **WPUŚĆ NAS. WPUŚĆ NAS. WPUŚĆ NAS. PO PROSTU WPUŚĆ NAS!**

Bramkarz rozejrzał się, zaskoczony, zupełnie jakby ją usłyszał. Miała wrażenie jakby czas się zatrzymał. A potem, tak po prostu, oddał im dokumenty i machnął, żeby przeszli. Zupełnie tak, jak wyobrażała to sobie Schuyler.

Odetchnęła głęboko. Ukradkiem wymienili z Oliverem triumfalne spojrzenia.

Byli w środku.

Po sąsiedzku The Bank znajdował się klub nocny całkowicie innego rodzaju. Był to klub z gatunku tych, jakie powstają raz na dziesięć lat - gdy splot wydarzeń społecznych sprawia, że gwiazdy i bogowie reklamy oraz mody spotykają się w jednym miejscu, tworząc niepowtarzalny, niezwykle ośrodek życia towarzyskiego. Idąc śladami tak słynnych placówek jak Studia 54 w połowie lat siedemdziesiątych, Palladium w końcu lat osiemdziesiątych, czy Moomba na początku lat dziewięćdziesiątych, Block 122 stał się miejscem wyznaczającym styl życia nowej generacji. Szalony koktajl gości składał się z najpiękniejszych, najbardziej godnych zazdrości, najstawniejszych i najpotężniejszych obywateli miasta, którzy namaścili ten klub jako „swoje” miejsce - swoją oazę, swoje środowisko naturalne. Jako że trwał wiek XXI, era superekskluzywności, ludzie zapłacili za możliwość bywania w tym miejscu astronomiczne składki członkowskie. Wszystko po to, aby utrzymać z dala plebs. A wewnątrz tego sanktuarium, przy jednym z najdroższych stolików, otoczona wianuszkami nieletnich modeli i modelek, młodych gwiazd filmowych oraz synów i córek ludzi z pierwszych stron gazet, siedziała najbardziej zachwycająca dziewczyna w historii Nowego Jorku: Madeleine „Mimi” Force. Szesnastoletnia, zachowująca się, jakby była po trzydziestce.

Mimi była ucieleśnieniem popularności. Jej złocista uroda i opalone, smukłe, wytrenowane w siłowniach ciało bez wątpienia pasowały do roli królowej ula, ale Mimi zdecydowanie wykraczała poza ten stereotyp. Miała 56 centymetrów w talii i nosiła obuwie numer 40. codziennie opychała się niezdrową żywnością i nie tyła od tego ani kilograma. Kładła się spać w pełnym makijażu i budziła z czystą, nieskażoną jak jejsumienie cerą.

Przychodziła do Block 122 każdego wieczoru; ten piątek nie stanowił wyjątku. Spędziła całe popołudnie, stojąc się na wieczorną imprezę wraz z Bliss Llewelyn, wysoką, smukłą Teksaską, która niedawno przeniosta się do Duchesne. Chociaż lepiej byłoby powiedzieć, że Bliss spędziła popołudnie, siedząc na skraju łóżka i wydając pełne aprobaty pomruki, podczas gdy Mimi przymierzała wszystko, co miała w garderobie. Ostatecznie zdecydowały się na seksowny - ale niekonwencjonalnie - cygański - styl, z kamizelką z opadającymi ramiączkami od Marni, kusą džinsową minispódniczkę Ernest Sewn oraz błyszczącym, kaszmirowym szalem Ricka Owena. Mimi, która lubiła pokazywać się w otoczeniu świty, znalazła w Bliss odpowiednią towarzyszkę. Zaprzyjaźniła się z nią wyłącznie na życzenie ojca, dla którego ważna była znajomość z senatorem Llewelynem. Z początku Mimi drażnił ten rozkaz, zmieniła jednak zdanie, kiedy zauważyła, że dorodna Bliss dopełnia i podkreśla jej własną eteryczną urodę. Mimi nade wszystko uwielbiała odpowiednie tło. Wyciągnęła się na miękkich poduszkach, spoglądając na Bliss z aprobatą.

- Zdrowie! - Bliss trąciła kieliszek Mimi swoim, zupełnie jakby czytała w jej myślach.

- Nasze zdrowie! - Mimi skinęła głową, dopijając przejrzysty, purpurowy koktajl. Już piąty tego wieczoru. A była tak samo trzeźwa, jak

przy pierwszym. To przygnębiające, o ile trudniej było jej się w tej chwili upijać. Zupełnie jakby alkohol zupełnie na nią nie działał. Komitet uprzedzał, że tak się stanie - ale wtedy nie chciała w to wierzyć. Tym bardziej, że nie mogła pozwalać sobie na ten drugi rodzaj napoju, kuszącą alternatywę, tak często, jak miałyby ochotę. Komitet narzucał za dużo zasad, które w tej chwili praktycznie rządziły jej życiem. Strzelając palcami tak mocno, że omal nie stłukła szklanego blatu przed sobą, skinęła niecierpliwie na kelnerkę, żeby zamówić następną kolejkę.

Jaki sens miało imprezowanie w Nowym Jorku, jeśli nie mogło jej trochę zaszumieć w głowie? Wyciągnęła leniwie nogi, kładąc stopy na kolanach swojego brata bliźniaka. Jej towarzysz, dziewiętnastoletni spadkobierca farmaceutycznej fortuny i jeden ze sponsorów klubu, udał, że tego nie widzi. Inna rzecz, że trudno powiedzieć, czy w ogóle był przytomny - obecnie opierał się na ramieniu Mimi i ślinił.

- Odpuść sobie - warknął Benjamin Force, szorstko spychając jej nogi. Mieli takie same platynowe włosy, taką samą kremową, niemal przezrystą skórę, takie same ocienione rzęsami zielone oczy i takie same długie, smukłe kończyny. Nie mogli jednak bardziej różnić się temperamentem. Mimi była gadatliwa i skora do zabawy, podczas gdy Benjamin - od dzieciństwa nazywany Jack - stanowił raczej typ milczącego obserwatora.

Mimi i Jack byli jedynymi dziećmi Charlesa Force'a, sześćdziesięcioletniego magnata medialnego o stalowoszarych włosach, właściciela ekskluzywnej sieci telewizyjnej, informacyjnego kanału kablowego, popularnego tabloidu, kilku stacji radiowych oraz dochodowego imperium wydawniczego, które zarabiała na biografiami światowych gwiazd wrestlingu. Jego żona Trinity, z domu Burden, obracała się w kręgach nowojorskiej śmietanki towarzyskiej i zasiadała w

zarządach najbardziej prestiżowych towarzystw charytatywnych. Odgrywała też kluczową rolę w Komitecie, którego młodszymi członkami byli Jack i Mimi. Force'owie zajmowali jedną z najmodniejszych lokalizacji w mieście, luksusową, doskonale utrzymaną rezydencję, w kwartale ulic naprzeciwko Metropolitan Museum of Art.

- Daj spokój - nadąsała się Mimi, natychmiast kładąc stopy z powrotem na kolanach brata. - Muszę wyciągnąć nogi, strasznie mi ścierpły. Sam zobacz - zażądała, chwytając umięśnioną łydkę i domagając się, żeby dotknął napiętych ścięgien. Lekcje tańca wykańczały stawy.

Jack zmarszczył brwi.

- Powiedziałem, odpuść - mruknął poważnie, a Mimi natychmiast cofnęła opalone nogi, podwijając je pod siebie i nie przejmując się tym, że dziesięciocentymetrowe obcasy jej szpilek Alaïa rysują białą skórę sofy, zostawiając na nieskazitelnych poduszkach brudne ślady.

- Co z tobą? - spytała. Jej brat przyszedł chwilę wcześniej w parszywym humorze. - Chcesz się napić? - zażartowała. Ostatnio był strasznym ponurakiem. Rzadko przychodził na spotkania Komitetu, a rodzicie wściekliby się, gdyby o tym wiedzieli. Nie umawiał się z nikim, wyglądał na zmęczonego i osłabionego, a poza tym był wyjątkowo drażliwy. Mimi zastanawiała się, kiedy ostatnio coś pił.

Jack otrząsnął się i wstał.

- Idę odetchnąć.

- Dobry pomysł. - Bliss podniosła się pośpiesznie. - Muszę zapalić - zwróciła się przepaszająco do Mimi, machając paczką papierosów.

- Ja też - odezwała się Aggie Carondolet, inna dziewczyna z Duchesne. Należała do świty Mimi i wraz z pasemkami za pięćset dolarów i nadąsaną miną stanowiła dokładną kopię swojej królowej.

- Nie potrzebujecie mojej zgody - odparła Mimi znudzonym tonem. Nie była to prawda. Z towarzystwa Mimi się nie odchodziło, dopóki Mimi na to nie pozwoli.

Aggie skrzywiła wargi w uśmiechu, a Bliss uśmiechnęła się nerwowo, kierując się za Jackiem w stronę tylnego wyjścia z klubu.

Mimi wzruszyła ramionami. Nigdy nie przejmowała się zasadami, paliła, gdzie i kiedy chciała - jedno z pism plotkarskich opublikowało kiedyś triumfalnie pięciocyfrową kwotę za mandaty, jakie zebrała za palenie w niedozwolonych miejscach. Patrzyła za odchodzącą trójką, która znikła w kłębowisku ciał, miotających się po parkiecie w rytm obscenicznego rapu.

- Nudzę się - jęknęła, zwracając wreszcie uwagę na chłopaka, który był przy niej przez cały wieczór. Chodzili ze sobą od dwóch tygodni, co w przypadku Mimi było wiecznością. - Niech coś się zdarzy.

- A co byś chciała? - wymamrotał zamroczonym głosem, liżąc jej ucho.

- Mmmmm - zamruczała, wsuwając rękę pod jego podbródek i wyczuwając tętno. Kuszące. Ale może później, nie tutaj, w każdym razie nie przy ludziach. Szczególnie, że poczęstowała się nim już wczoraj... a to było wbrew zasadom... Ludzkich familiantów nie wolno wykorzystywać, bla, bla, bla. Potrzebowali co najmniej czterdziestu ośmiu godzin na regenerację... Ale pachniał tak cudownie... Odrobina wody Armatniego po goleniu... a pod tym... mięsisty i pełen życia... a

gdyby tylko spróbowała... jedno malutkie ugryzienie... Ale Komitet spotykał się na dole, dokładnie pod Block 122. Mogło tu być kilkoro strażników... obserwujących... Mogła zostać złapana. Ale czy na pewno? W Sali dla VIP-ów było ciemno... Kto by cokolwiek zauważył w tym tłumie zapatrzonych w siebie narcyzów?

Ale dowiedzieli by się. Ktoś by im powiedział. Niesamowite, ale wszystko o tobie wiedzieli, zupełnie jakby nie odstępowali cię nawet na krok, obserwowali wnętrza twojej głowy. Więc może następnym razem. Pozwoli mu odzyskać siły po ostatniej nocy. Poczochrała jego włosy. Był słodki - przystojny i bezbronny, takich lubiła najbardziej. Ale chwilowo był bezużyteczny.

- Wybacz na chwilę - rzuciła.

Zerwała się z miejsca tak szybko, że kelnerka, przynosząca do stolika tacę z martini, pomyślała, że się pomyliła. Towarzystwo wokół zamrugalo ze zdziwienia. Przysięgliby, że przed sekundą siedziała tu z nimi. W jednym momencie znalazła się gdzie indziej, na środku sali, tańcząc z innym chłopakiem - bo dla Mimi zawsze istniał jakiś inny chłopak, potem kolejny, a każdy kolejny był aż za bardzo szczęśliwy, że może z nią tańczyć - i zdawałoby się, że tańczy już od dawna. Jej stopy ledwie muskały parkiet - olśniewające blond tornado na szpilkach za osiemset dolarów.

Kiedy wróciła do stolika, jej twarz lśniła niezwykłym blaskiem (a może to był tylko efekt reflektorów?), a uroda sprawiała, że trudno było oderwać od niej wzrok. Jej towarzysz zasnął, przewieszony przez krawędź stolika. Co za szkoda.

Mimi wyciągnęła komórkę. Właśnie się zorientowała, że Bliss nie wróciła z przerwy na papierosa.

Nie pasowała nigdzie i nie wiedziała, dlaczego. Czy w ogóle mogło istnieć coś takiego jak czirliderka - socjopatka? Dziewczyny takie jak ona nie powinny mieć żadnych problemów. Powinny być doskonałe. A Bliss Llewellyn nie czuła się szczególnie doskonała. Raczej dziwaczna i nie na miejscu. Obserwowała, jak jej tak zwana najlepsza przyjaciółka, Mimi Force, irytuje swojego brata i ignoruje partnera. Kolejny zwyczajny wieczór w towarzystwie bliźniaków Force - sprzeczącących się w jednej chwili i obrzydliwie czułych dla siebie w następnej - szczególnie, kiedy patrzyli sobie po prostu w oczy i można był przysiąc, że rozmawiają ze sobą bezgłośnie. Bliss unikała spojrzenie Mimi i próbowała zająć się czymkolwiek, choćby śmianiem z dowcipów opowiadanych przez siedzącego obok niej aktora. Ale tego wieczoru nic - nawet to, że mieli najlepszy stolik, a jeden z modeli Calvina Kleina poprosił ją o numer telefonu - nie mogło sprawić, żeby czuła się mniej nieszczęśliwa.

Tak samo czuła się w Houston. Też nie była tam całkiem na miejscu. Ale w Teksasie łatwiej dawało się to ukrywać. W Teksasie miała burzę kręconych włosów i najlepiej z całej drużyny ronila salto do tyłu. Wszyscy zali ją „od kołyski” i zawsze była najładniejszą dziewczyną w klasie. A potem ojciec, który dorastał w Nowym Jorku, postanowił tu wrócić i z łatwością wygrał wyścig o fotel senatorski. Zanim zdążyła

zaprotestować, mieszkała już na Upper East Side i była zapisana do Duchesne.

Oczywiście Manhattan w niczym nie przypominał Houston, a jej kręcone włosy i salto nic nie znaczyły w nowej szkole, która nie miała nawet drużyny futbolowej, nie wspominając o czirliderkach w minispódniczkach. Z drugiej strony Bliss nie przypuszczała, że okaże się aż taką wieśniaczką. Ostatecznie potrafiła się przecież poruszać po sklepach Neiman Marcus! Miała takie same džinsy True Religion i T-shirt Jamesa Perse jak wszyscy. Ale kiedy pierwszego dnia pojawiła się w szkole ubrana w pastelowy sweter Ralphi Laurena i kraciastą spódnicę Anny Sui (naśladując wygląd dziewczyn z folderu szkoły), z przewieszoną przez ramię, kontrastującą białą skórzaną torbą Chanel na złotym łańcuchu, przekonała się, że jej koleżanki noszą grube swetry z golfem i przetarte sztruksy. Na Manhattanie nikt nie zakładał pastelowych kolorów ani białej Chanel (przynajmniej nie jesienią). Nawet ta dziwaczna gotka, Schuyler Van Alen, ubierała się z szykiem, którego Bliss nie potrafiła naśladować.

Bliss знаła wielkie imiona światowej mody. Przyglądała się garderobie Moshy Barton. Ale nowojorskie dziewczęta potrafiły dobierać i zestawiać rzeczy w sposób sprawiający, że czuła się jak ofiara, która nigdy nie zajrzała do magazynów mody. Poza tym pozostawała jeszcze kwestia jej akcentu - najpierw nikt nie mógł jej zrozumieć, a potem zaczęli ją przedrzeźniać, co nie było szczególnie miłe.

Przez chwilę wszystko wskazywało na to, że na resztę życia licealnego Bliss zostanie zesłana poza granice towarzystwa, będzie musiała przestawić się na lekcje domowe, podczas gdy powinna brylować w klasie. Aż do momentu, kiedy chmury się rozstały, z nieba spłynęła światłość i stał się cud - wspaniała Mimi Force osobiście się nią

zajęła. Mimi była w trzeciej klasie, rok wyżej. Ona i jej brat Jacek stanowili główną parę Duchesne, jak Angelina Jolie i Brad Pitt - Hollywood. Na dodatek parę królewską. Mimi została przydzielona do opieki nad nowymi uczniami, a kiedy rzuciła okiem na Bliss - pastelowy sweter, błyszczące buty, niepasująca szkocka krata, pikowana torba Chanel - oznajmiła: „Ekstra ciuchy. To jest tak obciachowe, że wygląda świetnie.”

I o to chodziło.

Bliss nagle znalazła się na topie, który, jak się okazało, składał się z takich samych ludzi, jakich znała wcześniej - wysportowanych chłopaków (tyle że trenowali lacrosse i kajakarstwo zamiast futbolu), monotonnie ślicznych dziewcząt (tyle że należały do grup dyskusyjnych i wybierały się na uniwersytet Ligi Bluszczowej)* - i miał identyczny niepisany kodeks, niepozwalający na dołączanie się nowych. Bliss wiedziała, że tylko dzięki łasce Mimi zawdzięcza znalezienie się w tej uprzywilejowanej warstwie.

Ale to nie hierarchia licealna przeszkadzała Bliss. Nie chodziło nawet o jej wyprostowane włosy (nie zamierzała więcej pozwalać, żeby dotykała ich stylistka Mimi - źle się czuła bez swoich pukli). Po prostu czasem miała wrażenie, że nie wie, kim jest w rzeczywistości. Tak było, od kiedy przyjechała do Nowego Jorku. Przechodząc koło jakiegoś budynku albo przez stary park koło rzeki, czuła bardzo silne *déjà vu* - jakby coś, co było pogrzebane w jej pierwotnej pamięci, ogarniało ją, wprowadzając w wewnętrzny dygot. Kiedy po raz pierwszy weszła do apartamentu przy Siedemdziesiątej Siódmej Wschodniej, pomyślała, że wraca do domu. Nie dlatego, że to miał być jej dom, a dlatego że jakieś uczucie w środku podpowiadało, że była tu wcześniej, że przechodziła już przez te drzwi, że nie tak dawno tańczyła na marmurowej posadzce.

Na widok swojego pokoju, pomyślała, że był tam wcześniej kominek. A kiedy zapytała o to agenta nieruchomości, powiedział jej, że kominek istniał jeszcze w roku 1819, ale zamurowano go ze względów bezpieczeństwa. „Ponieważ ktoś tu zginął”.

Ale najgorsze były koszmary. Koszmary, z których zrywała się z krzykiem. Koszmary, w których uciekała, w których coś ją trzymało - tak jakby nie kontrolowała własnego ciała - a potem budziła się, zmarznięta i drżąca, w przesiąkniętej potem pościeli. Rodzice zapewniali ją, że to normalne. Jakby normalne było, że piętnastoletnia dziewczyna budzi się, krzycząc tak głośno, że gardło jej zasycha i krztusi się własną śliną.

* Liga Bluszczowa (Ivy League) - stowarzyszenie obejmujące osiem elitarnych Uniwersytetów w Stanach Zjednoczonych. Uczelnie te uchodzą za najbardziej prestiżowe, są także w światowej czołówce, jeśli chodzi o poziom badań oraz kadry naukowej (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

Ale teraz, w klubie Block 122, Jack Force wstał z miejsca, a Bliss poszła w jego ślady - przepaszając Mimi, że chce na chwilę odejść. Zrobiła tak pod wpływem impulsu, wołała zająć się czymś innym niż śledzeniem spektaklu zatytułowanego „Mimi”, ale kiedy powiedziała, że chce zapalić, poczuła, że rzeczywiście ma na to ochotę. Aggie Carondolet, jedna z klonów Mimi, wymknęła się już na zewnątrz. Bliss szybko straciła Jacka z oczu gdzieś w tłumie. Pokazała stempel na prawym nadgarstku ochroniarzowi, który wypuszczał i wpuszczał z powrotem ludzi do klubu z powodu obowiązujących w Nowym Jorku drakońskich praw dotyczących palenia. Bliss uważała to za ironię losu - Nowy Jork uznawano za światową metropolię, tymczasem, o ile w

Houston można było palić wszędzie, nawet w salonie piękności, pod suszarką do włosów, o tyle na Manhattanie palacze spychano na margines i pozostawiano samym sobie.

Otworzyła tylne drzwi i znalazła się w mrocznym zaułku, między dwoma budynkami. W uliczce między klubami Block 122 i The Bank, niczym na szalce Petriego, spotykały się różnice kulturowe - po jednej stronie napuszony establishment w obcisłych europejskich ubraniach, z tlenionymi włosami i kurtkach w zebra, a po drugiej - wychudzona grupa zagubionych dzieciaków w podartych ciuchach i kolczykach. Ale między obiema grupami panowało niepisane zawieszenie broni, istniała niewidzialna linia, której nikt nie przekraczał. Ostatecznie wszyscy byli palaczami. Bliss zobaczyła Aggie opierającą się o ścianę, w towarzystwie kilku modelek.

Pogrzebała w kieszeniach długiej kurtki Marc Jacobs (pożyczonej od Mimi jako część jej transformacji) w poszukiwaniu papierosów i wyciągnęła jeden. Włożyła go do ust i dalej szperęła, by znaleźć zapalniczkę.

Z ciemności wysunęła się dłoń, oferując niewielki płomyk. Z drugiej strony ulicy. Po raz pierwszy ktoś ośmielił się przetłamać barierę.

- Dzięki - Bliss pochyliła się do przodu i zaciągnęła, rozżarzając na czerwono koniec papierosa. Spojrzała w górę, wypuściła dym i rozpoznała chłopaka, który podał jej ogień. Dylan Ward. Niedawno przeniesiony, tak samo jak ona, do drugiej klasy, gdzieś spoza miasta. Kolejne dziwadło przypominającego Stepford Duchesne, gdzie wszyscy zali się ze żłobka i lekcji tańca. Dylan wyglądał przystojnie i niebezpiecznie, w znoszonej kurtce motocyklowej z czarnej skóry narzuconej na brudny T-shirt i poplamione dżinsy. Chodziły plotki, że został wyrzucony z kilku szkół prywatnych. Jego oczy lśniły w ciemności.

Zamknął zapalniczkę i uśmiechnął się nieśmiało. Było w nim coś - coś smutnego, niepasującego i pociągającego... Wyglądał tak, jak ona się czuła, a teraz podszedł i stanął obok niej.

- Cześć - rzucił.

- Jestem Bliss - powiedziała.

- Wiem - skinął głową.

CZTERY

Szkoła Duchesne mieściła się w dawnej posiadłości rodziny Flood, przy rogu Madison Avenue i Dziewięćdziesiątej Pierwszej ulicy, pomiędzy innymi prywatnymi szkołami, naprzeciwko Dalton i obok Scared Heart. Dom należał kiedyś do Rose Elizabeth Flood, wdowy po kapitanie Amstrongu Floodzie, założycielu Flood Oil Company. Córki Rose były kształcone przez belgijską guwernantkę, Marguerite Duchesne, ale kiedy wszystkie trzy zginęły tragicznie na pokładzie statku „Endeavor”, który zatonął na Atlantyku, zrozpaczona Rose wróciła na Środkowy Zachód, przekazując posiadłość mademoiselle Duchesne, która mogła założyć wymarzoną palcówkę edukacyjną.

Niewiele dało się zrobić, aby zamienić dom mieszkalny w szkołę: wśród warunków darowizny znajdował się zapis, że oryginalny wystój

wnętrz i meble mają zostać zachowane, co sprawiało, że przebywanie w budynku przypominało wycieczkę w czasie. Naturalnych rozmiarów portret przedstawiający trzy dziewcziczki rodziny Flood, pędzla Johna Singera Sargenta, wciąż wisiał u szczytu marmurowych schodów, witając gości w imponującym holu wysokości dwóch pięter. Barokowy kryształowy żyrandol zdobił przeszkloną salę balową, wychodzącą na Central Park, a w foyer ustawione były otomany Chesterfield i zabytkowe biurka. W błyszczących, miedzianych kinkietach zamontowano obecnie żarówki, a skrzypiąca winda Pullmana dalej działała (choć korzystać z niej mogli tylko nauczyciele). Uroczy pokój na poddaszu został przerobiony na pracownię plastyczną, w której znajdowała się prasa drukarska i maszyna do litografii, a salony na dole mieściły w pełni wyposażony teatr, salę gimnastyczną i kafenię. Wzdłuż wyłożonych tapetę w konwalie korytarzy ciągnęły się metalowe szafki uczniowskie, a w górnych sypialniach odbywały się lekcje przedmiotów humanistycznych. Kolejne pokolenia uczniów przysięgały, że duch panny Duchesne spaceruje po trzecim piętrze.

Fotografie kolejnych roczników absolwentów ozdabiały korytarz prowadzący do biblioteki. Ponieważ Duchesne było początkowo szkołą żeńską, pierwsza grupa z 1869 roku składała się wyłącznie z sześciu ponurych dziewcząt w białych sukniach balowych. Ich imiona były elegancko wykaligrafowane. W miarę upływu lat dagerotypy dziewiętnastowiecznych absolwentek ustąpiły miejsca czarno-białym fotografiom wytapirowanych dziewcząt z lat pięćdziesiątych, wśród których w połowie lat sześćdziesiątych zaczęli się radośnie pojawiać długowłosi młodzieńcy, gdyż szkoła Duchesne w końcu stała się placówką koedukacyjną. Na końcu znajdowały się lśniące kolorowe fotografie atrakcyjnych młodych kobiet i przystojnych młodych mężczyzn

z najnowszych roczników. Poza tym tak naprawdę niewiele się zmieniło. Kończące liceum dziewczęta wciąż ubierały się w białe suknie wizytowe od Saksa i rękawiczki od Bergdorfa, a wraz z dyplomami otrzymywały wieńce z bluszczu i bukietki czerwonych róż, natomiast chłopcy nosili eleganckie garnitury i perłowe szpilki w szarych fularach.

Szare mundurki w szkocką kratę znikły już dawno, ale nadal złe wieści w Duchesne przybierały formę odwołanej pierwszej lekcji i obwieszczenia przebijającego się przez zakłócenia w wiekowych głośnikach: „Nadzwyczajne zebranie. Wszyscy uczniowie proszeni są o niezwłoczne udanie się do kaplicy”.

Schuyler spotkała Olivera na korytarzu przed salą muzyczną. Nie widzieli się od piątkowego wieczoru. Żadne z nich nie poruszało tematu spotkania z Jackiem Forcem, co było o tyle nietypowe, że zwykle analizowali starannie wszystkie swoje kontakty towarzyskie z dokładnością co do minuty. W głosie Olivera pobrzmiwał tego ranka wystudiowany chłód, ale Schuyler nie zwróciła uwagi na jego powściągliwość. Podbiegła i złapała go za ramię.

- Co chodzi? - zapytała, kładąc mu głowę na ramieniu.

- Skąd mam wiedzieć? - wzruszył ramionami.

- Zawsze wiesz. - naciskała Schuyler.

- Dobra, tylko nie rozgadaj - ustąpił Oliver, chłonąc dotyk jej włosów na szyi. Schuyler tego dnia prezentowała się wyjątkowo. Dla odmiany rozpuściła włosy i wyglądała jak chochlik, w za dużej granatowej kurtce, spłowiałych džinsach i czarnych, zapinanych kowbojkach. Rozejrzał się niespokojnie. - To ma chyba coś wspólnego z tym towarzystwem, które bawiło się w Block 122.

Schuyler uniosta brwi.

- Mimi i jej banda? Czemu? Zostaną wylani?

- Może - mruknął Oliver, rozkoszując się tą myślą.

W zeszłym roku cała grupa sportowa została zawieszona za nieodpowiednie zachowanie na terenie szkoły. Aby uczcić zwycięstwo w regatach Head of the Charles* przyszli wieczorem do szkoły i zrujnowali klasy na drugim piętrze, zostawiając wulgarne graffiti na ścianach i pamiątki dobrej zabawy - potłuczone butelki po piwie, stosy niedopałków, pokryte kokainą banknoty dolarowe - które następnego ranka znalazły sprzątaczkę. Rodzice pisali liczne petycje do władz szkoły, domagając się zmiany decyzji (niektórzy uważali, że to zbyt surowa kara, inni domagali się zawiadomienia policji). To, że prowodyrem okazał się roześmiany czwartoklasista, kandydat na Harvard i siostrzeniec dyrektorki, dołało tylko oliwy do ognia. (Harvard niezwłocznie odmówił przyjęcia go i wydalony sternik zdzierał obecnie gardło na Uniwersytecie Duke'a).

Z jakichś powodów Schuyler przypuszczała, że to nie zwyczajny przypadek złego zachowania kilku uczniów w weekend był powodem zwołania tego ranka wszystkich klas licealnych. Ponieważ każdy rocznik liczył tylko czterdzieści osób, mieścili się wygodnie w kaplicy, zajmując miejsca odpowiednio do klasy - czwarta i pierwsza z przodu, rozdzielone przejściem, druga i trzecia odpowiednio z tyłu.

* Head of the Charles - regaty wioślarskie odbywające się w październiku na rzece Charles, oddzielającej miasta Boston i Cambridge. Uczestniczą w niuch drużyny z college'ów, liceów i klubów sportowych całego kraju a także osoby zagraniczne.

Pani dziekan do spraw uczniów stała cierpliwie na podium przed ołtarzem. Schuyler i Oliver dołączyli do Dylana siedzącego już w zwykłej zajmowanej przez nich ławce. Miał cienie pod oczami, jakby z niewyspania, paskudny czerwony zaciek na koszuli i dziurę w czarnych dżinsach. Na szyi jak zawsze nosił biały, jedwabny szalik w stylu Jimiego Hendricksa. Pozostali uczniowie starali się do niego nie zbliżyć. Skinął na Schuyler i Olivera, przywołując ich do siebie.

- Co się dzieje? - spytała Schuyler, wślizgując się na swoje miejsce.

Dylan wzruszył ramionami i przyłożył palec do ust.

Dziekan Celcie Molloy postukała w mikrofon. Nie była absolwentką Duchesne, w odróżnieniu od dyrektorki, naczelnej bibliotekarki i niemal wszystkich nauczycielek. Chodziły plotki, że uczyła się w szkole publicznej, ale błyskawicznie przystosowała się do aksamitnej opaski, sztruksowych spódnic do kolan oraz eleganckiego sposobu mówienia charakteryzujących dziewczęta z Duchesne. Stanowiła idealną podróbkę i dlatego była bardzo popularna z zarządzie.

- Proszę o uwagę. Uspokójcie się, chłopcy i dziewczęta. Mam dla was bardzo smutną wiadomość. - Pani dziekan nabrała powietrza. - Najgłębszym żalem muszę was powiadomić, że w ten weekend zmarła jedna z naszych uczennic, Aggie Carondolet.

Po chwili ciszy rozległy się gorączkowe szepty.

Dziekan odchrząknęła.

- Aggie była uczennicą Duchesne od przedszkola. Jutrzejsze lekcje zostają odwołane. Rano odbędzie się w kaplicy ceremonia pogrzebowa, na którą zapraszam wszystkich. Pogrzeb będzie miał miejsce na cmentarzu Forest Hills w Queens, dla uczniów, którzy chcieliby w nim uczestniczyć, zostanie podstawiony autokar. Prosimy, abyście w tym trudnym czasie pomyśleli o jej rodzinie.

Ponowne chrząknięcie.

- Ci z was, którzy tego potrzebują, mogą spotkać się z psychologami. Lekcje zakończą się dzisiaj w południe, wasi rodzice zostali poinformowani, że wrócicie wcześniej. Proszę teraz, żebyście udali się na swoją drugą lekcję.

Po krótkiej modlitwie (Duchesne było szkołą bezwyznaniową) i odczytaniu przez przewodniczących samorządu uczniowskiego fragmentów z *Modlitewnika powszechnego*, Koranu, pism Dżubrana Chalīta, uczniowie zaczęli się rozchodzić. Byli milczący, ale zdenerwowani, napięcie wywoływało u niektórych uczucie mdłości i autentyczne współczucie dla Carondoletów. Nic takiego nigdy dotąd nie wydarzyło się w Duchesne. Jasne, słyszeli o problemach w innych szkołach - wypadki po pijanemu, trenerzy piłki nożnej molestujący wychowanków, pierwszoklasistki zmuszane do seksu przez starszych kolegów, wariaci w prochowcach i z karabinem maszynowym, kładący trupem połowę uczniów. Ale to wszystko działo się w tych innych szkołach - w szkołach publicznych, na przedmieściach, gdzie były bramki do wykrywania metalu i obowiązywały przejrzyste, plastikowe torby. Nic strasznego nie mogło zdarzyć się w Duchesne. To było po prostu nie możliwe.

Najgorszym, co mogło się przytrafić uczniowi Duchesne, była złamana noga na nartach w Aspen albo udar słoneczny podczas wiosennych ferii na Saint-Barthelemy. To, że Aggie Carondolet umarła - w dodatku w mieście - tuż przed szesnastymi urodzinami było po prostu niewyobrażalne.

Aggie Carondolet? Schuyler poczuła ułknięcie smutku, chociaż nie znała Aggie, jednej z wysokich, wychudzonych blondynek, które otaczały Mimi Force, jak dworki swoją królową.

- Wszystko w porządku? - spytał Olivier, ściskając jej ramię.

Schuyler skonała głową.

- Rany, niefajnie. Widziałem ją jeszcze w piątek - potrząsnął głową Dylan.

- Widziałeś Aggie? - zapytała Schuyler. - Gdzie?

- W piątek. Przy The Bank.

- Aggie Carondolet była w The Bank? - spytała z niedowierzaniem Schuyler. Równie prawdopodobne byłby zobaczenie Mimi Force na zakupach w J.C. Penney. - Jesteś pewien?

- Znaczy, nie w The Bank, tylko na zewnątrz, wiesz, tam gdzie się schodzą palacze, obok Block 122 - wyjaśnił Dylan.

- A w ogóle gdzie ty zniknąte? - przypomniała sobie Schuyler. - Nie wrócisz po północy.

- Ja, tego... kogoś spotkałam - przyznał się Dylan z zażenowanym uśmiechem. - Nic takiego.

Schuyler skinęła głową i nie dopytywała się więcej.

Wyszli z kaplicy, mijając Mimi Force, otoczoną grupką współczujących przyjaciół.

- Wyszła tylko zapalić... - Mini ocierała oczy. - A potem zniknęła... Nie wiemy, co się z nią stało. Na co się gapisz? - warknęła, napotykaając wzrok Schuyler.

- Nic takiego, ja...

Mimi przerzuciła włosy przez ramię i prychnęła z rozdrażnieniem. Ostentacyjnie odwróciła się i wróciła do relacjonowania wydarzeń piątkowego wieczoru.

- Cześć - rzucił Dylan, mijając wysoką dziewczynę z ich klasy, stojącą w otaczającej Mimi grupie. - Przykro mi z powodu twojej przyjaciółki. - Lekko dotknął jej ramienia.

Ale Bliss udała, że go nie słyszy.

Schuyler pomyślała, że to dziwne. Skąd Dylan znał Bliss Llewellyn? Teksaska była praktycznie najlepszą przyjaciółką Mimi. A Mimi nienawidziła Dylana Warda. Schuyler słyszała, jak nazwała go „menelem” i „śmieciem”, kiedy odmówił ustąpienia jej miejsca w kafeterii. Ona i Oliver ostrzegali go, gdzie siada, ale nie słuchał. „To nasz stolik” wysyczała Mimi, trzymając tacę z papierowym talerzem, na którym wysuszone liście sałaty otaczały krwisty kotlet. Schuyler i Oliver natychmiast chwycili swoje tace, ale Dylan odmówił zmiany miejsca, czym natychmiast zasłużył się w ich oczach.

- Przedawkowała prochy - szepnął Dylan.

- Skąd wiesz? - spytał Oliver.

- Logiczne. Zeszła w Block 122. co to mogłoby być innego?

Tętniak, atak serca, zapaść cukrzycowa, pomyślała Schuyler. Było wiele powodów, dla których życie mogło dobiec kresu. Wiedziała. Straciła ojca i niemowlęctwie, a jej matka pozostawała w śpiączce. Życie było znacznie bardziej ulotne, niż ludzie sądzili.

W jednej chwili możesz z przyjaciółmi palić papierosa na ulicy w Lower East Side, pić koktajle i tańczyć na stole w modnym klubie. A w następnej chwili możesz być martwa.

PIĘĆ

Mimi Force, żywiła niezachwianą pewnością, wynikającą z jej pozycji towarzyskiej, że wszyscy uważają ją za osobę niezwykłą. Gdy rozeszła się wiadomość o śmierci Aggie, popularność Mimi sięgnęła nowych szczytów – ponieważ teraz była nie tylko piękna, ale także po ludzku doświadczona przez los. Zupełnie jak wtedy, kiedy Tom Cruise zostawił Nicole Kidman i nagle Nicole przestała sprawiać wrażenie lodowatej, bezlitosnej, zainteresowanej tylko karierą Amazonki i stała się po prostu kolejną porzuconą kobietą, której każdy mógł współczuć. Płakała nawet w programie u Oprah. Aggie była najlepszą przyjaciółką Mimi. No, może niezupełnie. Mimi miała wiele najlepszych przyjaciółek, na tym opierała się jej popularność. Wiele osób uważało ją za bliską osobę, nawet jeśli ona nie uważała za bliską osobę żadnej z nich. Ale mimo wszystko Aggie była wyjątkowa. Dorastały razem. Łyżwy w Wollman Rink, lekcje etykiety w Plaza, wakacje w Southampton. Carondoletowie zaliczali się do nowojorskich rodzin z tradycjami, a rodzice Aggie przyjaźnili się z rodzicami Mimi. Ich mamy chodziły do tej samej fryzjerki u Henriego Bendela. W żyłach Aggie, podobnie jak w żyłach Mimi, płynęła najprawdziwsza błękitna krew.

Mimi uwielbiała być w centrum uwagi, uwielbiała, gdy okazywano jej specjalne względy. Mówiła to, czego od niej oczekiwano, drżącym głosem

podkreślając swój szok i żal. Ocierała oczy, nie rozmazując kredki. Wspominała ze wzruszeniem, że pewnego razu Aggie pożyczyła jej swoje džinsy Rock and Republic. I nigdy nie poprosiła o ich zwrot! To się nazywa prawdziwa przyjaciółka.

Po spotkaniu w kaplicy Mimi i Jack zostali odciągnięci na bok przez gońca, stypendystę, który pracował jako chłopak na posyłki dyrektorki. Powiedział im, że dyrektorka chce się z nimi widzieć.

W wyścielonym grubym dywanem gabinecie usłyszeli, że mogą wziąć cały dzień wolnego – nie muszą czekać do południa. Komitet szkolny wie, że byli bardzo blisko z Augustą. Mimi promieniała. Jeszcze więcej specjalnych względów! Ale Jack potrząsnął głową i powiedział, że jeśli nikt nie ma nic przeciwko, wróci na lekcje.

Przestronny korytarz przed gabinetem dyrektorki świecił pustkami. Wszyscy uczniowie znajdowali się już w klasach. Stali tylko we dwoje. Mimi wygładziła kołnierzyk brata, przesuwając palcami po jego spalonej przez słońce szyi. Wzdrygnął się pod jej dotykiem.

– Co w ciebie ostatnio wstąpiło? – spytała niecierpliwie.

– Nie rób tego, dobra? Nie tutaj.

Nie rozumiała, czego się obawiał. W pewnym momencie wszystko się zmieni. Ona się zmieni. Jack wiedział o tym, ale albo nie mógł, albo nie pozwalał sobie tego zaakceptować. Może tak musiało być. Ojciec dokładnie wyłożył im historię rodziny, więc wiedzieli, że ich role zostały wyznaczone dawno. Jack nie miał wyboru, czy tego chciał, czy nie, dlatego Mimi czuła się w jakimś stopniu dotknięta jego zachowaniem.

Spojrzała na swojego brata – bliźniaka, swoją drugą połowę. Był częścią jej duszy. W dzieciństwie, zachowywali się, jakby stanowili jedną osobę. Kiedy ona stłukła palec, on płakał. Kiedy on spadł z konia w Connecticut, ją w Nowym Jorku bolały plecy. Zawsze wiedziała, co Jack myśli, co czuje, i kochała go tak mocno, że aż ją to przerażało. To uczucie pochłaniało ją całą. Ale ostatnio brat

odsunął się od niej. Był roztargniony, nieobecny, a jego umysł stał się niedostępny dla Mimi. Kiedy starała się sięgnąć do jego jaźni, nie wyczuwała niczego. Pusta tablica. Albo może raczej tłumik. Koc narzucony na głośnik. Zmienił częstotliwość nadawania, ukrył przed nią swoje myśli. Starał się od niej uniezależnić. Łagodnie mówiąc, martwiło ją to.

– Zupełnie jakbyś mnie już nie lubił – nadała się, podnosząc gęste, jasne włosy i pozwalając, żeby opadły jej na ramiona. Była ubrana w ażurowy, czarny, bawełniany sweterek, prześwitujący w świetle jarzeniówek na korytarzu. Wiedziała, że może zobaczyć przez cienki materiał kremowe koronki stanika Le Mystère.

Jack uśmiechnął się kwaśno.

– To niemożliwe. Musiałby znienawidzić siebie samego, a nie jestem masochistą.

Powoli wzruszyła ramionami i odwróciła się od niego, przygryzając wargi. Przyciągnął ją i przytulił, przyciskając jej ciało do swojego. Byli jednakowego wzrostu – ich oczy znalazły się na jednym poziomie. To przypominało patrzenie w lustro.

– Bądź grzeczną dziewczynką – poprosił.

– Kim jesteś i co zrobiłeś z moim bratem? – parsknęła. Ale miło było być przytulaną i sama mocno go objęła. Poczuli się zdecydowanie lepiej.

– Boję się, Jack – szepnęła. Byli tam, tej nocy, z Aggie. Aggie nie powinna być martwa. Aggie nie mogła być martwa. To nie mogła być prawda. To było niemożliwe. W każdym znaczeniu tego słowa. Ale w zimny, szary poranek widzieli ciało Aggie w kostnicy. Ona i Jack zostali poproszeni o zidentyfikowanie zwłok, ponieważ telefon Mimi był pierwszym numerem w komórce Aggie. Dotykali jej pozbawionych życia dłoni. Widzieli jej twarz, zastygłe w krzyku usta. Co gorsza, widzieli ślady na jej szyi. Niemożliwe! Wręcz absurdalne. Nic nie pasowało do siebie. Zupełnie jakby świat stanął na

głowie. To zaprzeczało wszystkiemu, co im mówiono. Mimi nie potrafiła odszukać w tej sytuacji nawet cienia sensu.

– To głupi dowcip, nie?

– Nie, nie dowcip – potrząsnął głową Jack.

– Może po prostu wcześniej zakończyła cykl? – Mimi wbrew sobie starała się wierzyć, że istnieje jakieś racjonalne wyjaśnienie. Musiało istnieć. Takie rzeczy nie mogły się zdarzyć. Nie im.

– Nie. Robili badania. Co najgorsze, jej krew zniknęła.

Mimi poczuła zimny dreszcz na plecach.

– Jak to zniknęła?

– Została wyciągnięta.

– Chcesz powiedzieć...

– Całkowite wysuszenie – skinał głową Jack.

Mimi wyrwała się z jego ramion.

– Kpisz sobie ze mnie. To jest... niemożliwe – znowu to słowo. Chodziło za nią przez cały weekend, od sobotniego poranka, kiedy zadzwieczał telefon. Tak samo mówili rodzice, Starsi, Strażnicy, wszyscy. To, co się stało z Aggie, było po prostu niemożliwe. Co do tego wszyscy byli zgodni. Mimi podeszła do otwartego okna, rozkoszując się słońcem pieszczącym jej skórę. Nic nie mogło się im stać.

– Zwołali zgromadzenie. Wczoraj zostały rozesłane zawiadomienia.

– Tak szybko? Ale oni nie zaczęli się jeszcze zmieniać – zaprotestowała Mimi. – Czy to nie jest wbrew zasadom?

– Sytuacja nadzwyczajna. Wszyscy muszą zostać ostrzeżeni, nawet niedojrzali.

– Jasne – westchnęła. Odpowiadało jej bycie jedną z najmłodszych, natomiast nie podobało jej się, że jej status zostanie niebawem przejęty przez nową partię.

– Wracam do klasy. Gdzie się wybierasz? – spytał, wpychając koszulę w spodnie – bezskutecznie, bo kiedy sięgnął po skórzany plecak, wysunęła się znowu.

– Do Barneysa – odparła, zakładając ciemne okulary. – Nie mam się w co ubrać na pogrzeb.

SZEŚĆ

Na drugiej lekcji Schuyler miała etykę – łączone zajęcia, na które przychodzili uczniowie drugich i trzecich klas w ramach zaliczania puli przedmiotów do wyboru. Nauczyciel, profesor Orion, absolwent Uniwersytetu Browna, z kręconymi włosami, długimi wąsami i okazałym nosem Cyrana, miał zwyczaj ubierać się w za duże swetry, które wisiały na nim jak na wieszaku. Teraz siedział na środku klasy, prowadząc dyskusję.

Schuyler znalazła miejsce koło okna i przysunęła swoje krzesło bliżej do otaczającego profesora Oriona kręgu. Było tylko dziesięć osób, tyle ile liczyła zwykle ich grupa. – zwykły rozmiar klasy. Nie mogła nie zauważyć, że Jacka brakowało na zajmowanym zwykle przez niego miejscu. Nie odezwała się do niego ani razu w tym semestrze i była ciekawa, czy w ogóle pamięta, że spotkali się w piątkowy wieczór.

– Czy ktoś z was znał dobrze Aggie? – zapytał profesor Orion, chociaż było to zbędne pytanie. Duchesne zaliczała się do takich szkół, w przypadku których wychowankowie spotykając się po latach przypadkowo w Centrum Pompidou w Paryżu albo na mieście u Maxa Fisha natychmiast umawiali się na drinka i wypytywali o rodzinę. Nawet jeśli w szkole nie zamienili ani słowa, praktycznie na pewno wiedzieli o sobie wszystko, nie wyłączając plotek.

– No więc? – powtórzył pytanie profesor.

Bliss Llewellyn niepewnie podniosła rękę.

– Ja – powiedziała nieśmiało.

– Czy możesz nam o niej opowiedzieć?

Bliss opuściła rękę i poczerwieniała. Opowiedzieć o Aggie? Co właściwie o niej wiedziała? Tylko tyle, że lubiła ciuchy, zakupy i swojego malutkiego pieska, Śnieżkę. Była to chihuahua, podobnie jak piesek Bliss, a Aggie uwielbiała stroić ją w zabawne ubranka. Śnieżka miała nawet futro z norek pasujące do futra Aggie. Tyle pamiętała. Kto tu właściwie kogoś znał? Tak naprawdę Aggie była raczej przyjaciółką Mimi.

Bliss odszukała w pamięci tamtą noc. Skończyło się na tym, że przez całą wieczność siedziała w zaułku, gadając z Dylanem. Kiedy wypalili ostatniego papierosa, byli już sami, a wtedy on wrócił w końcu do The Bank, a ona niechętnie udała się do Block 122, na spotkanie fochów Mimi. Aggie nie było przy stoliku i Bliss nie widziała jej przez resztę imprezy.

Od bliźniaków Force Bliss dowiedziała się kilku rzeczy. Aggie została znaleziona w „kraju Nod” – pokoiku na tyłach klubu, gdzie obsługa kładła znarkotyzowanych gości. Ten niepozorny sekrecik Block 122 ukrywał skrzętnie przed tabloidami, przekupując tak policję, jak i paparazzich. W większości przypadków goście odzyskiwali przytomność kilka godzin później, lekko sfatygowani, a w zanadrzu mieli doskonałą historyjkę. „A potem budzę się w

tym schowku! Niezła jazda, nie?” – opowiadali, gdy w stanie (niemal) nienaruszonym zostali odesłani do domów.

Ale piątkowej nocy coś poszło nie tak. Nie można było docucić Aggie. A kiedy „ambulans” (sportowy wóz właściciela klubu) przywiózł ją na ostry dyżur do szpitala St. Vincent, Aggie już nie żyła. W powszechnej opinii było to przedawkowanie. Ostatecznie ofiarę znaleziono w tym pokoju. Tyle tylko, że Bliss wiedziała, iż Aggie nie tykała narkotyków. Podobnie jak w przypadku Mimi, jej nałogi ograniczały się do wizyt w solarium i papierosów. „Nie muszę się niczym szprycować. Szprycuję się życiem” przechwalała się Mimi.

– Była... bardzo miła – spróbowała coś wymyślić Bliss. – Kochała swojego pieska.

– Miałam kiedyś papugę – skinęła głową dziewczyna z drugiej klasy, z zaczerwienionymi oczami. To ona na korytarzu podawała Mimi chusteczki. – Kiedy umarła, to było jakby część mnie umarła.

I w ten sposób śmierć Augusty „Aggie” Carondolet z tragedii stała się po prostu punktem wyjściowym zażartej dyskusji o tym, że zwierzęta także są członkami rodziny, gdzie znajdują się cmentarze dla zwierząt i czy klonowanie swojego zwierzęcia jest etyczne.

Schuyler z trudem ukrywała obrzydzenie. Lubiła profesora Oriona i jego luzackie podejście do życia, ale była zniesmaczona tym, jak jej koledzy zamieniali coś prawdziwego – śmierć kogoś, kogo znali, kto miał niespełna szesnaście lat, dziewczyny, którą widzieli opalającą się na wewnętrznym dziedzińcu, posyłającą mocne serwy w czasie gry w squasha, opychającą się świeżymi ciasteczkami (jak wszystkie popularne dziewczęta w Duchesne, Aggie uwielbiała jedzenie, które zupełnie nie szkodziło jej niemal anorektycznej figurze) – w trywialne wydarzenie, okazję do porozmawiania o własnych obsesjach.

Drzwi otwały się i wszyscy spojrzeli na zaczerwienionego Jacka Force’a, wchodzącego do klasy. Oddał swój formularz profesorowi, który machnął ręką.

– Siadaj, Jack.

Jack przeszedł przez klasę, kierując się do ostatniego wolnego krzesła – obok Schuyler. Wyglądał na zmęczonego i trochę wymiętego, w pogniecionej koszulce polo wyłożonej z obszernych, wełnianych spodni. Słaby prąd elektryczny przemknął przez ciało Schuyler – kłujące, ale nie nieprzyjemne uczucie. Co się zmieniło? Zdarzało się już, że siedzieli obok siebie, ale dotąd nigdy nie zwracała na niego uwagi. Teraz nie patrzył na nią, a ona była zbyt przestraszona i podekscytowana, żeby spojrzeć na niego. To dziwne, że znudzili się tam tego samego wieczora. Tak blisko miejsca, w którym umarła Aggie.

Kolejna podwładna Mimi paplała o swoim chomiku, który zdechł z głodu, kiedy wyjechali na wakacje.

– Tak strasznie kochałam Bobo – chlipnęła w chusteczkę, a reszta klasy wyrażała jej swoje współczucie. W kolejce czekały opowieści o żalonym końcu równie ukochanych jaszczurek, kanarków i królików.

Schuyler przewróciła oczami i zaczęła bazgrać na marginesie notesu. W ten sposób odgradzała się od świata. Kiedy nie mogła już wytrzymać rozpuszczonych kolegów z klasy, pewnych samouwiebienia monologów, niekończących się lekcji matematyki, usypiających właściwości podziału komórkowego, kryła się za kartką i ołówkiem. Zawsze uwielbiała rysować. Dziewczęta i wielkoocy chłopcy z anime. Smoki. Duchy. Buty. W roztargnieniu szkicowała profil Jacka, kiedy czyjaś ręka naskrobała notatkę na górze strony.

Zaskoczona podniosła wzrok, instynktownie zasłaniając rysunek.

Jack Force ponuro skinął głową, stukając w notes ołówkiem i kierując jej uwagę na napisane przez siebie słowa.

Aggie nie przedawkowała. Została zamordowana.

SIEDEM

Błyszczący Rolls-Royce Solver Shadow stał przed bramą Duchesne. Bliss czuła się zażenowana, jak zawsze, kiedy widziała ten samochód. Zauważyła, że Jordan, jej jedenastoletnia przyrodnia siostra, chodząca do szóstej klasy już czeka. Młodzi uczniowie także mieli skrócone lekcje, chociaż praktycznie nie znali Aggie.

Drzwi limuzyny otworzyły się, a ze środka wysunęła się para długich nóg. Macocha Bliss, BobiAnne z domu Shepherd, rozglądała się gorączkowo w tłumie uczniów. Była ubrana w obcisły, różowy welurowy dres, z niedopitym suwakiem odstaniającym jej obfity biust, i klapki na wysokich obcasach od Gucciego.

Bliss pomyślała, nie po raz pierwszy zresztą, że chciałaby, żeby macocha pozwoliła jej wracać do domu taksówką, tak jak robili wszyscy uczniowie Duchesne. Limuzyna, torba Juicy, jedenastokaratowy brylant - to wszystko było okropnie teksańskie. Przez dwa miesiące na Manhattanie Bliss nauczyła się, że przechwalanie się bogactwem jest zdecydowanie w złym guście. Najbogatsze dzieciaki w klasie nosiły ciuchy Old Navy i miały skromne kieszonkowe. Jeśli potrzebowały samochodu, rodzice fundowali im smukłego, klasycznego, czarnego lincolna. Nawet Mimi jeździła taksówkami. Afiszowanie się ze swoim statusem i wpływami było źle widziane. Oczywiście te same dzieciaki kupowały starannie poplamione džinsy i postrzępione swetry w

najlepszych butikach Soho, takich z pięciocyfrowymi cenami. Chodziło o to, żeby wyglądać niezamożnie; faktyczny brak pieniędzy byłby absolutnie nie wybaczalny.

Początkowo, z powodu sprawiającej wrażenie podróbki torby Chanel i zbyt błyszczących butów, wszyscy w szkole myśleli, że Bliss jest stypendystką. Pojawiający się każdego popołudnia rolls-royce szybko uciął te spekulacje. Llewellynowie byli nadziani, to fakt, ale w wulgarny, przerysowany, karykaturalny sposób, prawie tak samo (choć nie całkowicie) niestosowny, jak ubóstwo.

- Moje najdroższe! - zaćwierkała BobiAnne na całą ulicę. - Tak się o was martwiłam!

Objęła córkę i pasierbicę chudymi ramionami, przyciskając swoje upudrowane policzki do ich policzków. Pachniała perfumowanym pudrem, słodko i kredowo. Matka Bliss umarła przy porodzie, ojciec nigdy o niej nie opowiadał, więc Bliss w ogóle jej nie pamiętała. Kiedy skończyła trzy lata, ojciec ożenił się z BobiAnne i niebawem na świat przyszła Jordan.

- Daj spokój, BobiAnne - zaprotestowała Bliss. - Nic nam nie jest. To nie nas zamordowano.

Zamordowano. Dlaczego to powiedziała? Śmierć Aggie była nieszczęśliwym wypadkiem. Przedawkowanie narkotyków. Ale słowa padły same, bez zastanowienia. Dlaczego?

- Naprawdę chciałabym, żebyś nazywała mnie mamą, skarbie. Wiem, wiem. Słyszałam już. Biedna dziewczyna. Jej nieszczęsna matka jest w szoku. Wsiadajcie.

Bliss w ślad za swoją siostrą zanurkowała do wnętrza samochodu. Jordan jak zwykle zachowywała stoicki spokój, ignorując aktorski popis

matki z wystudiowaną obojętnością. Nie mogła bardziej różnić się od Bliss. Bliss była wysoka i smukła, Jordan - niska i krępa. Bliss była uderzająco piękna, a Jordan zwyczajna, wręcz pospolita, co BobiAnne zawsze jej wypominała. „Jakby porównać łabędzia i bawoła!” rozpaczała. BobiAnne bezustannie próbowała namówić Jordan na dietę i strofowała ją za brak zainteresowania modą i zabiegami pielęgnacyjnymi, wychwalając jednocześnie pod niebiosa urodę Bliss, co tę ostatnio tylko irytowało.

- Nie możecie nigdzie wychodzić bez opieki. Szczególnie Bliss, nie będziesz już się włóczyć Bóg wie gdzie z Mimi Force. Masz codziennie być w domu o dziewiątej - BobiAnne nerwowo obgryzała kciuk.

Bliss przewróciła oczami. Ona ma mieć szlaban dlatego, że jakaś dziewczyna wykorkowała w nocnym klubie? Od kiedy macocha w ogóle przejmuje się takimi rzeczami? Bliss chodziła na imprezy od siódmej klasy. Wtedy po raz pierwszy spróbowała alkoholu i tego samego roku upiła się w sztok w wesołym miasteczku. Starsza siostra jej przyjaciółki musiała przyjechać i zabrać ją do domu po tym, jak zwymiotowała i urwał jej się film w stogu siana za diabelskim młynem.

- Wasz ojciec sobie tego życzy - wyjaśniła podenerwowanym głosem BobiAnne. - Nie chcę więcej wracać do tego tematu, jasne?

Rolls-royce ruszył sprzed bramy Duchesne, przejechał przecznicę i skręcił, zatrzymując się przed apartamentowcem, w którym mieszkali Llewellynowie.

The Anethum było jednym z najstarszych i najbardziej prestiżowych adresów w mieście. Llewellynowie zajmowali potrójny penthouse na najwyższym piętrze. BobiAnne zatrudniła kilku dekoratorów wnętrz do urządzenia pomieszczeń i nawet nadała całej

siedzibie wspaniałą nazwę *Penthouse des Rêves* czyli penthouse snów, chociaż znane jej francuskie słowa można by zmieścić na metce odzieżowej (prac *seulement* chemicznie). Każdy pokój w apartamencie został ozdobiony w krzykliwy sposób. Nie oszczędzono na niczym, od stojących kandelabrow z osiemnastokaratowego złota w jadalni, do wysadzanych brylantami mydelniczek w łazience.

Był tam salon w stylu Ersa, wypełniony pamiątkami po zmarłym projektancie, które BobiAnne upolowała na aukcjach, z bombastyczną włoską nagą rzeźbą, wypchany po sufit lustrami w kształcie słońca i połączonymi orientalnymi gablotami. Inny pokój poświęcony Bali, wypełniały mahoniowe szafy garderobiane, ławki z surowego drewna i bambusowe klatki dla ptaków. Każdy przedmiot w tym pokoju była autentycznym, niezwykle rzadkim i kosztownym rękodzielnym z Azji Południowej, ale efekt końcowy kojarzył się raczej z wielką wyprzedazą w tandetnym sklepie indyjskim. Pokój Kopciuszka wzorowano na wystawie w Disney World, a jego punktem centralnym był ozdobiony tiarą manekin w sukni podtrzymywanej przez dwa podwieszane ptaszki z włókna szklanego.

Bliss uważała, że lepszą nazwą byłoby *Penthouse de Śmietnik*.

Tego popołudnia macocha wydawała się wyjątkowo zdenerwowana. Bliss nigdy nie widziała jej tak poruszonej. BobiAnne nawet nie mrugnęła, kiedy Bliss zostawiła brudne ślady na nieskazitelnie czystym dywanie.

- Dopóki pamiętam, przystali to dzisiaj dla ciebie. - Podana Bliss dużą, kremową kopertę, ciężką jak zaproszenie na ślub. Bliss wyjęła grubą, wytłaczaną kartę - zaproszenia członkowskie do Nowojorskiego Komitetu Banku Krwi. Była to jedna z najstarszych i najbardziej

prestizowych instytucji charytatywnych w mieście - młodszymi członkami zostawały tylko dzieci z odpowiednich rodzin. W Duchesne nazywano go po prostu „Komitetem”. Każdy, kto liczył się w szkole, należał do Komitetu; członkostwo w nim automatycznie wyносиło na tak wysoki poziom społecznej stratosfery, że zwykli śmiertelnicy mogli o nim tylko nieśmiało pomarzyć.

Kapitanowie wszystkich szkolnych drużyn należeli do Komitetu, podobnie jak redaktorzy gazetki i rocznika szkolnego, ale większość stanowiły bogate dzieciaki, w rodzaju Mimi Force, które nie uczestniczyły w życiu szkoły. Za to ich rodzice byli wpływowymi nowojorczykami. Tworzyły snobistyczne, elitarne i wyjątkowe aż do przesady towarzystwo, rekrutujące się tylko w wychowanków najlepszych szkół prywatnych. Komitet nie publikował listy członków - ci, którzy się do nich nie zaliczali mogli tylko zgadywać, kto do niego należy. No, ewentualnie wypatrywać widocznych potwierdzeń, w postaci choćby pierścienia ze złotym wężem owiniętym wokół krzyża, jaki nosili członkowie.

Bliss miała wrażenie, że następny nabór powinien odbyć się wiosną, ale ozdobna karta zawiadamiała, że pierwsze spotkanie zaplanowano w najbliższy poniedziałek, w Sali im. Jeffersona w Duchesne.

- Dlaczego miałabym zostać członkiem komitetu charytatywnego?
- zapytała, uważając, że podobne zwyczaje są zwyczajnie śmieszne. Cały ten raban wokół zbiórek pieniędzy i bali charytatywnych! Była pewna, że Dylan uznałby to za głupotę. Nie, żeby ją interesowało, jakie poglądy ma Dylan. Dalej nie wiedziała, co o nim myśleć - było jej wstyd, że nie przywitała się z nim, kiedy dotknął jej ramienia. Ale czuła na sobie baczne spojrzenie Mimi i po prostu nie miała odwagi okazać, że są

przyjaciółmi. Czy byli przyjaciółmi? Na pewno odnosili się do siebie przyjaźnie tamtego piątkowego wieczoru.

- Nie zostajesz członkiem. Zostajesz wybrana na członka - powiedziała BobiAnne.

Bliss skinęła głową.

- Naprawdę muszę?

- Twój ojciec i ja będziemy bardzo z tego zadowoleni. - BobiAnne okazała się nieugięta.

Tego samego wieczoru Jordan zastukała do sypialni Bliss.

- Gdzie byłaś w piątek? - zapytała. Jej grube palce zostawiły lepkie ślady na złotej gałce do drzwi. Ciemne oczy irytująco świdrowały Bliss.

Bliss potrząsnęła głową. Siostra była dziwna, całkowicie jej obca. W młodszym wieku Jordan chodziła za nią wszędzie jak piesek, wiecznie dziwiąc się, że nie ma takich kręconych włosów, jasnej cery ani zielonych oczu jak Bliss. Były przyjaciółkami. Ale w zeszłym roku wszystko się zmieniło: Jordan zrobiła się skryta i zamknięta w towarzystwie Bliss. Od dawna nie poprosiła siostry, żeby zaplotła jej włosy.

- W Block 122, wiesz, to ten prywatny klub, gdzie przychodzą wszystkie sławy. „US Weekly” pisało o nim w zeszłym tygodniu - odparła Bliss. - A dlaczego pytasz?

Siedziała na łóżku z baldachimem, papiery Komitetu leżały na kołdrze. Aby zostać członkiem komitetu charytatywnego należało wypełnić nieskończoną ilość formularzy, w tym różne oświadczenia, między innymi zgodę na poświęcenie dwóch godzin każdego poniedziałkowego wieczoru na spotkania.

- Ona tam umarła, nie? - spytała ponuro Jordan.
- Tak - skinęła głową Bliss, nie podnosząc wzroku.
- Wiesz, kto to zrobił, prawda? - ciągnęła Jordan. - Byłaś tam.
- Co masz na myśli? - Bliss odłożyła w końcu papiery.
- Wiesz sama - Jordan potrząsnęła głową.

- Nie, nie mam pojęcia, o czym mówisz. Nie oglądałaś wiadomości? Przedawkowała. A teraz sploty, barytko - warknęła Bliss, rzucając poduszką w drzwi.

O co chodziło Jordan? Co wiedziała? Dlaczego macochę tak poruszyła śmierć Aggie? I cóż takiego wspaniałego kryło się w członkostwie w jakimś Komitecie charytatywnym?

Zadzwoń Mimi. Wiedziała, że dziewczyna należy do Komitetu i chciała się upewnić, czy zamierza być na spotkaniu.

Dziennik Catherine Carver
25 listopada 1620 r.
Plymouth, Massachusetts

Dzisiaj świętowaliśmy, aby uczcić bezpieczną podróż do nowego domu. Mam radosne wieści - ludzie z tej ziemi powitali nas z otwartymi ramionami i obdarowali wieloma podarkami. Przynieśli ogromnego ptaka, którym można by wykarmić chyba armię, a także obfitość warzyw i kukurydzy. To prawdziwie nowy początek, a nasze serca rosną, gdy patrzymy na tę żyzną, zieloną krainę, bezkresne dzikie przestrzenie, wśród których wzniesiemy osadę. Wszystkie marzenia się spełniły. Porzuciliśmy domy po to, by odnaleźć takie miejsce, aby nasze dzieci mogły dorastać zdrowe i bezpieczne.

- C.C.

OSIEM

Po lekcjach Schuyler złapała autobus na Dziewięćdziesiątej Szóstej, przesunęła białą uczniowską kartę miejską przez czytnik i znalazła wolne miejsce obok zmęczonej matki z podwójnym wózkiem. Jako jedna z nielicznych osób w Duchesne, korzystała z transportu publicznego.

Autobus powoli toczył się przez aleje, obok wyspecjalizowanych butików na Madison Avenue, w tym ekskluzywnego sklepu pod nazwą „Prince and Princess” z odzieżą dziecięcą, oferującego francuskie bawełniane sukienki dla dziewcząt i płaszcze Barbour dla chłopców; mijał drogie drogerie mające na składzie pędzle do golenia ze szczeciny dzika po 500 dolarów oraz małe antykwariaty sprzedające takie cuda, jak

zestaw do kreślenia map czy czternastowieczne pióra. Dalej na zachód rozciągała się zielona przestrzeń Central Parku, a im bliżej Broadwayu tym szybciej następowała zmiana otoczenia i scenerii; coraz częściej pojawiały się chińskie i latynoskie restauracje, mniej ekskluzywne sklepy - aż do pnącej się pod górę Riverside Driver.

Zamierzała zapytać Jacka, co miał na myśli, ale nie zdołała go złapać po zakończeniu lekcji. Jack Force nigdy wcześniej nie zwracał na nią uwagi. A tu najpierw okazuje się, że pamięta jej imię, a teraz podsuwa jej liściki? Dlaczego napisał, że Aggie Carondolet została zamordowana? To musiała być jakiś wygłup. Bawi się nią, najpewniej chciał ją nastraszyć. Potrząsnęła głową, poirytowana. To nie trzymało się kupy. A nawet jeśli, jak w serialu sensacyjnym, dotarł do jakichś zakulisowych informacji, po co miałby się nimi dzielić właśnie z nią? Praktycznie się nie znali.

Przy Setnej ulicy wysiadła przez automatyczne drzwi wprost w popołudniowe słońce. Przeszła przecnicę, kierując się ku kamiennym schodom, prowadzącym na rozległy taras przed drzwiami frontowymi, który oddzielał jej dom od ruchu ulicznego.

Riverside Driver było malowniczym bulwarem w stylu paryskim, położonym w zachodniej części Manhattanu: okazała, wspinająca się zakosami ulicą, ozdobioną dostojnymi rezydencjami w stylu art deco. Van Alenowie przeprowadzili się tutaj na początku XX wieku, z rezydencji przy Piątej Alei. Niegdyś zaliczali się do najpotężniejszych i najbardziej wpływowych rodów w Nowym Jorku, fundatorów wielu akademickich i kulturalnych instytucji miejskich, ale z biegiem lat ich bogactwo i prestiż przybladły. Jedną z ostatnich należących do nich nieruchomości była imponujący pałac w stylu francuskim, wznoszący się na rogu zadrzewionej Sto Pierwszej i Riverside Drive. Budynek ów był

domem Schuyler. Zbudowany z pięknego, szarego kamienia, z drzwiami z kutego żelaza. Na wysokości pierwszego piętra gargulce pilnowały ozdobnych wykuszy.

Jednakże w odróżnieniu od błyszczących i odnowionych posiadłości wokół, bardzo potrzebował nowego dachu, nowej posadzki i wymagał odmalowania ścian.

Schuyler zadzwoniła do drzwi.

- Wiem, przepraszam, Hattie, znowu zapomniałam kluczy - usprawiedliwiła się przed gospodynią, która pracowała dla jej rodziny, odkąd Schuyler sięgała pamięcią.

Siwowłosa Polka w staromodnym stroju pokojówki tylko jęknęła.

Schuyler minęła skrzypiące, dwuskrzydłowe drzwi i przemknęła na palcach przez wielki, mroczny i zatęchły hol, wyłożony perskimi dywanami (niezwykle starymi i wartościowymi, ale pokrytymi warstwą kurzu). Nie docierało to światło, bo wprawdzie dom miał ogromne okna, wychodzące na rzekę Hudson, jednak zawsze przysłaniały je ciężkie, pluszowe kotary. Ślady dawnej świetności dawały się zauważyć pośród oryginalnych krzesel Heppelwhite aż po potężne stoły Chippendale, ale dom był zbyt gorący latem i pełen przeciągów zimą, pozbawiony centralnego ogrzewania. W odróżnieniu od penthouse'u Llewellynów, gdzie w skład wyposażenia wchodziły kosztowne reprodukcje albo antyki kupione na aukcji w Christie's, każdy mebel w domu rodziny Van Alen był autentyczny, przekazywany z pokolenia na pokolenie.

Większość z siedmiu sypialni stała zamknięta i nieużywana, a pokrowce zastaniały niemal wszystkie odziedziczone meble. Schuyler zawsze myślała, że to trochę jak mieszkać w skrzypiącym, starym

muzeum. Jej sypialnia znajdowała się na drugim piętrze - był to mały pokój, który w przyływie buntu pomalowała na intensywnie żółty kolor, kontrastujący z ciemnymi tapetami i sztywnością reszty domu.

Zagwizdała na Beaty i wspaniały ogar przybiegł do niej natychmiast.

- Dobra suka. - Uklękała, przytulając szczęśliwe zwierzę i pozwalając wylizać się po twarzy. Niezależnie od tego, jak parszywy miała dzień, Beaty zawsze poprawiała jej humor. Prześliczna suka przybłąkała się w zeszłym roku, kiedy Schuyler wracała ze szkoły. Była rasowa, a jej czarna sierść pasowała do kruczonych włosów Schuyler. Dziewczyna była pewna, że ktoś jej szuka i rozwiesiła w okolicy ogłoszenia o znalezionym psie. Ale nikt nie zgłosił się po Beaty, więc po jakimś czasie zaniechała poszukiwań prawowitych właścicieli.

Obie wbiegły na schody. Schuyler wpadła do swojego pokoju i zamknęła drzwi za psem.

- Już wróciłaś?

Schuyler zrzuciła płaszcz. Beaty szczęknęła, a potem pomachała ogonem i pogalopowała radośnie do intruza. Schuyler obróciła się i zobaczyła swoją babkę, siedzącą na łóżku z surową miną. Cordelia Van Alen była drobną kobietą o ptasiej urodzie - jasne było, po kim Schuyler odziedziczyła filigranową budowę i głęboko osadzone oczy, chociaż Cordelia zawsze zaprzeczała jakimukolwiek rodzinnemu podobieństwu. Przenikliwe, intensywnie niebieskie oczy wpatrywały się we wnuczkę.

- Przepraszam, nie zauważyłam cię - wyjaśniła Schuyler.

Cordelia zabraniała Schuyler nazywać się babką, babcią albo - jak mówiły niektóre dzieci - babunią. Byłoby miło mieć babunię, ciepłą,

pulchną i opiekuńczą, kojarzącą się z miłością i domowymi ciasteczkami czekoladowymi. Ale zamiast tego Schuyler miała tylko Cordelię. Wciąż przystojną, elegancką kobietę po osiemdziesiątce czy dziewięćdziesiątce - Schuyler nie była tego pewna. Czasem Cordelia wyglądała, jakby miała pięćdziesiąt kilka (a może nawet czterdzieści kilka, gdyby Schuyler odważyła się to przed sobą przyznać) lat. Teraz siedziała wyprostowana jak struna, z nogą założoną na nogę, ubrana w czarny, kaszmirowy sweter i luźne, dżersejowe spodnie. Na nogach miała czarne baletki od Chanel.

Cordelia była obecna przez całe dzieciństwo Schuyler. Nie tak jak rodzice, nawet nie jako ktoś bliski - ale była obecna. To Cordelia zmieniała akt urodzenia Schuyler, zastępując nazwisko ojca nazwiskiem matki. To Cordelia zapisała ją do Duchesne. Cordelia podpisywała pozwolenia, przeglądała świadectwa i wyplacała jej skąpe kieszonkowe.

- Puścili nas wcześniej - wyjaśniała Schuyler. - Aggie Carondolet umarła.

- Wiem. - Twarz Cordelii zmieniała się. Cień emocji przemknął przez kamienne rysy - strach, niepokój, może nawet troska?

- Wszystko w porządku?

Schuyler skinęła głową. Ledwie znała Aggie. Pewnie, chodziły razem do szkoły przez ponad dziesięć lat, ale to nie znaczyło, że się przyjaźniły.

- Mam pracę domową. - Schuyler rozpięła guziki i zdjęła sweter, ściągając kolejne warstwy ubrania, aż w końcu stanęła w białym podkoszulku i czarnych legginsach.

Trochę bała się babki, ale nauczyła się ją kochać, nawet jeśli Cordelia nigdy w najmniejszym stopniu nie okazała, że odwzajemnia jej przywiązanie. Najbardziej przyjaznym uczuciem, jakie Schuyler u niej zauważyła, była niechętna tolerancja. Jej babka tolerowała ją. Nie aprobowwała, ale tolerowała.

- Twoje znaki stają się wyraźniejsze - zauważyła Cordelia, mając na myśli przedramiona Schuyler.

Schuyler skinęła głową. Siateczka bladobłękitnych naczyń, tworzących zawity wzór, była widoczna pod skórą na całych przedramionach aż do nadgarstków. Wyraźnie, niebieskie żyły pojawiły się na tydzień przed jej piętnastymi urodzinami. Nie bolały, ale trochę swędziały. Zupełnie, jakby zaczęła wyrastać ze swojej skóry - albo może przekształcać się pod nią?

- Moim zdaniem wyglądają tak samo - odparła Schuyler.

- Nie zapomnij o wizycie u doktor Pat.

Schuyler skinęła głową.

Beaty rozłożyła się na kołdrze, spoglądając na rzekę, lśniąca między drzewami. Cordelia pogładziła jej gładkie futro.

- Miałam kiedyś podobnego psa - odezwała się. - Kiedy byłam mniej więcej w twoim wieku. I twoja matka także. - Cordelia uśmiechnęła się z zadumą.

Rzadko mówiła o matce Schuyler, która właściwie nie była martwa - zapadła w śpiączkę, kiedy Schuyler miała zaledwie rok i pozostawała w niezmiennym stanie do tej pory. Lekarze twierdzili, że jej mózg funkcjonuje normalnie i że mogłaby się obudzić w każdej chwili. Ale nie

budziła się. Schuyler odwiedzała matkę każdej niedzieli w Columbia Presbyterian Hospital i czytała jej niedzielne wydanie „Timesa”.

Prawie nie miała wspomnień związanych z matką - przypominała sobie tylko smutną, piękną kobietę, która śpiewa kołysanki nad jej łóżeczkiem. Może dlatego pamiętała matkę w taki sposób, bo właśnie tak wyglądała teraz, kiedy spała - na jej twarzy malowała się głęboka melancholia. Uroczą, nieszczęśliwą kobietą ze złożonymi rękami i platynowymi włosami rozpostartymi na poduszkach.

Chciała zadać babce więcej pytań o matkę i jej psa, ale nieobecny wyraz twarzy Corelli zniknął i Schuyler wiedziała, że tego wieczoru nie dowie się już niczego.

- Obiad o szóstej - oznajmiła babka, wychodząc z pokoju.

- Dobrze, Cordelio - mruknęła Schuyler.

Zamknęła oczy i wyciągnęła się na łóżku, opierając o Beaty. Wiedziała jak za żaluzjami słońce zaczyna zachodzić. Jej babka stanowiła chodzącą zagadkę. Schuyler nie po raz pierwszy żałowała, że nie jest zwyczajną dziewczyną, ze zwyczajnej rodziny. Nagle poczuła się samotna. Zastanawiała się, czy powinna była powiedzieć Oliverowi o notatce Jacka. Dawniej nigdy by czegoś takiego przed nim nie ukrywała. Ale nie chciała, żeby wyśmiał ją dlatego, że dała się nabrać na głupi dowcip.

Zadzwoiła komórka. Wiadomość od Olivera, zupełnie jakby wiedziała, co czuje w tej chwili.

TĘSKNIĘ ZA TOBĄ.

Schuyler uśmiechnęła się. Może i nie miała rodziców, ale przynajmniej mogła liczyć na prawdziwego przyjaciela.

Pogrzeb Aggie Carondolet nosił wszystkie cechy ekskluzywnego wydarzenia towarzyskiego. Carondoletowie byli znaną nowojorską rodziną, a przedwczesna śmierć Aggie stała się pożywką dla tabloidów. NASTOLATKA ZNALEZIONA MARTWA W NOCNYM KLUBIE. Jej rodzice byli oburzeni, ale niewiele mogli zrobić. Miasto miało obsesję na punkcie pięknych, bogatych i tragicznych (im bardziej piękni, bogaci i tragiczni, tym większe nagłówki). Tego ranka zastęp fotoreporterów pilnował bramy szkoły, czekając na okazję zrobienia fotki zrozpaczonej matce (dystyngowana Sloane Carondolet, debiutantka roku 1985) i pogrążonej w żalu najlepszej przyjaciółce, smukłej celebrytce, Mimi Force.

Widząc fotografów, Mimi podziękowała losowi, że jednak zdecydowała się zaszaleć i kupić kostium Dior Homme, zaprojektowany przez Hedi Slimane. Zrobienie poprawek przez noc było niełatwe, ale Mimi zawsze dostawała to, czego chciała.

Kostium był z czarnej satyny, surowy i prosty w kroju. Z ozdób założyła tylko onyksową obróżkę. W jutrzejszych gazetach będzie wyglądać olśniewająco – rys tragedii podkreślał jej elegancję.

Miejsca siedzące w kaplicy Duenetne były przydzielone według rangi gości, jak na pokazie mody. Oczywiście Mimi znalazła się w pierwszej ławce. Siedziała między ojcem a bratem, cała trojka wyglądała znakomicie. Jej matka przebywała na trzytygodniowym safari plastycznym w Afryce Południowej

(lifting pod pretekstem wakacji) i nie mogła przyjechać, więc ojcu Mimi towarzyszyła jego bliska przyjaciółka, piękna marszandka Gina Dupont.

Mimi wiedziała, że Gina w rzeczywistości jest jedną z kochanek ojca, ale nie sprawiało jej to różnicy. W dzieciństwie była zaszokowana liczbą pozamałżeńskich afer rodziców, ale kiedy stała się dostatecznie dorosła zaakceptowała te związki, konieczne do *caerimonia osculor*. Nikt nie może we wszystkim wystarczyć drugiej osobie. Małżeństwo służyło utrzymaniu fortuny w obrębie rodziny, znalezieniu dobrego partnera, tak jak w biznesie. Zrozumiała z czasem, że niektóre rzeczy można zdobyć tylko po za małżeństwem, jako że nawet najbardziej lojalny współmałżonek ich nie zapewni.

Mimi zauważyła senatora Liewellyna wchodzącego z rodziną przez boczne drzwi. Macocha Bliss miała sięgające do ziemi czarne futro z norek, narzucone na czarną suknię, senator był ubrany w czarny dwurzędowy garnitur, natomiast Bliss założyła czarny kaszmirowy sweter i czarne rurki Gucci potem Mimi zauważyła coś dziwnego. Młodsza siostra Bliss była od stóp do głów ubrana na biał.

Kto zakłada biel na pogrzeb? Ale rozglądając się wokół, Mimi zauważyła, że niemal połowa zgromadzonych w kaplicy gości jest ubrana na biał – wszyscy ulokowali się po drugiej stronie przejścia. W pierwszej ławce, na czele białych żałobników, siedziała drobna, zasuszona kobieta, której Mimi nigdy wcześniej nie widziała. Zobaczyła, że Oliver Hazard-Perry wraz z rodzicami podchodzi do biał ubranej staruszki i kłania się jej, po czym udaje się na swoje miejsce daleko z tyłu.

Pojawił się burmistrz ze swoją świtą, a następnie gubernator z żoną i dziećmi. Wszyscy przyobleczeni w formalną czerń, usiedli w ławkach za jej ojcem. Mimi poczuła dziwną ulgę. Po ich stronie przejścia wszyscy nosili stosowną do okazji czerń lub grafit.

Mimi była szczęśliwa, że trumna jest zamknięta. Nie chciała znowu oglądać tego zastygłego krzyku, nie w tym życiu. Tak czy inaczej musiała zająć jakąś pomyłkę. Była pewna, że Strażnicy znajdą doskonale logiczne wyjaśnienie całego wydarzenia, jakieś zakłócenie w cyklu, które mogło spowodować utratę całej krwi. Aggie nie mogła umrzeć, jak powiedział jej ojciec, trumna prawdopodobnie była pusta.

Ceremonia rozpoczęła się, zebrani wstali i odśpiewali „Być bliżej Ciebie chcę”. Mimi spojrzała znad książeczki z hymnami i zauważyła, że Bliss opuściła swoje miejsce. Uniosła brwi. Kiedy kapelan zakończył swoją część, siostra Aggie wygłosiła krótką mowę. Przemówiło też kilkoro uczniów, w tym jej brat, Jack, który swoimi słowami poruszył zgromadzonych, a chwilę później ceremonia się zakończyła. Mimi w ślad za rodziną wyszła z ławki.

Drobna, białowłosa dama siedząca po przeciwnej stronie, podeszła do nich i lekko dotknęła ramienia jej ojca. Miała najbardziej niebieskie oczy, jakie Mimi widziała w życiu, była ubrana w nieskazitelny kostium Chanel w kolorze kości słoniowej a na pomarszczonej szyi nosiła sznur pereł.

Charles Force nie potrafił ukryć zaskoczenia. Mimi nigdy go takim nie widziała. Był opanowanym, arystokratycznym mężczyzną, z grzywą srebrnych włosów i postawą wojskowego o twarzy pobrużdżonej przez ciężącą na nim odpowiedzialność. Uważało się, że to Charles Force tak naprawdę rządzi w Nowym Jorku. Wielki, kierujący najpotężniejszymi

- Witaj, Cordelio – rzekł, skłaniając głowę. – Miło cię widzieć w dobrym zdrowiu.

- Zbyt dużo czasu minęło – odezwała się nosowym głosem prawdziwej Jankeski.

Nie zareagował.

- To okropna strata – powiedział w końcu.

- Wyjątkowo nieszczęśliwe zdarzenie – zgodziła się z nim starsza dama. –
Chociaż można było mu zapobiec.

- Nie rozumiem, co masz na myśli. – Charles wyglądał na autentycznie
zaskoczonego.

- Wiesz równie dobrze jak ja, powinni zostać ostrzeżeni...

- Wystarczy. Nie tutaj – zniżył głos, zbliżając się do niej Mimi wyteżyła
słuch, by pochwycić dalszy ciąg rozmowy.

- Jak zwykle unikasz patrzenia prawdzie w oczy. Zawsze taki byłeś,
arogancki zaślepiiony... - ciągnęła starsza pani..

- A co by się stało gdybyśmy Cię posłuchali i zasiali panikę? Gdzie
wtedy byśmy byli? - zapytał zimno. – Wołałabyś, żebyśmy kryli się w
jaskiniach?

- Wołałabym zapewnić przetrwanie naszego rodzaju. – Tymczasem
znowu staliśmy się bezbronni głos Cordelii drżał z gniewu. – Pozwoliliśmy,
żeby tamci powrócili, zaczęli polowanie. Gdybym miała jeszcze władzę, gdyby
zgromadzenie wysłuchało mnie, Tedy'ego...

- Ale nie wysłuchało, wybrało mnie żebym je prowadzi i to właśnie
czynię – przerwał jej gładko Charles – Nie czas żeby przywoływać stare
krzywdy i rozdrapywać rany – Wzruszył ramionami – Poznałaś już... Nie, nie
miałaś okazji... Mimi, Jack, pozwólcie na chwilę.

- Ach, bliźniaki – Cordelia uśmiechnęła się zagadkowo – Znowu razem.

Mimi nie podobał się sposób w jaki to stare pudło przewiercało ją
wzrokiem, jakby umiało czytać w jej myślach.

- To jest Cordelia Van Alen – oznajmił sucho Charles.

- Cordelio, przedstawiam Ci moje bliźnięta, Benjamina i Madeine.

- Bardzo miło mi panią poznać – skłonił się grzecznie Jack Force.

- Mnie również – mruknęła Mimi.

Cordelia uprzejmie skinęła głową. Znowu zwróciła się do Charlesa Force'a, szepcząc gorączkowo:

- Musisz podnieść alarm! Musimy być czujni. Jest jeszcze czas. Nadal możemy ich powstrzymać, jeśli tylko w twoim sercu znajdzie się miejsce, żeby przebaczyć Gabrieli...

- Nie mów przy mnie o Gabrieli – uciał Charles. – Nigdy nie chce więcej słyszeć jej imienia w swojej obecności. Szczególnie z twoich ust.

Kim była Gabriela? – zastanowiła się Mimi. Dlaczego ojciec był tak poruszony? Mimi była zła i zirytowana tym, jak jej ojciec reagował na słowa starej kobiety.

Spojrzenie Cordelii złagodniało.

- Minęło piętnaście lat – powiedziała – Czy to nie wystarczy?

- Miło było Cię zobaczyć, Cordelio. Życzę Ci miłego dnia – odparł Charles tonem kończącym rozmowę.

Stara wiedźma wzruszyła ramionami i odeszła bez słowa. Mimi zobaczyła, że Schuyler Van Alen idzie za nią, spoglądając na nich z zakłopotaniem, jakby wstydziła się zachowania swojej babki. I bardzo słusznie, pomyślała Mimi.

- Tato, kto to był? – zapytała, widząc, że jej ojciec wygląda ponuro.

- Cordelia Van Alen – odparł i nie powiedział nic więcej. Jakby te trzy słowa wszystko tłumaczyły.

- Kto wpadł na pomysł noszenia bieli na pogrzeb? – Mimi uśmiechnęła się szyderczo, wydymając wargi.

- Czerń jest kolorem nocy – mruknął Charles. – Biel jest prawdziwym kolorem śmierci - Przez moment spojrzął z niepokojem na swój czarny garnitur.

-Tato? Co mówiłeś?

Potrząsnął głową, zatopiony w myślach .

Mimi zauważyła, że Jack podszedł do Schuyler i wdał się z nią w długą, szeptaną rozmowę. Nie podobało jej się to w najmniejszym stopniu. Nie miała pojęcia, za kogo ta cała Schuyler się uważa i nie obchodziło jej, czy mimo wszystko nie jest przypadkiem przyszłą członkinią Komitetu. Nie podobało jej się jak Jack patrzył na Schuyler. Jediną osobą, na którą do tej pory patrzył w taki sposób była Mimi.

I chciała, żeby tak zostało.

DZIESIĘĆ

Bliss miała dość. Jeszcze przed zakończeniem nabożeństwa poczuła, że musi się stamtąd natychmiast wydostać. Pogrzeby ją przerażały. Dotąd była tylko na pogrzebie ciotecznej babki, w trakcie którego nikt nie okazywał szczególnego smutku. Bliss przysięgłaby, że komentarze jej rodziców brzmiały: „Nareszcie” i „Dość się nażyła”. Cioteczna babka Gertrude dożyła imponującego wieku 110 lat - pokazywali ją w programie *Today* - a kiedy Bliss odwiedziła ją na dzień przed śmiercią, staruszka zachowywała się tak samo dziarsko, jak zawsze. "Na mnie już czas, skarbie. Jeszcze się kiedyś spotkamy" - powiedziała do Bliss.

Trumna Aggie nie była otwarta, ale mimo to Bliss robiło się niedobrze na myśl, że tam w środku, o kilka metrów od niej, spoczywa nieboszczka. Na szczęście, zdołała się wykręcić od siedzenia obok macochy, która zresztą była zbyt zajęta witaniem się z matkami innych uczniów Duchesne.

Teraz konsekwentnie przesuwiała się w stronę wyjścia. Zauważyła spojrzenie Mimi, która uniosła brwi. Bliss bezgłośnie szepnęła „łazienka”, czując się trochę głupio z tego powodu, Czemu Mimi tak mnie pilnuje? - rozmyślała, przemieszczając się coraz bliżej drzwi. Była gorsza od jej macochy. To się stawało irytujące. Wysunęła się przez boczne wyjście, wpadając na kogoś, kto takie próbował wyslizgnąć się na zewnątrz.

Dylan miał na sobie dopasowany czarny garnitur, białą koszulę i wąski czarny krawat. Wyglądał jak członek zespołu The Strokes. Uśmiechnął się do niej.

- Wychodzisz?

- Mhm, strasznie duszno tam w środku - odpowiedziała głupio.

Skinął głową, przyjmując jej słowa do wiadomości. Nie rozmawiali ze sobą od piątkowej nocy w zaułku między klubami. Bliss miała wcześniej zamiar przeprosić Dylana, gdyby się jej nawinął, że zignorowała go wczoraj. Chociaż właściwie jak się zastanowić, nie miała za co przeproszać. Nie byli przecież przyjaciółmi. Nic takiego się nie stało.

No, może nie do korka tak. Tamtej nocy opowiedział jej o swojej rodzinie i o tym, jak nienawidził szkoły z internatem w Connecticut. Ona opowiedziała mu o Houston, o tym, jak jeździła do szkoły odkrytym cadillakiem dziadka, który wszyscy uważali za komiczny. Wyglądał

prawie jak łódka, z odpowiednimi statecznikami. Co więcej, wyznała mu, że nie pasuje do Duchesne i że tak naprawdę wcale nie lubi Mimi.

Szczera rozmowa naprawdę przyniosła jej ulgę, chociaż pożałowała tego, gdy tylko wróciła do domu. Paraliżował ją lęk, że Dylan powtórzy Mimi jej wynurzenia, nawet jeśli wiedziała, że to nie możliwe. Mimi należała do elity. Dylan trzymał z wyrzutkami. Nie mieli ze sobą nic wspólnego. Gdyby spróbował się zbliżyć do Mimi, zabiłaby go wzrokiem, zanim zdążyłby otworzyć usta.

- Zrywamy się? - Zapraszająco uniósł ciemne brwi. Czarne włosy miał gładko zaczesane do tyłu.

Zerwać się z pogrzebu. Cóż, niewątpliwie interesujący pomysł. Cała szkoła powinna obowiązkowo brać udział w nabożeństwie. Jediną lekcją, z jakiej zerwała się dotąd Bliss, był wuef, kiedy z przyjaciółmi postanowili pójść na jakiś horror dla nastolatków. Wypad okazał się udany - film był gorszy, niż przypuszczali i zdołali wrócić do szkoły, nieprzytapani.

W Duchesne pozwalali zerwać się z lekcji dwa razy w semestrze - była to część „elastycznego programu nauczania”. Szkoła rozumiała, że stres może okazać się zbyt duży i uczniowie czasem muszą opuścić lekcje. To zdumiewające, że nawet bunt był wpisany w regulamin, wszystko idealnie pasowało do zasad i logiki tego miejsca.

Ale o ile wiedziała, nikt nie miał prawa zrywać się z pogrzebu. Taki postępek stanowiłby poważne naruszenie zasad. Tym bardziej, że podobno była jedną z najlepszych przyjaciółek Aggie, ponieważ często przebywały w swoim towarzystwie.

- Chodźmy - powiedział Dylan, biorąc ją za rękę.

Bliss ruszyła za nim, kiedy następna osoba wyłoniła się zza drzwi kaplicy.

- Dokąd idziecie? - Wielkie oczy Jordan Llewellyn przeszywały Bliss na wylot.

- Kto to? - zapytał Dylan.

- Zjeżdżaj, baryłko - ostrzegła Bliss.

- Nie powinnaś iść. To niebezpieczne - powiedziała Jordan, patrząc prosto na Dylana.

- Chodźmy, ona ma świra - nuciła Bliss, piorunując wzrokiem ubraną na biało siostrę, która wyglądała, jakby miała przystąpić do pierwszej komunii.

- Powiem wszystko! - zagroziła Jordan.

- Jasne, wypapłaj! - warknęła Bliss.

Dylan uśmiechnął się, a Bliss bez słowa wyszła za nim przez boczne drzwi, a następnie po schodach zeszła na parter. Jedna z dozorczyń szkoły wyjrzała z sali ksero.

- Dokąd się wybieracie? - zapytała, kładąc ręce na biodrach.

- Pani da spokój, pani Adriano - uśmiechnął się Dylan.

Kobieta potrząsnęła głową, ale odpowiedziała uśmiechem.

Bliss podobało się, że Dylan pozostawał w dobrych stosunkach z pracownikami szkoły. Nawet jeśli po prostu zachowywał się wobec nich grzecznie, było to sympatyczne. Mimi traktowała szkolny personel z góry i protekcjonalnie.

Dylan poprowadził Bliss do wejścia służbowego koło śmietników. Niedługo byli już wolni, wędrując wzdłuż Dziewięćdziesiątej Pierwszej.

- Na co masz ochotę? - zapytał.

Wzdrygnęła się. Oddychała głęboko świeżym, jesiennym powietrzem. To było coś, co naprawdę zaczynało jej się podobać w Nowym Jorku. Rześka, pogodna jesień - takiej pory roku nie mieli w Houston, na przemian dusznym i deszczowym. Wsunęła ręce w kieszenie sięgającego do pół tydki trencza od Chloe.

- To Nowy Jork, możemy zrobić wszystko - kusił ją. - Całe miasto na nas czeka. Możemy iść na burleskę albo na kiepską komedię. Postuchać wykładu Derridy na uniwerku. Albo pójść na kręgle w Piers. O, znam knajpkę w East Village, gdzie kelnerami są prawdziwi belgijscy mnisi. Czy wolisz na łódkę do parku?

- A może się wybierzemy do muzeum? - zapytała.

- O, cóż za wyrafinowana panna - uśmiechnął się. - Jasne.

Którego?

- Metropolita - zdecydowała. Była tam raz i dotarła tylko do sklepu z pamiątkami, w którym macocha spędziła całe godziny, wybierając kwieciste papeterie na prezenty.

Poszli w stronę Piątej Alei i niebawem znaleźli się przed Metropolitan Museum. Schody przed wejściem były pełne ludzi jedzących lunch, robiących zdjęcia albo po prostu opalających się na słońcu. Panowała piknikowa atmosfera - po jednej stronie ktoś grał na bębnach, po drugiej z przenośnego odtwarzacza płynęły dźwięki reggae. Weszli po schodach do środka.

Hol muzeum tętnił ruchem i kolorami - przyjezdne wycieczki szkolne ustawiały się za nauczycielami, studenci sztuki przechodzili szybkim krokiem ze szkicownikami pod pachą, turyści toczyli rozmowy w wielu językach, jak pod wieżą Babel.

Dylan położył dziesięciocentówkę na szklanej ladzie kasy.

- Dwa bilety proszę - powiedział z niewinnym uśmiechem.

Bliss przeraziła się na moment. Spojrzała na tablicę. SUGEROWANA DONACJA: 15\$. No cóż, miał trochę racji to była sugerowana kwota nie wymagana. Kasjer bez słowa podał im okrągłe znaczki. Najwyraźniej był przyzwyczajony do podobnych zachowań.

- Byłaś kiedyś w świątyni Dendur? - spytał Dylan, prowadząc ją w północny koniec muzeum.

- Nie - potrząsnęła głową. - Co to takiego?

- Stój - odparł. Delikatnie zastonił jej oczy dłońmi - Zamknij oczy.

- Czemu? - zachichotała.

- Zrób to zaufaj mi - poprosił.

Zamknęła oczy wyciągając dłonie przed siebie i poczuła, że bierze ją za rękę i prowadzi za sobą. Stąpała niepewnie, starając się wyczuć drogę - pomyślała, że są wewnątrz jakiegoś labiryntu. Dylan prowadził ją szybko przez serię ostrych zakrętów. A potem dotarli gdzieś. Nawet z zamkniętymi oczami czuła, że znaleźli się w większym pomieszczeniu.

- Otwórz oczy - szepnął Dylan. Otworzyła je i zamrugowała.

Stali przed ruinami egipskiej świątyni. Jednocześnie prymitywna i majestatyczna, olśniewająca budowla ostro kontrastowała z czystym,

nowoczesnym wnętrzem muzeum. Sala była pusta, przed wejściem do świątyni znajdowała się długa, pozioma fontanna. Zabytek zapierał dech w piersiach - muzeum starannie przewiozło i zrekonstruowało świątynię, tak że wyglądała, jakby tu ją wybudowano. Bliss z wrażenia zakręciło się w głowie.

- O Boże.

- Wiem - powiedział Dylan, a jego oczy lśniły.

Bliss zamrugła, tłumiąc łzy. To była najbardziej romantyczna rzecz, jaka kiedykolwiek spotkała ją w życiu.

Spojrzał jej prosto w oczy i pochylił się do jej ust. Zatrzepotała rzęsami, jej serce tłukło się omdlewająco w piersiach. Przysunęła się do niego, unosząc głowę i czekając na pocałunek. Wyglądał łagodnie, pełen nadziei, i było coś ujmująco bezbronnego w tym, że starał się nie patrzeć jej w oczy.

Ich usta się spotkały.

I wtedy to się zdarzyło.

Świat poszarzał. Była sobą, ale jednocześnie nie była sobą. Sa la zaczęła się zmniejszać. Cały świat się kurczył. Ściany świątyni nagle się zrekonstruowały. Stała na pustyni, czując ostry piasek w ustach, palące słońce na plecach. Tysiące skarabeuszy - czarnych i błyszczących - brzęcząc, wylewało się z wnętrza świątyni. Wtedy zaczęła krzyczeć.

Dziennik Catherine Carver
30 listopada 1620 r.
Plymouth, Massachusetts

Dzisiaj Myles Standish wyruszył wraz z grupą ludzi na wyspę Roanoke, aby zanieść lekarstwa, żywność i zapasy do tamtejszej osady. Żegluga potrwa dwa tygodnie, nieprędko zatem możemy spodziewać się ich powrotu. Serce mi się krajało, gdy John odpływał wraz z nimi. Na razie jesteśmy bezpieczni, ale kto wie, na jak długo? Nikt nie ośmiela się tego przepowiadać. Dzieci rosną szybko i są naszą radością. Na świat przyszło wiele par bliźniąt, a u Albertonów ostatnio narodziły się trojaczki. Susannah White, której mąż William także popłynął na Roanoke, przyszła z wizytą. Zgodziła się ze mną, iż zostaliśmy pobłogosławieni płodnością.

- C.C.

JEDENAŚCIE

Tego popołudnia, wchodząc do białej kliniki doktor Pat, mieszczącej się w wieżowcu ze szkła i chromu przy Piątej Alei, Schuyler nadal myślała o tym, co Jack powiedział jej po pogrzebie Aggie. Zapytał, czemu zignorowała jego wiadomość. A ona odparła, że uznała ją po prostu za jakiś dowcip. „Uważasz, że śmierć Aggie to temat do żartów?” zapytał, a jego twarz zmroczniała. Próbowwała zaprzeczyć, ale usłyszała wołanie babki i musiała odejść. Nie potrafiła zapomnieć jego spojrzenia. Zupełnie jakby głęboko go zawiodła. Energicznie odrzuciła włosy z twarzy. Dlaczego wywierała na niej takie wrażenie? Wychudzona kobieta w futrze z lisów popatrzyła na Anię z przeciwnego końca poczekalni. Schuyler wyzywająco odwzajemniła jej spojrzenie.

Cordelii niezwykle zależało, aby Schyler odwiedziła doktor Pat, która była chyba jakąś sławną dermatolożką. Wnętrze kliniki przypominało raczej hotel w Miami - Shore Club albo Delano - niż zwykłą poczekalnię. Wszędzie królowała biel: białe kosmate dywany, białe kafelki na ścianach, białe lakierowane stoliki, białe skórzane sofy, białe fotele Eames z włókna szklanego. Najwyraźniej doktor Pat należała do tych specjalistek, którym osoby z towarzystwa, projektanci mody i celebryci zawdzięczali nieskazitelną cerę. Na ścianach wisiało kilka oprawionych fotografii z autografami, przedstawiających modelki i aktorki.

Schuyler wypchnęła Jacka z pamięci. Kartkowała błyszczące strony magazynów, a na nich artykuły wychwalające cnoty pani doktor, kiedy otworzyły się drzwi gabinetu i pojawiła się w nich Mimi Force.

- Co ty tu robisz? - parsknęła Mimi. Zamieniała już kostium Diora na coś bardziej „codziennego” - obciste džinsy Apo za cztery tysiące dolarów, z platynowymi nitami i brylantowym guzikiem, gruby sweter Martine Sitbon i wąskie, żółte szpilki Jimy’ego Choo.

- Siedzę i czekam - odparła Schuyler, chociaż jasne było, że to pytanie retoryczne. - Coś ci się stało?

Mimi spojrzała ze złością. Całą jej twarz pokrywały krwawe kropeczki. Przeszła właśnie zabieg dermabrazji laserowej i jej skóra była trochę podrażniona. Ale dzięki temu niebieskie żyłki, pojawiające się wokół oczu stały się niemal niewidoczne.

- Nie twój interes.

Schuyler wzruszyła ramionami.

Mimi wyszła, trzaskając drzwiami.

Kilka minut później pielęgniarka wyczytała nazwisko Schuyler i zaprosiła ją do gabinetu. Zważyła dziewczynę, zmierzyła jej ciśnienie, a potem poprosiła o przebranie się w odslaniający plecy fartuch szpitalny. Schuyler założyła fartuch, po kilku minutach nadeszła lekarka.

Doktor Pat była surową, siwowłosą kobietą.

- Jesteś bardzo chuda - odezwała się do Schuyler na powitanie.

Schuyler skinęła głową. Nie miało znaczenia, co jadła - mogłaby żyć na diecie złożonej z czekoladowych ciastek i frytek, a i tak nie przytyłaby ani kilograma. Była taka od dziecka. Olivera zawsze zadziwiał jej możliwości. Mawiał, że biorąc pod uwagę, ile je, powinna być gruba jak beczka.

Doktor Pat obejrzała znaki na jej rękach, w milczeniu przyglądając się tworzonym przez nie wzorom.

- Miewasz zawroty głowy?

- Cza - przyznała Schuyler.

- Takie, po których nie możesz sobie przypomnieć, gdzie jesteś lub gdzie byłaś?

- Nie.

- Czy masz czasem poczucie, że śnisz, chociaż tak nie jest?

- Nie wiem, o czym pani mówi - wzruszyła ramionami Schuyler.

- Ile masz lat?

- Piętnaście.

- Czyli już pora - mruknęła doktor Pat. - Ale nie pojawiły się jeszcze retrospekcje. Hmm...

- Słucham?

Nagle przypomniała sobie wieczór w The Bank. Oliver skoczył po coś do picia, a ona poszła do toalety. Ale na zakręcie korytarza zderzyła się z dziwnym mężczyzną. Widziała go tylko przez moment - wysoki, szeroki w barach, w ciemnym garniturze - jego jasnoszare oczy wpatrywały się w nią w ciemności. A potem zniknął, chociaż za plecami miał tylko gołą ścianę. Było w nim coś starożytnego i dlatego, nie mogła tego uchwycić, ale wydawał się znajomy. Nie wiedziała, czy o coś takiego chodziło doktor Pat, więc nie wspominała o zdarzeniu ani słowem.

Lekarka sięgnęła po bloczek recept i zaczęła pisać.

- Zapiszę ci krem, który zamaskuje na razie twoje żyły, ale naprawdę nie masz się czym przejmować. Zapraszam na wiosnę.

- Dlaczego? Coś ma się stać wiosną?

Ale lekarka nie odpowiedziała.

Schuyler wyszła z przychodni, mając wiele pytań i wątpliwości.

Kiedy Mimi była czymś poruszona, wybierała się na zakupy. To była naturalna reakcja jej organizmu na intensywne emocje. Szczęśliwa czy smutna, w złym humorze czy triumfująca, szła zawsze w to samo miejsce. Teraz też wypadła z kliniki, zjechała wyścietaną dywanami windą na parter i przeszła przez Madison, kierując się do swojej przystani, domu handlowego Barneys. Uwielbiała to miejsce. Było dla niej czymś takim, jak Tiffany dla Holly Golightly*, miejscem, w którym nic okropnego nie ma prawa się wydarzyć. Kochała równe linie kontuarów stoisk kosmetycznych, jasne drewniane wykończenia, szklane gabloty, w których eksponowana była maleńka, ekskluzywna i niestęchająca kosztowna biżuteria, niewielka kolekcja włoskich torebek. Wszystko idealnie czyste, nowoczesne i doskonałe.

To była świetna odtrutka na wszystko, co się wydarzyło - ponieważ, oczywiście, Aggie nadal była martwa. To właśnie przerażało ją najbardziej. Ta śmierć oznaczała, że Komitet coś przed nimi ukrywał. Istniało coś, czego nie wiedzieli, albo też coś, czego Strażnicy nie chcieli im powiedzieć. Nie zamierzała tego kwestionować, ale złościło ją, że ojciec nabrał wody w usta i ani myślał wyjaśnić im cokolwiek.

I jeszcze ta Van Alenówna - ta od dziwacznej babki - po prostu pojawiła się w przychodni doktor Pat. Było w niej coś, czego Mimi nie

lubiła, nie tylko dlatego, że Jack wydawał się nią zainteresowany. Kiedy widziała ich razem, czuła falę obrzydzenia i musiała pozbyć się resztek tego nieprzyjemnego uczucia, sprawiającego, że miała ochotę zwymiotować. Chciałaby, żeby jej brat przestał się kręcić wokół obszarpanych drugoklasistek, takich jak Schuyler Van Alen. Co mu się stało?

Kobieta w gładkiej garsonce z szacunkiem zbliżyła się do Mimi.

- Chciałby pani rzucić okiem na to, co dla pani odłożyłam, panno Force?

Mimi skinęła głową. Poszła za swą osobistą sprzedawczynią do prywatnej przymierzalni na tyłach, zarezerwowanej dla VIP-ów i celebrytów. Był to okrągły pokój, ze skórzanymi sofami, niedużym barem i zastawionym bufetem. Na środku stały wieszaki z ubraniami, które sprzedawczyni wybrała specjalnie dla niej.

* Holly Golightly - bohaterka powieści *Śniadanie u Tiffany'ego*, autorstwa Trumana Capote.

Wzięta oblaną czekoladą truskawkę ze srebrnej tacy i jadła ją powoli, przeglądając wieszaki, zrobiła już zakupy na jesień w sierpniu, ale dobrze było upewnić się, czy nie przeoczyła czegoś modnego. Pogładziła złotą suknię balową Lanvina, wełniany żakiet Prady i kwiecistą sukienkę koktajlową Dedeka Lama.

- Wezmę je - zdecydowała. - A cóż my to mamy? - zagruchała, wyciągając strzęp szyfonu na wyściełanym wieszaku.

Zabrała ubranie do przymierzalni i wyłoniła się z niej kilka minut później w olśniewającej jedwabnej sukni w panterkę Roberto Cavallego. Suknia miała dekolt niemal do pępka, odsłaniający jej jasną skórę w kolorze kości słoniowej; na dole przechodziła w mgiełkę piór, otulających tydki.

- *Bleeissima.*

Mimi obejrzała się. Przystojny Włoch lustrował ją wzrokiem, przyglądając się odsłoniętemu wgłębieniu między piersiami.

Zakryła się dłońmi i obróciła do niego zgrabnymi plecami. W wycięciu sukni widoczna była krawędź czarnych majteczek.

- Możesz zapiąć?

Podszedł do niej i wsunął palec pod tasiemkę stringów, bawiąc się koronkami. Jego dotyk wywołał u niej gęsią skórę. Pogładził wgłębienie jej pleców, zatrzymując dłoń tuż nad biodrem. Uśmiechnął się do niej w lustrze, a ona odwzajemniła uśmiech. Wyglądał na niewiele ponad dwadzieścia lat, najwyżej dwadzieścia trzy. Na jego nadgarstku lśnił złoty Patek Philippe. Znała go z magazynów plotkarskich. Słynny manhattański playboy, który ponoć wysłał na terapię połowę dziewcząt z nowojorskiej śmietanki towarzyskiej.

- Ta suknia się tutaj marnuje - powiedział, powoli podciągając suwak.

Mimi cofnęła się o rok i przekrzywiła głowę, patrząc na suknię; dekolt ledwie zastaniał jej sutki. Zdecydowanie nie należało nosić pod nią bielizny.

- Więc może się gdzieś wybierzemy? - zapytała, a jej oczy niebezpiecznie zaśniły. Mogła wyczuć krew pod jego skórą, niemal

kosztować bogatego, wyrazistego w smaku płynu w ego żyłach. Nic dziwnego, że czuła się zirytowana i osłabiona - przez cały ten stres związany z pogrzebem Aggie nie miała czasu poszukać nowego chłopaka.

Niektórzy ludzie zapewne ostrzegliby młodą dziewczynę przed wsiadaniem z nieznanym do jego lamborghini. Ale kiedy Mimi umościła się na fotelu pasażera, a jej zakupy w Barneys w czarnych torbach spoczęły bezpiecznie w bagażniku, mogła się tylko uśmiechnąć. Wciąż miała na sobie lamparcią suknię.

Chłopak zapalił silnik i przycisnął pedał gazu, szybko zmieniając biegi, tak że opływowy, żółty sportowy samochód z piskiem opon ruszył Madison Avenue. Patrzyła na nią z drapieżny, głodem. Prawe ramię oparł o jej zagłówek, a palcami przesuwiał po jej ramieniu.

Zamiast zaprotestować, Mimi pociągnęła jego dłoń w dół, z rozbawieniem obserwując, jak jedną ręką cisnął jej pierś przez cienką tkaninę, a drugą pewnie prowadził samochód.

- Wygodnie ci? - zapytał z mocnym włoskim akcentem

- Bardzo wygodnie - powoli oblizwała wargi.

Nie miał pojęcia, w co się pakuje.

DWANAŚCIE

Powiedz mi jeszcze raz, co się zdarzyło.

Bliss siedziała na białej leżance w gabinecie doktor Pat. Rodzice umówili ją na wizytę po tym, jak ostatniej nocy obudziła się, krzycząc z całych sił.

- Byłaś wczoraj w świątyni - podsunęła lekarka.

- Tak. W skrzydle egipskim, w Metropolitan Museum - potwierdziła Bliss. - Odstonił mi oczy i zobaczyłam świątynię.

Wcześniej siedziała w poczekalni na białym fotelu i zastanawiała się, jakiej właściwie specjalności lekarzem jest „doktor Pat”. Miejsce wyglądało na klinikę dermatologiczną, ale widziała też kilka ciężarnych kobiet, czekających na USG w sąsiednim gabinecie.

- Tak, już mówiłaś.

- A potem... zarumieniła się. - Chyba chciał mnie pocałować. Chyba mnie nawet pocałował, ale nie jestem pewna, nic nie pamiętam. Kiedy się ocknęłam, szłam z nim przez skrzydło amerykańskie i oglądałam meble.

- To wszystko, co pamiętasz? - Pamiętam krzyk. - Ty krzyczałaś?

- Nie, ktoś inny. Gdzieś daleko - odparła Bliss. Rozejrzała się po gabinecie doktor Pat. Był to najczystszy, najbielszy gabinet, jaki kiedykolwiek odwiedziła. Zauważyła, że nawet instrumenty medyczne lśniły, ułożone starannie we włoskich szklanych pojemnikach.

- Opowiedz coś więcej.

Bliss poczerwieniła. Nie mogła się zdobyć na wyznanie tego, co ją tak bardzo niepokoiło. Rodzice już uważali ją za wariatkę - co będzie, jeśli doktor Pat to potwierdzi?

- To naprawdę dziwne, ale wydawało mi się, że stoję przed świątynią, wtedy, kiedy jeszcze wznosiła się tam, gdzie ją zbudowano. To znaczy, w Egipcie. Słońce świeciło bardzo jasno, nie widziałam nawet śladu ruin. Świątynia była cała. I ja też tam byłam. Tak jakbym znalazła się w filmie.

Doktor Pat nieoczekiwanie się uśmiechnęła. Było to tak zaskakujące, że Bliss odwzajemniła uśmiech.

- Wiem, że gadam, jak stuknięta, ale czułam się, jakbym cofnęła się w czasie.

Doktor Pat wyraźnie się rozpromieniła. Zamknęła i odłożyła notes.

- Twoje doznania są całkowicie normalne.

- Naprawdę? - zdziwiła się Bliss.

- Syndrom regeneracji pamięci.

- Co to takiego?

Doktor Pat wdała się w obszernie wyjaśnienia, dotyczące efektów „komórkowej restrukturyzacji poznawczej”, zachodzącego w mózgu zjawiska, które powodowało wrażenie „podróży w czasie”. Bliss niewiele z tego rozumiała.

- To coś jak deja vu. Zdarza się najlepszym pośród nas. -
Rozumiem. Czyli nie zwariowałam? Innym ludziom też się to zdarza?

- No cóż, nie wszystkim - odparła z namysłem lekarka. - Ale niektórym. Wyjątkowym ludziom. Powinnaś była wcześniej powiedzieć o tym rodzicom. Masz być w poniedziałek na spotkaniu Komitetu?

Skąd doktor Pat wiedziała o Komitecie? Bliss skinęła głową.

- Wszystkiego się dowiesz w swoim czasie. Na razie po prostu się nie przejmuj.

- Czyli wszystko ze mną w porządku? - Absolutnie w porządku.

Tej nocy Bliss obudziła się z pulsującym bólem głowy. Gdzie ja jestem? - zastanowiła się. Czuła się, jakby przejechała ją ciężarówka. Jej ciało było ociążane, a w głowie szumiło. Spojrzała na stojący koło łóżka zegarek. Wyświetlał 23:49.

Z wysiłkiem podciągnęła się do pozycji siedzącej. Dotknęła dłonią czoła - rozpalone. Pulsowanie w głowie stało się nieznośne.

Zaburczało jej w brzuchu. *Jeść.*

Opuściła stopy na podłogę i zmusiła się do wstania. To nie był dobry pomysł. Mdlilo ją i kręciło jej się w głowie. Czepiając się kolumnienki łóżka, sięgnęła do włącznika lampy. Zapaliła ją i sypialnię momentalnie zalało światło.

Wszystko było w takim stanie, jak zostawiła wieczorem - list i gruby plik formularzy Komitetu rozsypane na biurku, otwarta książka do niemieckiego, wieczne pióra ułożone równo w piórniku, zabawny magnes Stetsona, który dostała od przyjaciół w Teksasie, oprawione w ramkę zdjęcie jej rodziny na schodach Kapitolu, zrobione przy okazji zaprzysiężenia ojca na senatora.

Otarła oczy i przygładziła włosy, z doświadczenia wiedząc, że sterczą chaotycznie we wszystkie strony.

Jeść.

Coś mrocznego, nieustępliwego sprawiało Bliss niemal fizyczny ból. Pojawiło się nowe uczucie, doktor Pat nie wspominała o niczym takim ani słowem. Przycisnęła brzuch rękoma czując mdłości. Wyszła z sypialni na ciemny korytarz, kierując się w stronę kuchni.

Kuchnia wyposażona w sprzęt z nierdzewnej stali wyglądała surowo w nocnym świetle górnej lampy. Bliss widziała swoje odbicie we wszystkich powierzchniach - wysoka, smukła dziewczyna z przerażającymi włosami i posępną twarzą.

Otworzyła drzwi lodówki. Ustawione w równych rzędach stały tam butelki Vitamin Water, Pellegrino i Veuve Clicqout.

Zajrzała do szuflad. Świeże owoce, pokrojone i schowane do plastikowych pojemników. Kremowy jogurt. Połówka grejpfruta, zawinięta w folię. Kartonowe pudełko z resztkami chińszczyzny.

Nic z tego.

Jeeeeeeść.

Znalazła to, czego szukała, w szufladzie z mięsem. Pół kilo surowej wołowiny. Wyciągnęła ją i zdarła opakowanie z brązowego papieru. . Mięso. Napchała usta kęsami mielonej wołowiny, przeżuwając je łapczywie.

Praktycznie połykała je bez gryzienia.

- Co ty wyprawiasz?

Bliss zastygła.

Jej siostra Jordan, w różowej piżamie, stała w drzwiach kuchni i patrzyła na nią.

- Wszystko w porządku, Jordan. - BobiAnne nieoczekiwanie wyłoniła się z cienia. W kącie ust trzymała papierosa. Kiedy wypuściła powietrze, dym skłębił się wokół jej warg. - Wracaj do łóżka

Bliss odłożyła paczuszkę z mięsem na blat. Wytarła usta serwetką.

- Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Po prostu byłam głodna.

- Oczywiście, skarbie - zgodziła się BobiAnne, zupełnie jakby najnormalniejszą rzeczą na świecie było spotkanie pasierbicy, wyjadającej w środku nocy surowe mięso z lodówki.

- Jeśli nadal jesteś głodna, w drugiej szufladzie znajdziesz befsztyki z polędwicy.

I tymi słowami BobiAnne udała się na spoczynek.

Bliss zastanawiała się przez chwilę, czy świat zwariował. Doktor Pat powiedziała, że jej podróże poza czas i ciało są „normalnym zjawiskiem”, macocha nawet nie mrugnęła okiem, widząc ją w kuchni. Zamyśliła się na moment. A potem znalazła i zjadła także befsztyki.

Wysuszenie. Symptomy tej choroby obejmują wysoką gorączkę, omdlenia, zawroty głowy, plucie krwią i gromadzenie się płynu w płucach. W Pierwszych latach istnienia amerykańskiej kolonii w Plymouth szerzące się wysuszenie było przyczyną wielu zgonów.

Mianem „całkowitego wysuszenia” określano przypadek osoby, która zmarła, ponieważ jej krew całkowicie zniknęła z organizmu. Istnieją teorie sugerujące, że infekcja bakteryjna doprowadzała do rozpadu ciałek krwi, rozrzedzając osocze i powodując jego wchłonięcie do komórek, co sprawiało wrażenie, jakby cała krew została odsączona.

Śmierć i życie w kolonii Plymouth (1620-1641),
prof. Lawrence Winslow Van Alen

TRZYNAŚCIE

Następnego dnia wszystkie klasy liceum znowu zgromadziły się w kaplicy, ale już z mniej ponurych przyczyn. Chodziło o prezentacje zawodników. Nawet tragiczna śmierć jednej z uczennic nie mogła zmienić sztywnego grafiku spotkań, zaplanowanych przez szkołę na cały rok. Duchesne szczytiło się tym, iż w jego założenia edukacyjne wpisana została prezentacja jak największej liczby możliwych profesji i dostępnych dla absolwentów ścieżek kariery. Uczniowie odbywali spotkania zarówno ze słynnym chirurgiem kardiologiem, jak i wydawcą prestiżowego magazynu, prezesem firmy z rankingu Fortune 500, czy sławnym reżyserem filmowym. Pośród gości było wielu wychowanków Duchesne lub rodziców uczniów Duchesne. Większość dzieciaków nie miała nic przeciwko półtoragodzinnej przerwie w szkolnej rutynie, podczas której mogli chrapać w tylnych ławkach, co było wiele wygodniejsze niż drzemanie w klasach.

- Dzisiaj chciałabym przedstawić specjalnego gościa - oznajmiła dziekan Molloy. - Zgodziła się z wami potkać Linda Farnsworth z agencji Farnsworth Models.

Fala zaciekawienia i aprobaty rozeszła się wśród zgromadzonych.

Farnsworth Models zaliczała się do najbardziej znanych firm na niezwykle obłożonym rynku modelingu. Odbywające się dwa razy w roku prezentacje w Duchesne traktowano jako pretekst do rozejrzenia się pośród uczniów i wybrania świeżej porcji kandydatów. Dziwnym ale niezaprzeczalnym zrzędzeniem losu Duchesne stanowiło wylęgarnię

nowojorskich modeli i modelek. Uczniowie tej szkoły kręcili biodrami w teledyskach, spacerowali po wybiegu w Bryant Park, pojawiali się w reklamach telewizyjnych i prasowych. Sporo ich podobizn zdobiło katalogi J. Crew i Abercrombie & Fitach. Modeli w typie „Duchesne” - wysokich, smukłych, blond, arystokratycznych i na wskroś amerykańskich - poszukiwano aktualnie bardziej niż kiedykolwiek.

Lina Farnsworth, niska, krępa, gustownie ubrana kobieta o falistych włosach nosiła półokrągłe okulary. Jej głos wibrował w mikrofonie, gdy omawiała cienie i blaski profesji modela. Podkreślała plusy („Wspaniała sesje zdjęciowe! Podróże do egzotycznych miejsc! Świetne przyjęcia!”) i jednym tchem wyjaśniła, jak ciężkiej pracy wymaga uzyskanie doskonałych zdjęć. Kiedy skończyła, rozległ się szmerek uprzejmych braw.

Po zakończeniu części oficjalnej Linda przygotowała stanowisko castingowi na półpiętrze trzeciego piętra, zapraszając zainteresowanych uczniów, by spróbowali swych sił. Niemal wszystkie dziewczyny, a nawet kilku chłopaków, czekało w kolejce, alby przekonać się, czy mają jakieś szanse.

Gdy grupka osowiałych pierwszoklasistów została odesłana z kwitkiem, pojawiła się Mimi. Ubrała się szczególnie starannie na tę okazję, w obcisły T-shirt C&C Kalifornia oraz nisko wycięte džinsy biodrówki Paize. Słyszała, że modelki powinny na castingu wyglądać możliwe zwyczajnie, stać się pustym płótnem, na którym reklamodawcy i projektanci łatwiej będą mogli wyobrazić sobie własne wizje. Poprzedniego wieczora porzuciła wyczerpanego Włocha w jego apartamencie. Kipiła wręcz energią i witalnością.

- Przejdź się schodami na górę, potem zejdziesz, proszę - poleciła właścicielka agencji.

Linda cmoknęła z aprobatą, gdy Mimi weszła na schody i wróciła, okręcając się na ich szczycie.

- Masz idealne proporcje, złotko, a do tego naturalny talent. Najważniejsza jest właśnie umiejętność poruszania się. Czy chciałabyś zostać modelką?

- Oczywiście! - Mimi triumfalnie zaklaskała w dłonie, zachwycona, że ją wybrano. Najwyższy czas trafić do grona profesjonalnych piękności!

Przyszła kolej na Bliss. Wbiegła po schodach i wróciła, machając rękami. Nadal czuła mdłości na myśl o porcji wołowiny, którą pożarła ostatniej nocy, chociaż po tym posiłku poczuła się zdecydowanie lepiej. Dalej też dziwiło ją, że BobiAnne zareagowała na to tak spokojnie.

- Chodzisz trochę sztywno, złotko, ale nad tym można popracować. Tak, przydasz nam się w Farnsworth - zdecydowała Linda.

Mimi i Bliss uściskały się z radością. Bliss zauważyła, że Dylan obserwuje ją, stojąc w rogu holu. Uśmiechnęła się do niego niepewnie, a on skinął w odpowiedzi. Miała nadzieję, że podczas wizyty w Metropolita Museum nie zauważył w jej zachowaniu niczego dziwnego. Doktor Pat wyjaśniła, że przy syndromie regeneracji pamięci część świadomości działa normalnie, ale jakaś część powraca do przeszłości. Takie luki w pamięci nie trwają długo - najwyżej cztery, pięć minut. Bliss nie podobało się, że część odpowiedzialna za pamiętanie, czy się całowali, była w kluczowym momencie nieobecna. Nie wiedziała, jak powinna traktować Dylana. Chodzili ze sobą czy nie? Byli przyjaciółmi? Złościło ją, że nie

wie, na czym stoi, w przypadku chłopaka, w którym jest zakochana. Właśnie, nie ma co się oszukiwać. Była w nim zakochana. Do tego stopnia, że pomału przestawało ją obchodzić, co powie Mimi, widząc ich razem..

Bliss zerknęła na Mimi z lekką niechęcią. Nawet jeśli zawdzięczała obecny status i popularność towarzyską przyjaciółce, nie zamierzała jej we wszystkim słuchać.

Zadzwonił dzwonek na lekcję. Jakaś znużona dziewczyna minęła szybkim krokiem stanowisko castingowi, nawet się nie rozglądając. Schuyler przespała całe spotkanie, ponieważ ostatniej nocy prawie nie zmrużyła oka.

Linda Farnsworth zatrzymała ją, wyrrywając z zamyślenia.

- Witam! Z kim mam przyjemność?

- Z Schuyler Van Alen - odparła Schuyler. Dlaczego tak odpowiedziała? Dlaczego nie mogła być bardziej pewna siebie? - Znacząca jestem Schuyler - powiedziała, nerwowo odgarniając włosy z oczu.

- Czy chciałabyś zostać modelką?

- Ona- modelką? - prychnęła Mimi. Siedziała z boku, wypełniając kontrakt dla agencji Farnsworth. Spojrzała na Schuyler z nienawiścią.

- Cśśśś - mruknęła Bliss, na tyle zakłopotana, że szturchnęła Mimi łokciem.

Schuyler usłyszała je. Spojrzała na swoje ubranie - podarte rajstopy z oczkami na obu kolanach(co samo w sobie było sprzeczne z obowiązującym strojem), luźna, staroświecka kwiciasta sukienka z

obniżoną talią, grube szare skarpetki (nie mogła znaleźć czarnych), pooklejane taśmą tenisówki i półokrągłe okulary. Poza tym od wieków nie myła włosów. Mimi nie musiała się tak przejmować, Schuyler nie miała zamiaru zostawać modelką. Jednak jakaś jej część poczuła się bardzo dowartościowana, chociaż w ogóle nie przywiązywała wagi do swego wyglądu.

- Nie, raczej nie - odparła Schuyler, uśmiechając się przepraszająco.

- Ale wyglądasz jak młoda Kate Moss! - przekonywała ją Linda. - Mogę zrobić ci zdjęcie?

Linda pstryknęła aparatem, zanim Schuyler zdążyła zaprotestować.

Schuyler zasłoniła oczy.

- No dobrze...

- Daj mi swój numer. Nie musisz niczego podpisywać, ale jeśli znajdziemy projektanta, który będzie tobą zainteresowany, zadzwonię. Możemy się tak umówić?

- Chyba tak - zgodziła się, bez dalszego namysłu zapisując swój telefon. - Przepraszam, muszę iść.

Mimi spojrzała na Schuyler złym okiem i przemaszerowała obok, zadzierając głowę. Bliss ruszyła za nią i złapała spojrzenie Schuyler.

- Gratuluję - powiedział cicho. - Mnie też wybrano.

- Yyy... Tak, jasne, dzięki - odparła Schuyler zaskoczona, że ktoś z otoczenia Mimi o ogóle się do niej odzywa.

- Idziesz do Sali plastycznej? - zapytała życzliwie Bliss.

- Mhm... - Schuyler zawahała się, nie wiedząc, czego chce ta dziewczyna. Z ulgą zauważyła przy fontannie Olivera i odwróciła się od Bliss, nie zwracając na nią dłużej uwagi.

- Cześć - rzuciła.

- O, cześć, Sky - objął jej szczupła ramiona i razem weszli tylnymi schodami, ukrytymi w korytarzu części administracyjnej, do mieszczącej się na poddaszu sali plastycznej. Dylan już tam był i wyszczerzył się do nich znad koła garncarskiego. Miał na sobie fartuch, a jego ręce były po łokcie umazane gliną.

- Ekstra jest się tak wyświnić - mrugnął porozumiewawczo.

Parsknęli śmiechem i zajęli miejsca po jego bokach. Schuyler rozstawiła sztalugi, a Oliver wyciągnął swój drzeworyt. Żadne z nich nie zwróciło uwagi na Bliss, przyglądającą się im intensywnie z drugiego końca Sali.

Między pociągnięciami pędzla Schuyler przypadkiem spostrzegła, że Jack Force pochyla się nad stołem Kitty Mullines, podziwiając jej rzeźbą syjamskiego kota. Na szyli dziewczyny zauważyła wymowną malinkę.

Nie tylko ona ich widziała. Oliver uniósł brwi, ale nie odezwał się ani słowem, za co była mu wdzięczna. Mogła się domyślić, że Jack znajdzie sobie dziewczynę. Była ciekawa, czy do tamtej też pisał na lekcjach tajemnicze liściki. Jasne. Nie potrzebował dużo czasu. Poczula ogarniającą ją falę irytacji, ale postarała się to zignorować.

Oliver udał, że zamierza się na Jacka niewidzialnym toporem. Schuyler roześmiała się i wyrzuciła Jacka Force'a z pamięci raz na zawsze.

CZTERNAŚCIE

Bliss popatrzyła znad sztalug. Nauczyciel gestykułował rozwodząc się nad jej pejzażem, ale nie słuchała go. Prześlizgnęła się wzrokiem na drugą stronę sali, tam gdzie siedział Dylan.

Nie okazał w żaden sposób, że ją zauważa. Jasne, kiedy przypadkiem na siebie wpadali, traktował ją życzliwie. I na tym polegał problem - był po prostu życzliwy. Może jednak tamtego popołudnia wcale nie całowali się w Metropolitan? Może nic się nie wydarzyło? Może przestała budzić jego zainteresowanie? Stanowiłoby to cios zarówno dla jej dumy, jak i dla jej serca? To było zwyczajnie niesprawiedliwe, tym bardziej, że akurat teraz tak niesamowicie jej na nim zależało. Zaprzątał jej myśli znacznie częściej, niż powinien zwyczajny „kumpel-który-nawet-nie-należy-do-towarzystwa”. Aktor zadzwonił, model błagał ją o randkę, ale ona potrafiła myśleć tylko o tym, jak czarne włosy Dylana skręcają się wokół uszu, i o tym, jak patrzył na nią wielkimi, smutnymi oczami. Wiedziała, że to ten typ chłopaka który jest w stanie łamać zasady niezależnie od konsekwencji, ale podobało jej się to. Ekscytował ją.

Obserwując, jak zachowuje się w stosunku do przyjaciół

- Tej gotki, która właśnie dostała propozycję zostania modelką i tego słodkiego, chudego chłopaka z szopą włosów na głowie - poczuła

ukłucie zazdrości. Dylan wygłupiał się, obrzucając ich gliną, a oni najwyraźniej nie mieli mu tego za złe. Wręcz przeciwnie. Sprawiali wrażenie, że świetnie się bawią.

Po lekcji przy drzwiach utworzył się korek - po bardzo wąskich schodach trzeba było schodzić pojedynczo. Bliss nagle znalazła się tuż obok Dylana. Uśmiechnęła się do niego nieśmiało.

- Cześć.

- *Après vous*, szanowna pani - powiedział szarmancko, przepuszczając ją.

Skinęła głową w podziękę, zwlekając z odejściem i czekając czy powie coś jeszcze

- Może nawet znowu ją gdzieś zaprosi. Ale nie odezwał się więcej.

Zeszła sama po schodach, a on zaczekał na przyjaciół.

Czuła, że poniosła klęskę.

Po lunchu z Mimi i jej siostrą Bliss zeszła do sutereny, żeby zabrać książki na następną lekcję. Zauważyła Schuyler, przebierającą się przed wuefem w korytarzu. Stała przy swojej szafce, w gromadce chłopców i dziewcząt w różnych stadiach negliżu.

Szkoła stanowiła przedziwną mieszankę luksusu i ubóstwa

- Z jednej strony w suterenie znajdowała się najnowocześniejsza sala teatralna z widownią mogącą pomieścić dwieście osób, a z drugiej nie było szatni, bo nie wygospodarowano dla niej miejsca w budynku. Uczniów zachęcano do przebierania się w toaletach, ale ponieważ mieli na to tylko pięć minut, większość z nich ignorowała przepisy i przebierała się na korytarzu, żeby oszczędzić na czasie. Dziewczęta, kryjąc się pod

obszernymi T-shirtami, do perfekcji opanowały manewr, polegający na wyciągnięciu stanika przez rękaw bluzki i włożeniu stanika sportowego. Chłopcy kompletnie nie zwracali na nie uwagi.

Jedną z dziwacznych cech Duchesne było to, że ponieważ wszyscy znali wszystkich od przedszkola, łączyły ich układy niemal braterskie. Rozbierające się nastolatki bulwersowały tylko mało pedagogiczne, szczególnie nauczyciela historii, który zabłądziwszy kiedyś w ten korytarz, wpadł na rozebraną trzecioklasistkę, budząc złośliwe śmieszki - ale niewiele dało się z tym zrobić. Publiczne przebieranie się należało do tych nietypowych rzeczy, które stanowiły część nauki w Duchesne.

- Cześć, masz chwilę? - Bliss oparła się o szafkę i patrzyła, jak Schuyler znika pod ogromną bluzą od dresu. Będąca od niedawna w szkole Bliss, jako jedna z nielicznych dziewcząt, przebierała się w toalecie. W porównaniu z innymi czuła się za bardzo skrępowana. Mimi, na przykład, lubiła paradować w staniczku La Petite Cocquette, jakby spacerowała po plaży w Saint-Tropez.

- Mfff? - mruknęła Schuyler, zaplątana w obszerne ciuchy. Poruszała łokciami na boki i w górę, próbując wsunąć się w strój gimnastyczny. Zamaszyście ściągnęła bluzę, wylaniając się spod niej w obszernym T-shircie i workowatych spodniach od dresu.

- O co chodzi? - zapytała, przypatrując się nieufnie Bliss

- Kumplujesz się z Dylanem, nie?

Schuyler wzruszyła ramionami.

- No. I co z tego? - Spojrzała na zegarek. Lada chwila miał zabrzmieć dzwonek, dzieciaki z jej klasy wchodziły już po schodach do mniejszej sali gimnastycznej.

- Ja... Dobrze go znasz?

Schuyler znowu wzruszyła ramionami. Nie była pewna, o co chodzi Bliss. Pewnie, że dobrze znała Dylana. Ona i Oliver byli jego jedynymi przyjaciółmi.

- Słyszałam plotki. - Bliss rozejrzała się, czy ktoś nie podsłuchuje.

- Tak? Jakie? - Schuyler uniosła brwi. Wepchnęła bluzę do szafki.

- No, że ostatniego lata był zamieszany w jakąś historię z dziewczyną z Connecticut...

- Nic o tym nie wiem - ucięła Schuyler. - Tutaj o wszystkich się plotkuje. Wierzysz w to?

Bliss wyglądała na zaszokowaną.

- Nie! Nie wierzę w ani jedno słowo.

- Słuchaj, muszę lecieć - powiedziała obcesowo Schuyler, zarzucając na ramię rakietę tenisową i szykując się do odejścia.

- Czekaj - zawołała Bliss, idąc obok Schuyler i starając otrzymać jej kroku na schodach.

- O co chodzi?

- Ja ... Znaczy ... - Bliss zawahała się. - Przepraszam, że tak to wyszło. Moja wina. Możemy jeszcze raz zacząć? Proszę. Schuyler zmrużyła oczy. Rozległ się dzwonek.

- Spóźnię się - oznajmiła sucho.

- Chodzi o to, że byliśmy ostatnio w Metropolitan i myślałam, że było naprawdę łajnie, ale nie wiem, on się do mnie nie odezwał od tego czasu - wyjaśniła Bliss. - Ma jakąś dziewczynę?

Schuyler westchnęła. Jeśli się spóźni na lekcję, jej babka otrzyma powiadomienie. W Duchesne nie zostawało się po lekcjach, jedyną karę stanowiły zanoszone do domu uwagi, przeznaczone dla niezwykle zaangażowanych rodziców, którzy popełniliby harakiri, gdyby ich pociecha nie dostała się na Harvard. Spojrzała na Bliss, zauważając jej nerwowe zachowanie i pełen nadziei uśmiech.

Schuyler niechętnie doszła do wniosku, że może jednak Bliss nie była kolejnym z klonów Mimi. Nie miała na przykład prostowanych blond włosów i nie nosiła na bluzie gimnastycznej irytującego napisu „Team Force”, jak reszta tej bandy.

- O ile wiem, z nikim nie chodzi. Mówił raz, że spotkał kogoś pewnej nocy, w klubie... - rzuciła, obserwując reakcję Bliss.

Dziewczyna zarumieniła się.

- Wszystko jasne - skinęła głową Schuyler. Wbrew sobie poczuła, że mięknie. Bliss nie mogła być taka zła, skoro Dylan zabrał ją do Metropolitan Museum. Schuyler nie była pewna, czy Mimi w ogóle wiedziała, co to jest Metropolitan Museum.

Życie Mimi obracało się wokół zakupów i stolików dla VIP-ów. Pewnie pomyślałaby, że to jakiś nowy klub.

- Jeśli mogę ci coś radzić, daj mu po prostu czas. Chyba naprawdę cię lubi - powiedziała z życzliwym uśmiechem.

- Naprawdę? Mówił coś o mnie? Schuyler wzruszyła ramionami.

- Nie chciałabym się wtrącać... - zawahała się.

- Co takiego?

- No wiesz, raczej by się nie obraził, gdybyś go zaprosiła na jesienny bal. Sam pewnie w życiu by nie poszedł, ale może się zdecyduje, jeśli ty go poprosisz.

Bliss uśmiechnęła się. Bal miał się odbyć następnego wieczora. Powinno się udać. Rodzice na pewno jej pozwolą na wewnątrzszkolnej imprezie będzie przecież tłum opiekunów, tak więc nie muszą się niczego obawiać.

- Dzięki.

- Nie ma sprawy - odparła Schuyler i pobiegła schodami, nie oglądając się więcej.

Bliss nagle przyszedł do głowy pomysł. Wyrwała kartkę z notesu i naskrobała na niej kilka słów.

Starannie wyrównała brzegi, spryskała liścik perfumami, po czym wsadziła go do szafki Dylana.

Była zaskoczona swoją śmiałością. Nigdy wcześniej nie uganiała się za żadnym chłopakiem. Ale zawsze musiał być ten pierwszy raz.

PIĘTNAŚCIE

Doroczny bal w Duchesne nazywano „nieformalnym”, ale chyba trudno byłoby wymyślić mniej pasujące określenie. Tańce odbywały się w siedzibie głównej Towarzystwa Amerykańskiego, okazałej budowli z czerwonej cegły. Zlokalizowanej na rogu Park Avenune i Sześćdziesiątej Ósmej. Towarzystwo zajmowało się badaniem wczesnej historii Ameryki, w tym dokumentów z początków kolonizacji Ameryki i podróży „Mayflower”. Na drugim piętrze znajdowała się wyłożona boazerią biblioteka z beczkowym sklepieniem, a także kilka przytulnych sal klubowych, idealnych na przyjęcia i potańcówki. Było to modne miejsce imprez towarzyskich i wiele przyszłych panien młodych płaciło fortunę za przywilej urządzenia wesela przy Park Avenune. Natomiast dla uczniów Duchesne budynek Towarzystwa był po prostu miejscem, w którym odbywały się szkolne imprezy.

Wcześniej tego wieczora Oliver i Schuyler siedzieli w jego pokoju, jak zwykle nic nie robiąc – ale kiedy Schuyler wspomniała przypadkiem, że podobno Dylan – jakkolwiek dziwnie to brzmiało – wybiera się na tę nudną imprezę, Oliver podchwycił pomysł.

- Też chodźmy.

- My? Po co? – przeraziła się Schuyler.

- No chodź, będzie fajnie.

- Nie będzie – sprzeciwiła się Schuyler. – Mamy iść na jakiś bal snobów?

Tylko po to, żeby popatrzeć, jak Mimi się rządzi?

- Podobno mają niezłą wyżerkę – namawiał Oliver.

- Nie jestem głodna.

- Daj spokój, co mamy innego do roboty?

Po ekscytującej wyprawie do The Bank w zeszłym tygodniu, siedzenie na łóżku Olivera i czytanie magazynów wydawało się mało ciekawe.

- No dobra – zgodziła się Schuyler. – Ale muszę wpaść do domu i się przebrać.

- Jasne.

Kiedy Oliver pojawił się pod jej domem, Schuyler miała na sobie czarną koronkową sukienkę przed kolana, w stylu lat 50, delikatnie białe rękawiczki, siatkowe rajstopy i szpilki z zaokrąglonymi noskami. Sukienka bez ramion, znaleziona na e-Bayu za trzydzieści dolarów, idealnie przylegała do jej wąskiej talii, układając się wokół bioder w zgrabny dzwon, podtrzymywany przez warstwy tiulowych halek. Na dnia pudełka z pozytywką znalazła perły swojej babki, z czarną satynową wstążką, i założyła je na szyję. Oliver zdecydował się na ciemnoniebieską jedwabną marynarkę, czarną koszulę i czarne spodnie. Wręczył Schuyler prześliczną ozdobą ze świeżych różyczek.

- Skąd to masz? – spytała Schuyler, kiedy wsunął kwietny drobiazg na jej nadgarstek.

- W Nowym Jorku można wszystko zamówić – podał jej kwiat, który wpięła mu w butonierkę.

- Jak wyglądamy?

- Idealnie – odparł, służąc jej ramieniem.

Kiedy przybyli do siedziby Towarzystwa Akademickiego, z szeregu czarnych Lincolnów wysiadali parami uczniowie. Dziewczeta miały na sobie eleganckie czarne suknie koktajlowe i perły, chłopcy – niebieskie marynarki i wełniane spodnie. Nikt nie miał przypiętych kwiatów, dziewczyny trzymały lilie na długich łądogach, które beztrudno odkładały na bok tuż po wejściu na salę.

- Chyba o czymś nas nie poinformowano – zażartowała Schuyler.

Weszli na górę, starając się wtopić w tłum. Kilka dziewcząt zaczęło szeptać, widząc sukienkę Schuyler.

- To musi być Marc Jacobs – usłyszała ściszony głos.

- Raczej wypożyczalnia kostiumów – prychnął ktoś inny.

Schuyler odwróciła się czerwona ze wstydu.

Znaleźli Dylana na drugim półpiętrze, obok rogu obfitości. Nosił sportową marynarkę z wielbłądziej wełny, czarną koszulę o dopasowane wełniane spodnie. Bliss Llewellyn, rudowłosa piękność z Teksasu, siedziała mu na kolanach. Miała na sobie sięgającą do kolan, czarną, obcisłą sukienkę Costume National, sandaalki na szpilce od Prady i długi sznur pereł na łąbędziej szyli.

- Cześć wam – powiedział Dynak na ich widok. Uścisnął rękę Olivera i cmoknął Schuyler w policzek. – Znacie chyba Bliss?

- Nieźle się odstawiłeś – uśmiechnęła się Schuyler, strzepując pyłek z jego kołnierza.

- Czy to Hugo Boss? – zakpił Oliver, udając, że ogląda uważnie tkaninę.

- Jasne, i nie pobrudź tego swoimi łapami – odciął się Dylan, lekko dotknięty, ale z uśmiechem.

Bliss uśmiechnęła się do nich radośnie. Mrugnęła do Schuyler.

- Fajna kiecka – zauważyła i zabrzmiało to szczerze.

- Dzięki.

- Rozejrzeliście się już? Na górze dają niezłe żarcie – powiedział Dylan.

- Nie, zaraz zobaczymy – odparł Oliver. Zostawili parę i przepchali się przez tłum do bufetu.

Sala była udekorowana białymi lampkami choinkowymi, a na jej końcu na zastawionych stołach znajdowały się elegancko zaaranżowane dania mięsne na ciepło i na zimno, a także srebrne tace z wykwintnymi przystawkami i francuskimi ciastkami. W środkowej Sali spocona mieszanka arystokratycznych dziewcząt i bogatych chłopców wirowała w rytm ostrego rapu. Światła były zgaszone i Schuyler widziała tylko ich sylwetki. Wszyscy chłopcy z Duchesne mieli małe srebrne piersiówki od Tiffany’ego, wystające z kieszeni spodni. Od czasu do czasu ukradkiem pociągali łyk albo wlewali trochę alkoholu do szklanek swoich towarzyszek. Nawet Oliver miała własną piersiówkę z monogramem. Po Sali kręciło się kilkoro nauczycieli, ale najwyraźniej nie zauważali lub nie zwracali uwagi na to potajemne popijanie.

- Chcesz łyk?

- Pewnie – odparła Schuyler, wyjmując mu z ręki flaszkę. Ciepły płyn zapiekł ją w gardło. Przez moment szumiało jej w głowie, a potem pociągnęła jeszcze kilka razy.

- Przyhamuj! To ma 90% - ostrzegł Oliver. – Film ci się urwie – dodał radośnie.

Ale Schuyler czuła się całkiem tak samo trzeźwa, jak przedtem, chociaż uśmiechnęła się i udała, że alkohol na nią działa.

Stali nieśmiało z boku, piastując srebrne kubki z naturalnym sokiem owocowym. Udawali, iż nie przejmują się tym, że nikt do nich nie podchodzi ani się nie wiat, nie wykonuje żadnego gestu, świadczącego o tym, że są mile widziani na imprezie. Schuyler rozejrzała się po stłoczonych grupkach uczniów, oblegających stoliki barowe, palących na balkonie lub pozujących do zdjęć na

tle fortepianu, i uświadomiła sobie, że chociaż większość z tych ludzi zna od zawsze, tak naprawdę nie przynależy do żadnego grona. To zdumiewające, nawet Dylan znalazł swoje miejsce i popularną dziewczynę, podczas gdy ona i Oliver jak zwykle trzymali się na uboczu.

- Zatańczymy? – Oliver wskazał ciemną salę.

- Nie – potrząsnęła głową.

- Chcesz stąd iść? – Oliver doszedł chyba do tych samych wniosków, co przyjaciółka. – Możemy jeszcze skoczyć do The Bank, na pewno mają tam lepszą muzykę.

Schuyler była rozdarta. Z jednej strony ona i Oliver mieli pełne prawo tu przebywać – byli przecież uczniami Duchesne – ale z drugiej chyba najlepiej było wymknąć się niepostrzeżenie, a przy odrobinie szczęścia nikt nie zauważy, że w ogóle przyszli.

Oliver zmusił się do uśmiechu.

- To moja wina.

- Nie. Wcale nie. Też chciałam tu wpaść – zaprotestowała Schuyler. – Ale masz rację, chyba na dziś wystarczy.

Zeszli szerokimi, wyłożonymi czerwonym dywanem schodami. Na najniższym stopniu stali Jack Force i Kitty Mullins. Schuyler wstrzymała oddech i skierowała się do drzwi, nie patrząc na niego. Mocno ścisnęła ramię Olivera.

- Już wychodzicie? – zawołał za nimi Jack.

Obejrzała się. Kitty Mullins zniknęła, a samotny Jack przechylał się przez poręcz. Nosił szytą na zamówienie białą koszulę z szerokimi mankietami, z przodu wepchniętą w spodnie, ale z tyłu jak zwykle z nich wyłazącą,

zaprasowane w kant spodnie khaki i niedbale rozpiętą granatową marynarkę. Miał przekrzywiony krawat i wyglądał zabójczo. Bawił się spinką od prawego mankietu.

- Właśnie się zbieraliśmy – odparła, uśmiechając się wbrew sobie.

- Dajcie spokój, zostańcie – poprosił Jack, odpowiadając uśmiechem i patrząc jej prosto w oczy. – Zabawa się dopiero rozkręca.

Schuyler na chwilę zapomniała, że Oliver stoi tuż obok niej, więc zaskoczyło ją, kiedy się odezwał. Patrzył na nią z wyraźną obojętnością.

- Chyba się jeszcze czegoś napiję. Idziesz ze mną?

Schuyler nie odpowiedziała i przez ciągnącą się bez końca chwilę stali, uwięzienie w niezręcznym trójkącie.

- Ja... tego... nie chce mi się pić. Potem cię złapię, okej? – poprosiła.

Oliver zmarszczył brwi, ale nie zaprotestował i ruszył szybko na górę.

Schuyler splotła ramiona. O co chodziło Jackowi? Przez cały tydzień po ich rozmowie na pogrzebie praktycznie nie odzywał się do niej słowem, a teraz znowu szukał jej towarzystwa? Po co w ogóle dawała mu jakąkolwiek szansę?

Jack podszedł i otoczył ją ramieniem.

- Chodź, zatańczymy. Chyba grają moją piosenkę.

Pozwoliła poprowadzić się na piętro i tym razem wszystkie głowy obróciły się, kiedy weszli do Sali. Schuyler zauważyła zazdrosny podziw dziewcząt, a kilku chłopaków patrzyło na nią z szacunkiem. Chwilę wcześniej była niewidzialna, ale obecność Jacka wszystko zmieniała. Przyciągnął ją bliżej, zaczęła kołysać się w takt muzyki. Sala wibrowała seksownym, hipnotycznym rytmem „Time is Running Out” zespołu Muse. *I think I'm drowning,*

asphyxiated... Przysunęła się bliżej, czując niemal, jak drży powietrze pod wpływem gorąca między nimi.

SZESNAŚCIE

Rodzice zbierali się do wyjścia. Mimi stała w sypialni, nasłuchując dźwięku szpilek matki na marmurowej podłodze i towarzyszących jej cięższych kroków ojca.

- Cześć, mała – zawołała Trinity, stukając do drzwi. – Wychodzimy z tatą.

- Wejź – odparła Mimi. Włożyła kandelabrowe kolczyki i krytycznie zlustrowała swoje odbicie. Trinity otworzyła drzwi i weszła do pokoju. Miała na sobie suknię do ziemi – od Valentino, pomyślała Mimi – oraz imponującą sobolową etolę na ramionach. Wyglądała elegancko i olśniewająco z długimi blond włosami, zawijającymi się w loki na wysokości obojczyków. Jej fotografie pojawiały się często w rubrykach towarzyskich i w magazynach mody.

Rodzice szli na jakiś bal charytatywny. Zawsze gdzieś szli. Mimi nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio któreś z nich jadło obiad w domu. Bywało, że nie widywała ich całymi tygodniami. Jej matka spędzała czas w salonie fryzjerskim klubie fitness, gabinecie terapeuty albo w butikach przy Madison Avenue. Ojciec zawsze był w biurze, zajęty pracą.

- Nie wracaj zbyt późno – napomniała Trinity, całując córkę w policzek.

- Ślicznie wyglądasz. Czy to ta sukienka, którą Ci kupiłam?

Mimi skinęła głową.

- Ale kolczyki są chyba trochę zbyt strojne? – zasugerowała matka.

Mimi poczuła ukłucie. Nienawidziła krytyki.

- Wydaje mi się, że pasują, mamó. Trinity wzruszyła ramionami.

Mimi zauważyła, że jej ojciec stoi w drzwiach, spoglądając z niecierpliwością. Rozmawiał z ozywieniem przez komórkę. Ostatnio był bardziej roztargniony niż zazwyczaj. Coś go trapiło, coś zaprzętało jego myśli.

Niedawno wróciła do domu kilka godzin później, niż powinna, ale ojciec, który przyszedł dolać sobie brandy i zobaczył, jak wślizguje się przez kuchnię, nie powiedział ani słowa.

- Gdzie Jack? – Matka rozejrzała się, jakby przypuszczała, że Jack może chować się pod toaletką.

- Już poszedł – wyjaśniła Mimi. – Mój partner się spóźnia.

- Baw się dobrze. – Trinity pogładziła policzek Mimi. – Nie wpakuj się w kłopoty.

- Dobranoc – powiedział Charles, zamykając cicho drzwi sypialni.

Mimi ponownie przejrzała się w lustrze. Z jakichś powodów zawsze, kiedy rodzice wieczorem się z nią żegnali, czuła się osamotniona. Porzucona. Nie potrafiła do tego przywyknąć. Zdjęła kandelabrowe kolczyki. Matka miała rację, nie pasowały do tej sukienki.

Niedługo po odjeździe rodziców pojawił się Włoch. Wydawał się całkowicie innym człowiekiem niż ten, którego poznała w Barnevs. Gdzieś ulotniła się jego pewność siebie i uśmiech drapieżnika. Wyssała je z niego. Teraz była górą. Miała go już właściwie dość – stanowił zbyt łatwą zdobycz. Ale tak było z każdym.

- Poprowadzę – powiedziała, wyjmując mu kluczyki z kieszeni.

Nie zaprotestował.

Do gmachu Towarzystwa Amerykańskiego nie mieli daleko, ale i tak Mimi zdołała przejechać kilka czerwonych świateł i zmusić karetkę do gwałtownego skrętu uniemożliwiającego zderzenie.

Podjechała pod markizę, gdzie oczekiwał portier. Wysiedli z samochodu, Mimi rzuciła komuś z personelu kluczyki, a Włoch podążał za nią jak piesek. Razem wkroczyli do wnętrza.

Mimi wyglądała cudownie w ciemnogrnatowej sukience Peter Som, z włosami spiętymi w wysoki kok. Za jedyną ozdobę miała potrójny sznur rodowych australijskich pereł. Wzięła towarzysza pod ramię i pokierowała na schody. A tam ujrzała swoją najlepszą przyjaciółkę, Bliss Llewellyn, całującą się namiętnie z tym śmieciem, Dylanem Wardem.

- Witaj – głos Mimi był lodowaty jak pustynia arktyczna. Kiedy to się stało? Mimi nie lubiła czuć się niedoinformowana.

Bliss odkleiła się od ust Dylana i zarumieniła na widok Mimi. Szminkę miała rozmazaną, a włosy w nieładzie. Dylan uśmiechnął się do Mimi.

- Bliss. Do łazienki. Teraz.

Bliss spojrzała przepraszająco na Dylana, ale bez protestów ruszyła za Mimi do damskiej toalety.

Mimi zajrzała do kabin i wygoniła na zewnątrz sprzątaczkę. Kiedy była pewna, że zostały same, odwróciła się do Bliss.

- Co się, u diabła, z tobą dzieje? Chodzisz z takim gościem? – natarła. – Możesz mieć przecież każdego.

- Lubię go – odparła wyzywająco Bliss. – Jest super.

- Super – Mimi przeciągnęła to słowo, jakby składało się z dziesięciu sylab. Suuuuuuuuuuperrrrrrr.

- O co ci chodzi? – Bliss nie zmieniła tonu.

- Chodzi? O nic mi nie chodzi. Kto powiedział, że o coś mi chodzi? – zdziwiła się Mimi, rozglądając się wokół, jakby zaskoczona, że nikogo nie widzi.

- Może o tę historię z Connecticut? – zapytała Bliss. – Ale on nie miał z nią nic wspólnego.

- O czym ty mówisz? – spytała Mimi.

- Nie wiem, słyszałam, że podobno miał związek z wypadkiem jakiejś dziewczyny w Greenwich – odparła Bliss. – Ale mówię, to nieprawda.

Mimi wzruszyła ramionami. Nie słyszała o wypadku w Connecticut, ale nie dziwiło jej to.

- Nie rozumiem tylko, po co tracisz na niego czas.

- A dlaczego ty go aż tak nienawidzisz?

Mimi drgnęła zaskoczona. To prawda – reagowała na Dylana nieproporcjonalną odrazą. Dlaczego go nienawidziła? Nie była pewna, ale miała przeczucie, że powinna, a przeczucie nigdy jej nie zawodziło. Było w tym chłopaku coś, czego nic lubiła, ale nie potrafiła tego określić.

- Tak przy okazji, co się dzieje z tym twoim? Wygląda jak zombi – zauważyła Bliss. Włoski dziedzic wszedł za nimi do łazienki i w tej chwili ślinił się, oparty o framugę drzwi. Wszyscy faceci Mimi wyglądali podobnie – jak po praniu mózgu.

- Potem się nim zajmę.

- Wracam do mojego chłopaka – oznajmiła dobitnie Bliss. – Jasne. Tylko pamiętaj, żeby przyjść w poniedziałek na zebranie Komitetu.

Bliss prawie zapomniała. Nie wiedziała nawet, czy chce należeć do jakiegoś snobistycznego komitetu, ale musiała ułagodzić Mimi.

- Pewnie.

Mimi śledziła Bliss wzrokiem, kiedy wychodziła. Co za strata. Nie podobało jej się, że Bliss staje się niezależna. Mimi niewiele rzeczy drażniło tak, jak bunt podwładnych. Wyszła z łazienki, ciągnąc za sobą za krawat swojego towarzysza. I wtedy zobaczyła drugi obraz, który wypalił się w jej pamięci.

Jej brat, Jack, na parkiecie, z Van Alen w ramionach. Teraz Mimi naprawdę poczuła, że zaraz zwymiotuje.

Kiedy Schuyler była z Jackiem, miała wrażenie, że czas i przestrzeń zatrzymują się w miejscu. Zapomniała, że jest w zatłoczonej sali, pełnej

spoconych nastolatków. Poruszali się w jednym rytmie, ich ciała były idealnie zestrojone. Jack trzymał ją przy sobie i ze swobodą, zdradzającą dużą wprawę, od czasu do czasu pochylał się, by musnąć oddechem jej szyję. To zadziwiające, że widziała go tak wyraźnie w ciemności, chociaż całe otoczenie wydawało się tylko rozmazanymi cieniami. Zamknęła oczy i w jednej chwili zobaczyła ich dwoje, ubranych inaczej. Znajdowali się w tej samej sali balowej, w tej samej posiadłości, ale sto lat wcześniej – ona miała suknię wieczorową z ciasnym gorsetem i jedwabnymi halkami, on prezentował się przystojnie i uwodzicielsko w białym smokingu z długimi połami. Seksowna, czarująca piosenka Muse miała rytm delikatnego walca. To przypominało sen, ale na jawie.

- Co się dzieje? – patrzyła, jak obraca ją wokół siebie.

Sala balowa lśniła wypełniona światłem i łagodną muzyką. Do jej uszu dobiegało podzwanianie kieliszków szampana, delikatne trzepotanie wachlarzy dam.

W odpowiedzi Jack tylko się uśmiechnął.

Tańczyli dalej i Schuyler zorientowała się, że zna skomplikowane kroki. Gdy melodia ucichła, uprzejmie zaklaskali.

Rozejrzała się i nagle znowu powróciła do teraźniejszości, ubrana w czarną sukienkę z lat 50., koło Jacka w niebieskiej marynarce i czerwonym krawacie. Zamrugła powiekami. Wyobraźnia? Czy może działo się tak naprawdę? Czuła się zagubiona i zdezorientowana.

- Odsapnijmy chwilę – powiedział Jack, biorąc ją za rękę i sprowadzając z parkietu.

Wyszli na balkon, Jack zapalił papierosa.

- Poczęstujesz się? Schuyler potrząsnęła głową.

- Też to widziałeś? – zapytała.

Jack skinął głową. Zaciągnął się i wypuścił dym.

Patrzyli na Park Avenue. Schuyler myślała, że obok Riverside Drive to jedna z najpiękniejszych ulic na świecie. Park Avenue, z królewskim szeregiem przedwojennych rezydencji i niekończącym się strumieniem żółtych taksówek pośrodku. Nowy Jork był niewątpliwie magicznym miejscem.

- Co to było?

Ale zanim Jack odpowiedział, za ich plecami rozległ się krzyk. Wymienili błyskawicznie spojrzenia, myśląc o tym samym. Śmierć Aggie. Czyżby kolejna ofiara? Pobiegli z powrotem na salę.

- Wszystko w porządku – powtarzała Mimi Force. – Tylko zemdłał. Boże, Kitty, nie panikuj.

Włoski towarzysz Mimi zalegał na półpiętrze, całkowicie nieprzytomny i blady jak ściana.

- Jack, pomóż! – poprosiła ostrym głosem, widząc brata w drzwiach.

Jack podbiegł i pomógł jej podciągnąć Włocha do pozycji siedzącej.

Schuyler widziała, że mówi coś ze złością do Mimi, dobiegły ją strzępy jego tyrady. „Naprawdę przesadziłaś... Mogłaś go zabić... Pamiętaj, co mówili Strażnicy...”.

Stała tam, nie wiedząc, co ze sobą począć, kiedy pojawili się Bliss i Dylan. Dylan rzucił okiem na żaloszny obrazek.

- Niech zgadnę, był z nimi Mimi Force? Schuyler skinęła głową.

- Chyba powinniśmy stąd spadać.

- To samo miałam powiedzieć – poparła ją Bliss.

Schuyler po raz ostatni rzuciła okiem na Jacka. Nadal kłócił się z siostrą. Nie zauważył nawet jej odejścia.

Dziennik Catherine Carver
20 grudnia 1620 r.
Plymouth, Massachusetts

Mężczyźni nie wracają od wielu dni i wciąż nie znamy ich losu. Powinni dotrzeć już na miejsce i powrócić z wieściami z kolonii. Ale wciąż milczą. Dzieci dotrzymują mi towarzystwa, spędzamy czas, czytając na głos książki, które zdołałam tu przynieść. Gdybyśmy tylko mogli opuścić wreszcie statek - jest tu wilgotno i tłoczno, ale budynki nie rodzą się jeszcze do zamieszkania. Mężczyźni mogą obozować na brzegu, ale my musimy pozostać tutaj, w tym ciemnym miejscu.

Lękam się, ale pociesza mnie myśl, że wiedziałabym, gdyby Johnowi albo jego towarzyszom coś się przydarzyło. Jak dotąd nie czułam ani nie widziałam niczego w moich wizjach. Wśród kolonistów rodzą się wątpliwości, czy naprawdę zdołaliśmy uciec. Szerzą się plotki, że jeden z nich jest tutaj, kryje się między nami - przybija szeptów i podejrzeń. Mówią, że zaginął chłopak Billingtonów. Zniknął. Został zabrany. Ale niektórzy twierdzą, że mógł dołączyć do wyprawy na Roanoke, więc na razie nie martwimy się jego losem. Patrzmy i czekamy z niepokojem.

- C.C.

SIEDEMNAŚĆ

Odkąd Schuyler pamiętała, każdą niedzielę spędzała w szpitalu. Kiedy była młodsza, wraz z babką jechały taksówką na północny kraniec Manhattanu. Wszyscy znali ją tak dobrze, że szpitalna ochrona nie wydawała jej już nawet plakietki gościa, tylko przepuszczała dalej. Teraz, kiedy wnuczka była starsza, Cordelia rzadko towarzyszyła jej w cotygodniowych wizytach i Schuyler zwykle jeździła samotnie.

Przeszła przez izbę przyjęć i oszklony hol, minęła sklep z upominkami, sprzedający tanie baloniki i kwiaty. Kupiła gazetę, następnie ruszyła do tylnej windy. Jej matka znajdowała się na najwyższym piętrze, w prywatnym pokoju, wyposażonym nie gorzej niż najlepszy hotelowy apartament.

W odróżnieniu od większości ludzi Schuyler nie uważała szpitali za przygnębiające miejsca. Spędziła tu większą część swego dzieciństwa, jeżdżąc po korytarzach na pożyczonym wózku inwalidzkim albo bawiąc się w chowanego z pielęgniarkami i sanitariuszami. Każdej niedzieli jadła brunch w kafeterii w suterenie, gdzie obsługa nakładała jej na talerz górę bekonu, jajek i wafli.

W korytarzu minęła stałą pielęgniarkę matki.

- Ma dobry dzień - poinformowała ją z uśmiechem pielęgniarka.

- To świetnie - Schuyler również uśmiechnęła się w odpowiedzi. Matka pozostawała w śpiączce przez niemal całe życie Schuyler. Kilka miesięcy po porodzie Allegra zapadła w śpiączkę z powodu wylewu. Zazwyczaj leżała na łóżku spokojnie i nieruchomo, ledwie oddychając.

Ale w „dobre” dni coś się działo - drżenie pod zamkniętymi powiekami, poruszenie palców u nóg, skurcz na policzku. Czasem

wzdychała bez powodu. Drobne, nieskończenie maleńkie oznaki, że pełna energii kobieta została za życia uwięziona w kokonie śmierci.

Schuyler pamiętała ostatnią diagnozę lekarzy, sprzed prawie dziesięciu lat. „Wszystkie funkcje organizmu są w normie. Jest całkowicie zdrowa, z jednym wyjątkiem. Z jakichś powodów jej mózg zamknął się całkowicie. Odtwarza normalne wzorce snu i jawy, pod każdym względem działa prawidłowo. Aktywność neuronów utrzymuje się w normie, ale pacjentka się nie budzi. To prawdziwa zagadka”. Co dziwne, lekarze wciąż uważali, że istnieje szansa, na przebudzenie w odpowiednich warunkach. „Czasem chodzi o piosenkę. Albo o głos z przeszłości. Istnieje przełącznik, który budzi taką osobę. Naprawdę, może obudzić się w każdej chwili”.

Cordelia z pewnością w to wierzyła i zachęcała Schuyler do czytania na głos Allegrze, żeby matka знаła jej głos i może pewnego dnia zareagowała na niego.

Schuyler podziękowała pielęgniarkę i zajrzała przez małe oszklone okienko w drzwiach, umożliwiające obsłudze sprawdzanie stanu pacjentów bez niepokojenia ich.

W pokoju był mężczyzna.

Schuyler położyła rękę na gałce, nie przekręcając jej. Znowu spojrzała przez szybę.

Mężczyzna zniknął.

Schuyler zamrugnęła. Przysięgłaby, że go widziała. Siwiejący mężczyzna w ciemnym garniturze, klęczał tyłem do drzwi przy łóżku matki, trzymając ją za rękę. Jego ramiona drżały i sprawiał wrażenie, jakby płakał.

Ale kiedy znowu zajrzała do pokoju, nikogo w nim nie było.

To zdarzało się już po raz drugi. Schuyler czuła się nie tyle zaniepokojona, ile zaintrygowana. Pierwszy raz zobaczyła tajemniczego gościa przelotnie kilka miesięcy wcześniej. Wyszła wtedy na moment z pokoju, żeby przynieść szklankę wody. Kiedy wróciła, była zaskoczona, widząc kogoś w środku. Kątem oka dostrzegła mężczyznę stojącego przy oknie i patrzącego na płynącą w dole rzekę Hudson. Ale w chwili, gdy wchodziła do pokoju, zniknął. Nie widziała jego twarzy - tylko plecy i gładko zaczesane, siwiejące włosy.

Początkowo przestraszyła się, nie mając pewności, czy widziała ducha, czy też wyobraźnia i światło płatały jej figle. Ale miała poczucie, że wie, kim może być nieznany gość.

Powoli otworzyła drzwi i weszła do pokoju. Położyła gruby plik niedzielnych gazet na stoliku koło telewizora.

Matka leżała z dłońmi splecionymi na brzuchu. Jej jasne, długie i lśniące włosy rozsypały się zastaniając poduszkę. Była najpiękniejszą kobietą, jaką Schuyler kiedykolwiek widziała. Jej twarz przypominała tchnącą spokojem twarz renesansowej Madonny.

Schuyler podeszła do krzesła w nogach łóżka. Jeszcze raz rozejrzała się po pokoju, zajrzała do nigdy nieużywanej przez matkę łazienki, odsunęła zastony przy oknach, spodziewając się, że może znajdzie kogoś ukrytego za nimi. Nic.

Rozczarowana, wróciła na swoje miejsce przy łóżku.

Otworzyła niedzielną gazetę. O czym powinna czytać dzisiaj? Wojna? Kryzys w branży paliwowej? Strzelanina w Bronksie? Artykuł o najnowszej eksperymentalnej kuchni hiszpańskiej? Schuyler wybrała

dział „Śluby i uroczystości”. Miała wrażenie, że matka to lubi. Czasem, kiedy Schuyler odczytywała jej szczególnie interesujące nazwiska z kolumny „Zaręczyny”, poruszała palcami u nogi.

Schuyler zaczęła czytać.

- Courtney Wallach poślubi Hamiltona Fishera Stevensa tego popołudnia w Pierre. Panna młoda, 31 lat, ukończyła Uniwersytet Harvarda i Harvard Business School... - spojrzęła z nadzieją na matkę.

Na łóżu nic się nie poruszyło.

Schuyler próbowała dalej.

- Marjorie Fieldcrest Goldman poślubiła Nathana McBride. Ceremonia miała swoje miejsce wczorajszego wieczora w Tribeca Rooftop. Panna młoda, 28 lat, jest zastępcą redaktora naczelnego...

Nadal nic.

Schuyler przejrzała obwieszczenia. Nie potrafiła przewidzieć, co spodoba się matce. Początkowo myślała, że najlepsze będą informacje o kimś, kogo mogła znać, czyli o ślubach dziedziców i dziedziczek nowojorskich rodów. Ale równie często jej matka wzdychała, słuchając wzruszającej historii dwojga programistów komputerowych, którzy poznali się w barze w Queens.

Myśli Schuyler zaczęły krążyć wokół tajemniczego gościa. Rozejrzała się po pokoju i zauważyła kwiaty na stole. Bukiet białych lilii w kryształowym wazonie. Nie tanie goździki, sprzedawane na dole. Była to staranna kompozycja z wysokich, wspaniałych kwiatów, których odurzający zapach wypełniał pokój. To dziwne, że nie zauważyła ich natychmiast po wejściu. Kto mógł przynieść kwiaty pogrążonej w

śpiączce kobiecie, która nie mogła ich zobaczyć? Kto tu był? I gdzie zniknął? A co ważniejsze, skąd się wziął?

Schuyler zastanawiała się, czy powinna powiedzieć o tym babce. Nie wspominała o poprzedniej wizycie obcego, obawiając się, że Cordelia zrobi coś, aby uniemożliwić mu powtórne odwiedziny. Nie sądziła, żeby Cordelii spodobało się, że dziwny mężczyzna odwiedza jej córkę.

Przewróciła stronę.

- Kataryn Elizabeth DeMenil i Nicholas James Hope Trzeci. -
Spojrzała na spokojną twarz matki. Nic, nawet drgnięcia policzka. Cienia uśmiechu.

OSIEMNAŚCIE

W poniedziałek, w szkole, Oliver ostentacyjnie ignorował Schuyler. W kafeterii usiadł koło Dylana i nie zajął dla niej miejsca. Pomachała im z daleka, ale tylko Dylan zamachał w odpowiedzi. Schuyler zjadła kanapki w bibliotece; chleb smakował jakby był czerstwy, wyschnięty i gliniasty, więc szybko straciła apetyt. Nie poprawiało jej bynajmniej nastroju, że Jack Force, chociaż tańczył z nią w sobotni wieczór, zachowując się, jakby nic się nie stało. Siedział z kumplami, kręcił się koło siostry i był taki, jak zawsze. Taki jak wtedy, kiedy jej nie znał, a to boleło.

Po lekcjach zobaczyła Olivera przy szafkach, śmiejącego się z czegoś, co mówił Dylan. Dylan spojrzał na nią ze współczuciem.

- Narka, stany - powiedział, klepiąc Olivera w plecy. - Trzymaj się, Sky.

- Cześć, Dylan - odparła. Cała ich trójka - ona, Bliss i Dylan wpadła po balu zjeść coś w Sofia Fabulous Pizza. Szukali Olivera ale wyszedł wcześniej. Pewnie nigdy nie wybaczy im, że robili coś bez niego. Dokładniej mówiąc - jej nigdy tego nie wybaczy. Znała go na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że dopuściła się niewybaczalnej zdrady. Powinna pójść z nim na górę, a nie tańczyć z Jackiem Force'em. Teraz Olivier zamierzał ją ukarać, zrywając ich przyjaźń. Przyjaźń, która była jej potrzebna jak powietrze.

- Cześć, Ollie - odezwała się.

Oliver nie odpowiedział. Układał książki w torbie, nie patrząc na nią.

- Ollie, daj spokój... - poprosiła.

- Co? - wzdrygnął się, jakby dopiero teraz ją zauważył.

- Jakie „co”? Sam wiesz, co - powiedziała, ciskając z oczu błyskawice. Jakaś jej część była wściekła na niego za to odgrywanie ofiary. Nie wolno jej było mieć innych przyjaciół? Co to właściwie za przyjaźń? - Nie odezwałeś się w weekend mieliśmy iść do kina.

Oliver uniósł brwi.

- Serio? Nie pamiętam, żebyśmy coś planowali. Ale fakt, niektórzy zmieniają plany bez uprzedzenia.

- O co ci chodzi? - zapytała.

- O nic - wzruszył ramionami.

- Jesteś wściekły o Jacka Force'a? - nalegała. - Bo jeśli tak, to jest na serio bardzo *très* lamerskie.

- A ty co, lecisz na niego, czy jak? - zapytał Olivier ze ściągniętą twarzą. - Na takiego żalotnego pajaca?

- Nie jest żalotny - sprzeciwiła się Schuyler. To zdumiewające, jak gorąco nagle broniła Jacka Force'a.

Oliver spojrzał na nią spode łba i niecierpliwie odgarnął kosmyki włosów.

- Jasne. Skoro tak twierdzisz, klonie-naśladowco. - *Inwazja pożeraczy ciał* była jednym z ich ulubionych filmów. Obcy zastępowali interesujących ludzi podstawionymi przez siebie klonami, które ślepo naśladowały zachowania otoczenia: torebki Marca Jacobsa! Prostowane włosy! Jack Force!

Schuyler poczuła się winna czegoś, czego nie rozumiała. Czy to było takie okropne przestępstwo z jej strony, myśleć, że Jack Force jest sympatycznym facetem? No dobra, był największą szychą w szkole,

musiała to przyznać, no i zgoda, dawniej krzywiła się na wszystkie jego fanki, które niemalże twierdziły, że umie chodzić po wodzie. Podkochiwanie się w Jacku było czymś całkowicie oczywistym. Był inteligentny, przystojny, wysportowany, wszystko przychodziło mu bez wysiłku. Ale samo to, że przestała go nie cierpieć, nie robiło z niej jeszcze odmóżdżonego robota! Czy może robiło? Irytowało ją, że nie umie na to pytanie odpowiedzieć.

- Jesteś zazdrosny - powiedziała oskarżycielsko.

- O co? - Oliver pobladł, oczy mu się rozszerzyły.

- Nie wiem, ale jesteś - machnęła ręką, ze złością wzruszając ramionami. Zawsze chodziło o zazdrość, nie? Przypuszczała, że gdzieś w głębi siebie Oliver chciałby odrobinę przypominać Jacka. Być podziwiany jak on.

- Jasne - przytaknął sarkastycznie. - Zazdroścę mu zdolności popychania piłki kijem - uśmiechnął się szyderczo.

- Ollie, odpuść sobie, proszę? Naprawdę musimy pogadać, ale teraz muszę iść na spotkanie tego całego Komitetu i...

- Zaprosili cię do Komitetu? - zapytał Oliver z niedowierzaniem - Ciebie? - Wyglądał, jakby usłyszał właśnie najbardziej absurdalną rzecz w całym swoim życiu.

Czy to było aż tak niestychane? Schuyler poczerwieniła. Dobra, może była nikim, ale jej rodzina coś znaczyła w przeszłości, a o to w tym całym idiotyzmie chodziło, prawda?

Ale nawet jeśli nie chciała się przyznać przed sobą, wiedziała, że miał rację. Sama była zdumiona, że dostała takiego zaszczytu, chociaż na twarzy babki pojawił się wyraz satysfakcji, kiedy tamtego popołudnia

zobaczyła grubą, białą kopertę. Cordelia przyglądała się uważnie Schuyler, tak samo jak wtedy, kiedy po raz pierwszy na jej rękach pojawiły się znaki. Jakby nigdy wcześniej nie widziała swojej wnuczki. Jakby była z niej dumna.

Nie wspominała o tym Oliverowi, ponieważ oczywiste było, że on nie dostał zaproszenia - na pewno by czegoś takiego przed nią nie ukrywał. Zdziwiło ją, że nie został wybrany do Komitetu, skoro do jego rodziny należała połowa Upper East Side i całe hrabstwo Dutchess.

- Taaa, bardzo śmieszne, cha, cha - odparła. Jego twarz ściągnęła się. Powrócił grymas niezadowolenia. Potrząsnął głową.

- I nic mi nie powiedziałaś? - zapytał z niedowierzaniem - Chyba w ogóle się już nie znamy.

Patrzyła, jak oddala się korytarzem. Każdym krokiem podkreślał przepaść, która zaczęła ich oddzielać. Był jej najlepszym przyjacielem. Osobą, której na całym świecie najbardziej ufała.

Jak mógł mieć jej za złe, że dołącza do jakiegoś głupiego towarzystwa?

Ale wiedziała, że jest wściekły. Do tej pory wszystko robili razem, teraz ona została zaproszona do Komitetu, a on nie. Ich ścieżki nagle się rozeszły. Schuyler pomyślała, że to jest głupie. Pójdzie na jedno spotkanie, bo babce na tym zależy, a potem rzuci to i już. Była pewna, że w Komitecie nie ma nic, co mogłoby ją choćby w najmniejszym stopniu zainteresować.

DZIEWIĘTNAŚCIE

Obserwowanie przerażonego nowego nabytku okazało się niesamowicie zabawne. Mimi pamiętała, jak sama siedziała w tej sali rok temu, spodziewając się, że zaczną planować doroczny Bal Czterystu (temat? dekoracje? zaproszenia?) i na tym się wszystko kończy. Oczywiście Jack wiedziała, że chodzi o coś więcej, jej bratu nic nie mogło umknąć - i najwyraźniej niektórzy z obecnych lepiej od pozostałych rozumieli, co się z nimi działo.

Mimi też miała retrospekcje - wspomnienia, które wypełzały bez ostrzeżenia. Tak jak wtedy, kiedy była na Martha's Vineyard i zamiast przed sklepem Black Dog znalazła się przed wiejskim domem, ubrana w jakąś koszmarną sukienkę z kraciastej bawełny - trudno było w to uwierzyć. Albo jak wtedy, kiedy wcale nie uczyła się do klasówki z francuskiego, ale dostała najwyższą ocenę, ponieważ nieoczekiwanie okazało się, że płynnie zna ten język.

Uśmiechnęła się do swoich wspomnień, patrząc, jak kilka członkiń Komitetu Seniorów, wśród nich jej matka, wchodzi do Sali, a obcasy szpilek Blanika stukają miękko o posadzkę z różowego marmuru. Nieskazitelnie eleganckie damy skinęły sobie nawzajem głowami i pomachały radośnie dzieciom.

Urządzona w stylu Monticello* sala Jeffersona, nazwana na cześć trzeciego prezydenta Stanów Zjednoczonych, mieściła się na parterze posiadłości Floodów. Sklepienie tworzyło wysoką, katedralną kopułę, na

* Ponticello - posiadłość Thomasa Jeffersona, prezydenta Stanów Zjednoczonych w latach 1801-1809, zbudowana w stylu klasycystycznym, następnie przebudowana w oparciu o wzorce architektury francuskiej po powrocie T.J z Paryża.

ścianach wisało kilka portretów pędzla Gainsbougha, a na środku znajdował się ogromny okrągły stół, przy którym siedzieli nowi członkowie, wyglądający na znudzonych lub wystraszonych. Mimi nie rozpoznawała wszystkich, niektórzy

pochodzili z innych szkół. Rany, te mundurki z Nightingale są ohydne, pomyślała. Pozostali członkowie Komitetu Juniorów siedzieli przy biurkach, opierali się o okna lub stali z założonymi ramionami, obserwując w milczeniu salę. Zauważyła, że Jack raz wreszcie raczył zaszczyścić posiedzenie swoją obecnością.

Więc Strażnicy uznali, że należy mimo wszystko zaprosić tę Van Alen. Dziwne. Mimi nie pamiętała jej z przeszłości, nawet z Plymouth. Musiała gdzieś tam przebywać - widocznie Mimi niedostatecznie głęboko grzebała w swojej podświadomości. Kiedy rozglądała się po zgromadzonych na sali, potrafiła dostrzec ich niegdysiejsze wcielenia. Od zawsze przyjaźniła się z Katie Sheridan - razem debiutowały w towarzystwie w 1850 roku - a Lissy Harris drużbowała na jej ślubie w Newport, w tym samym roku. Ale z Schuyler - to co innego.

Jeśli chodziło o Jacka - cóż, byli razem przez całą wieczność. Tylko jego twarz widziała zawsze tę samą, w każdym wcieleniu. Gdyby Mimi ćwiczyła medytację, być może byłaby w stanie sięgnąć do

najgłębszych pokładów swojej historii, aż do czasów stworzenie, w Egipcie, przed plagami.

Priscilla Dunpont, regularnie goszcząca w rubrykach towarzyskich i wspierająca finansowo i osobiście najdosłojniejsze instytucje kulturalne Nowego Jorku, wyszła naprzód. Jak wszystkie towarzyszące jej panie, była nadnaturalnie szczupła, a jej twarz bez jednej zmarszczki okalały miękkie, jasne, ostrzyżone na pazia włosy. Doskonałą sylwetkę podkreślał dopasowany, czarny kostium od Karoliny Herrery. Jako przewodnicząca komitetu i Dowódca Straży poprosiła zebranych o uwagę.

- Witamy na pierwszym w tym sezonie zebraniu Nowojorskiego Komitetu Banku Krwi - rozpoczęła, uśmiechając się z wdziękiem. - Bardzo cieszymy się, mogąc powitać was wszystkich.

Mimi na chwilę odplynęła, jednym uchem słuchając standardowego przemówienia o obowiązkach obywatelskich i *noblesse oblige*, wyliczającego liczne zasługi Komitetu dla społeczeństwa. Doroczny bal pozwalał, na przykład przyspieszyć znalezienie leków na choroby krwi, takie jak AIDS czy hemofilia. Komitet finansował szpitale i placówki naukowe, odgrywał też znaczącą rolę w dotowaniu badań nad komórkami macierzystymi oraz badań nad rozwojem zaawansowanych dziedzin medycyny. Po zakończeniu przemowy pani Dupont spojrziała przenikliwie na dziesiątkę młodych ludzi, siedzących przy stole.

- Ale Komitet nie zajmuje się tylko pomaganiem innym.

Zapadła pełna oczekiwania cisza.

Pani Dupont przyjrzała się uważnie każdemu siedzącemu z osobna i kontynuowała:

- Zostaliście dzisiaj zaproszeni, ponieważ należycie do bardzo szczególnego grona. - Jej melodyjny, kulturalny głos brzmiał jednocześnie władczo i uspokajająco.

Mimi widziała, że Bliss Llewellyn wyglądała żałośnie. Miała jej za złe Dylana, ale mimo wszystko nie zamierzała zawracać tym sobie głowy. Bliss groziła nawet, że nie przyjdzie na spotkanie Komitetu, ale Mimi zdołała ją w końcu przekonać.

- Niektórzy z was mogli już zauważyć zmiany w swoich organizmach. Czy u kogoś pojawiły się błękitne znaki na ramionach? - zapytała.

Podniosło się kilka rąk, przez skórę przeświecało szafirowe światło.

Priscilla Dupont skinęła głową.

- To dobrze. To oznacza, że krew zaczyna się manifestować.

Mimi pamiętała, jak przerażona była, kiedy po raz pierwszy pojawiły się znaki. Tworzyły skomplikowany, przypominający koronkę wzór, od ramion do nadgarstka. Jack pokazał jej swoje i była to jedna z tych rzeczy, które sprawiały wrażenie zbiegu okoliczności, chociaż wcale nie były - jeśli kładli ręce jedna przy drugiej, znaki idealnie do siebie pasowały.

Znaki stanowiły mapę osobistej historii każdego - w ten sposób upominała się o swoje prawa ich krew, *sangre azul*, dzięki której byli tym, czym byli, jak powiedziała pani Dupont.

- Niektórzy w was odkryli, że nieoczekiwanie są w czymś bardzo dobrzy. Czy zdarzyło się wam uzyskać dobre stopnie z przedmiotów, do których się nie przygotowywaliście? Zauważyliście, że wasza pamięć staje się fotograficzna?

Znowu potakiwanie i ciche szepty.

- Czy ktoś miał wrażenie, że chwilami czas wymyka mu się spod kontroli albo bardzo zwalnia?

Mimi skinęła głową. To była część całego procesu - pamięć wciągającą cię z teraźniejszości do przeszłości. Idziesz ulicą zajęta swoimi sprawami i nagle odkrywasz, że nadal jesteś na tej samej ulicy, ale w zupełnie innej epoce. Mimi uważała, że to jak oglądanie jakiegoś naprawdę ekstra filmu, ze sobą w roli głównej.

Zauważyliście, że możecie jeść, ile chcecie, i nigdy nie zdarza się wam przybrać na wadze?

Dziewczęta zachichotały. Czerwonokrwieści myśleli, że chodzi o szybką przemianę materii. Mimi też się uśmiechnęła. Jak by to było możliwe, zachować linię i jeść tyle ciastek z bitą śmietaną, ile się chce. To chyba najbardziej w byciu błękitnokrwistą. Byciu wybraną.

- Smak gotowanego mięsa staje się nie do zniesienia. Zaczynacie mieć apetyt na mięso surowe, krwiste.

Zgromadzenie przy stole rozglądali się z zakłopotaniem. Bliss była wyjątkowo blada. Mimi ciekawiło, czy ktoś doświadczył tego, co ona - tego dnia, kiedy pożarła całą porcję surowych żeberek, opychając się tak, że krew zaczęła spływać jej po brodzie i wyglądała jak pacjentka szpitala psychiatrycznego. Patrząc na nowych, Mimi mogła się założyć, że zdarzyło się to co najmniej kilkorgu z nich.

- I ostatnie pytanie: ilu z was przygarnęło w ciągu ostatniego roku psa?

Wszyscy podnieśli ręce. Mimi przypomniała sobie, jak pewnego dnia znalazła swojego chow chowa, Pookie, na plaży w Hamptons, a

tego samego wieczoru do jej brata przybłąkał się Patch. Ojciec był z nich niesamowicie dumny.

- Czy któryś z tych psów był ogarem?

Tylko Schuyler podniosła rękę. Mimi skrzywiła się. Jack także miał zaszczyt dostać ogara - psa najwyższej klasy. To było irytujące.

- Chcemy wam powiedzieć, że nie musicie się niepokoić. Wszystko to, czego doświadczacie, jest normalne. Dzieje się tak, ponieważ, podobnie jak ja, jak wasi rodzice, dziadkowie, rodzeństwo i krewni, jesteście spadkobiercami starego i szlachetnego dziedzictwa Czteryestu.

Pani Dupont pstryknęła palcami i wszystkie światła w Sali zgasły. Ale ona sama, podobnie jak inni członkowie Komitetu, nadal jaśniała. Wewnętrzny blask podkreślał ich kształty, jakby byli zrobieni z prześwitującego białego alabastru.

- To *illuminata*, jeden z darów, który pomaga nam w nocy czyni nas widocznymi dla siebie nawzajem.

Ktoś z uczniów krzyknął.

- Nie musicie się bać. Jesteście bezpieczni, bo jesteście tacy, jak my.

Jej melodyjny głos stał się hipnotyzujący.

- To wszystko stanowi część cyklu ekspresji. Jesteście najmłodszymi błękitnokrwistymi. Dzisiaj wprowadzamy was w waszą tajemną historię. Witajcie w nowym życiu.

Widząc szok na twarzach uczniów, Mimi przypomniała sobie, jak bardzo przerażona była ona sama, ale nie dlatego, że bała się Komitetu - chodziło o inny rodzaj lęku, o bardziej skomplikowany strach. Strach

przed ostatecznym poznaniem prawdy. Ten sam, jaki widziała teraz na twarzach najmłodszych członków.

Wyruszyli w podróż przez ciemność wewnątrz siebie samych.

DWADZIEŚCIA

Wampiry?

Czy wszyscy powariowali?

Komitet czyli załona dymna dla bandy krwiożerczych potworów z filmów klasy B? Więc nie byli tylko śmietanką towarzyską. Nie byli po prostu bogatymi dzieciakami. Nie byli chudzi, bo wyrzygiwali wszystko, co zjedli. I nie byli tak szybcy na torze, niesamowicie wysportowani czy ponadprzeciętnie zdolni, bo mieli wrodzony talent. To wszystko dlatego - naprawdę śmiechu warte! - że byli nieumarłymi?

Schuyler przesiedziała całe zebranie po części zafascynowana, po części zniesmaczona sekciarską ceremonią. Różnych rzeczy się spodziewała, ale z pewnością nie czegoś podobnego. Odsunęła nawet krzesło, by wyjść z sali.

Ale zawahała się - i usiadła z powrotem. Postąpiłaby zbyt niegrzecznie, co raczej nie wyszłoby jej na dobre. W tym, co słyszała kryło się wiele sensu. Na przykład błękitne znaki na jej rękach. Najwyraźniej krew przeświecała przez skórę, ponieważ upominała się o swoje prawa; zaczynała przekazywać Schuyler całą wiedzę, mądrość i pamięć przeszłych wcieleń. Ponieważ to właśnie ich krew pozostawała żywa. To ona czyniła nieumarłymi kolejne pokolenia - tamta krew, która żyła od tysiący lat, od początku istnienia czasu, stanowiła wiecznie żywą bazę danych. Dysponowała własną wolą, a dorastanie oznaczało dla błękitnokrwistych naukę dostępu do zasobów ogromnej inteligencji oraz umiejętność jej kontroli.

Fizyczna powłoka niszczyła się po stu latach; wtedy należało odpocząć, ewoluując aż do momentu, gdy zostało się wezwanym do następnej fazy cyklu. Można też było zrezygnować z odpoczynku i zachować doczesną powłokę, stając się Odwiecznym - rodzajem starszyny - ale wymagana była do tego specjalna dyspensa. Większość błękitnokrwistych trwała w zgodzie ze swoim cyklem. Jak to szło? Trzy fazy wampirzego życia: ekspresja, ewolucja, ekspulsja.

No i nie mogła zaprzeczyć opowieści o psach. Beauty pewnego dnia przyszła za nią do domu i Schuyler miała wrażenie, że to stworzenie jest częścią jej samej. Pani Dupont wyjaśniła ze czworonożni towarzysze są w rzeczywistości częścią ich duszy, która przeniosła się w świat fizyczny, aby chronić swych właścicieli. Lata od piętnastego do dwudziestego pierwszego roku życia nazywano wieczornymi latami błękitnokrwistych. W tym okresie cyklu ekspresji byli najbardziej bezbronni - przemieniając się z ludzi w wampiry. Manifestacja krwi, wiążąca się z szokiem pamięci, zawrotami głowy i mdłościami, powodowała osłabienie. Psy miały ich bronić i strzec, bezpiecznie

przeprowadzając błękitnokrwistych do następnej fazy cyklu. Mimo wszystko Schuyler trudno uwierzyć w to, co słyszała. Kiedy starsi tak po prostu zaczęli świecić, pomyślała, że Komitet bawi się w jakieś iluzjonistyczne sztuczki. Nawet Jack. Dlatego wydawało jej się, że jaśniał przez całą noc na balu. Dlatego widziała go w ciemności.

Ciekawe, co powie na to wszystko Oliver?!

Ale, kurczę, nie powinna mu nic mówić. Czerwonokrwieści nie mogli się dowiedzieć. Wyjątek stanowili familianci, ludzie, których poddano temu czemuś z łacińską nazwą - wyszukany określeniem na wysysanie krwi. Oni mogli wiedzieć, ale ceremonia sprawiała, że o tym zapominali, czy coś podobnego. Jakiś rodzaj hipnotyzującej esencji sprawiał, że doznawali amnezji i stawali się lojalni wobec błękitnokrwistych. Schuyler nie potrafiła sobie wyobrazić, że miałyby pragnąć czyjejs krwi. To wydawało się po prostu obrzydliwe. Ale tak czy inaczej nie mogła powiedzieć niczego Oliverowi, bo przecież on się do niej nie odzywał.

Następnie poznali wszystkie reguły dotyczące picia krwi - na przykład to, że można mieć jednocześnie tylko kilkoro familiantów i można pić krew każdego z nich tylko raz na czterdzieści osiem godzin. Najwyraźniej życie wampirów różniło się bardzo od tego, co przedstawiano w książkach lub w telewizji, w dziełach tworzonych jako zaślona dymna przez Konspiratorów, oddział Komitetu zajmujący się pilnowaniem, żeby czerwonokrwieści nie dowiedzieli się o ich istnieniu. Za legendę o „hrabim Drakuli” odpowiadał węgierski błękitnokrwisty z makabrycznym poczuciem humoru. Konspiratorzy rozpowszechniali fałszywe informacje. Wszystkie te rzeczy, które rzekomo zabijały wampiry - krzyże, czosnek, słońce - zostały przez nich zmyślane. Jako żart, przynajmniej w ich mniemaniu.

Ponieważ, zgodnie ze słowami Komitetu, nic nie mogło zabić wampirów. Absolutnie nic. Śmierć była zaledwie iluzją.

Schuyler dowiedziała się, że błękitnokrwisci nie lubili krzyży, ponieważ przypominały im o upadku, wygnaniu z Królestwa Niebieskiego. (Ci ludzie naprawdę są obłąkani, pomyślała Schuyler. Na serio uważają, że kiedyś byli aniołami. Dokładnie tego nam wszystkim trzeba. Większej liczby nadzianych wariatów z manią wielkości.) Okazało się, że czosnek był źle widziany po prostu z powodu zapachu. Pani Dupont rozwodziła się obszernie nad tym, że błękitnokrwisci są rasą wysoko ceniącą estetykę, przedkładającą nad wszystko piękno i harmonię (i dlatego nie uznają kuchni włoskiej?). A jeśli chodziło o słońce - cóż, ono także przypominało im o utraconym raj, ale większość wampirów kochała słońce - stąd intensywna opalenizna sporej części członków Komitetu.

Żyli wiecznie, ale pod różnymi wcieleniami i nie zawsze w jednym czasie. W każdym cyklu było tylko czterystu błękitnokrwistych. Mogli spożywać jedzenie, ale większość posilała się tylko z przyzwyczajenia albo po prostu ze względów towarzyskich. Po osiągnięciu pewnego wieku do istnienia wystarczała im ludzka krew. Schuyler usłyszała także, że pełne wysuszenie człowieka - doprowadzenie do śmierci przez wypicie całej krwi - było najsurowiej zakazane. Tak brzmiał pierwszy nakaz w Kodeksie Wampirów: żadna krzywda nie może spotkać ludzkich familiantów.

Ponieważ ludzie mogli utracić tylko określoną ilość krwi, większość błękitnokrwistych utrzymywała kontakt z kilkorgiem familiantów, których zmieniała w ramach harmonogramu odżywiania się. Zazwyczaj za

pretekst służyły afery miłosne. To dlatego Mimi miała tyłu chłopaków. Jej zachowanie doskonale odpowiadało stylowi życia błękitnokrwistych. A Kitty Mullins - czy należała do familiantek Jacka? Pewnie tak, skoro nie została zaproszona na posiedzenie Komitetu. Schmier nagle przestała być zazdrosna o Kitty Mullins, a nawet zaczęła jej żałować.

Strażniczka oznajmiła, że celem istnienia ich rodzaju było ewoluowanie przez kolejne cykle ekspresji aż do momentu, kiedy Bóg wybaczy im i pozwoli wrócić do Królestwa Niebieskiego.

Jasne.

Schuyler nie uwierzyła w ani jedno słowo. Ktoś wpadł na chory i mało śmieszny pomysł, żeby zrobić wyjątkowo durny dowcip. Prawie spodziewała się ukrytej kamery ekipy telewizyjnej, która wyłoni się z którejś szafy. Ale wszyscy wokół szeptali, a ktoś obok płakał.

- Tak się bałam, że mi odbiło... - usłyszała głos Bliss Llewellyn.

Dokumenty, które podpisali, aby dołączyć do Komitetu, zawierały również ich zgodę na podporządkowanie się Kodeksowi Błękitnokrwistych. Kodeks stanowił coś w rodzaju dziesięciu przykazań błękitnokrwistych - praw rządzących nimi od stworzenia. Musieli żyć zgodnie z jego regułami.

W każdy poniedziałek mieli poznawać swoją historię, a także uczyć się panowania nad mocami. Moce wampirów objawiały się w rozmaity sposób, najczęściej jako nadludzka siła i inteligencja. Większość wampirów umiała czytać ludziom w myślach ale tylko najpotężniejsze potrafiły kontrolować umysły, wymuszać swoją wolę na słabszych istotach. Niektóre były zmiennokształtne, zdolne do dowolnego przekształcania swej fizycznej powłoki. Najrzadsza umiejętność polegała

na zdolności zatrzymywania czasu, ale w całej historii tylko jeden błękitnokrwisty był nią obdarzony i wykorzystał ten dar wyłącznie raz w ciągu wszystkich stuleci spędzonych na Ziemi.

Spotkania miały też na celu pomóc młodym wampirom w wyborze ich celu w tym cyklu. Schuyler dowiedziała się, że błękitnokrwisci odpowiadali za powstanie niemal wszystkich ważniejszych instytucji i inicjatyw kulturalnych w mieście, w tym Metropolitan Museum of Arts, Muzeum Sztuki Współczesnej, Frick Collection, Muzeum Guggenheima, New York City Ballet oraz Metropolitan Opera. Błękitnokrwisci zasiadali w radach, zatrudniali kuratorów i organizowali zbiórki funduszy. To pieniądze błękitnokrwistych utrzymywały te wszystkie wspaniałe instytucje.

Pani Dupont wyjaśniła, że z czasem zyskują możliwość dołączenia do rozmaitych oddziałów Komitetu. Młodsze pokolenie błękitnokrwistych miało już swoją rolę do odegrania, między innymi organizując bale Save Venice, wieczory Young Collectors w Whitney i zbierając fundusze na High Line.

No i oczywiście planowali także doroczny Bal Czterystu. Największe towarzyskie wydarzenie roku, odbywające się w grudniu w sali balowej hotelu St. Regis, było częścią tradycji zapoczątkowanej przez grupę błękitnokrwistych w końcu dziewiętnastego stulecia, zwanym *pożłacany wiekiem**. Dawniej nazywano je Balem Patrycjuszowskim.

Ale Schuyler i tak nie wierzyła w te wszystkie bajdy. Po zakończeniu spotkania kilkoro najnowszych członków skupiło się wokół starszych kolegów, zadając dodatkowe pytania. Schuyler wyszła szybko sama. Nie zauważyła, że ktoś podążył za nią.

A potem stanął na jej drodze.

- Cześć. - Jack Force uśmiechnął się. Jego włosy jak zawsze prezentowały uroczy nieład. Miał oczy o barwie szmaragdów i przystojną, jakby

* Wiek poślacany (Gilded Age) - okres w historii Stanów Zjednoczonych od roku 1865 (koniec wojny secesyjnej) do roku 1901. Był to okres gospodarczej prosperity, połączonej z ogromnym napływem imigrantów.

wyrzeźbioną twarz.

- Kurczę, jak ty to robisz? - zdziwiła się. Jack wzruszył ramionami.

- Nauczają was. To jedna z tych rzeczy, które potrafimy.

- No cóż, „my” nie zamierzamy się o tym przekonywać - rzuciła przez ramię, odsuwając go łokciem z drogi.

- Czekaj, Schuyler.

- Czemu?

- To nie powinno tak być. Spotkanie zwołali za wcześnie. Zwykle odbywa się na wiosnę, a do tego czasu prawie wszyscy wiedzą już, co się z nimi dzieje, ze wspomnień. Wiesz, kim jesteś, jeszcze zanim ci wyjaśnią. Spotkanie stanowi tylko formalność. Zwykle, kiedy dołączasz do Komitetu, wiesz już wszystko.

- Tak?

- Wiem, że usłyszałaś dużo. Za dużo naraz.

- Ale pamiętasz co zdarzyło się w sobotę? Kiedy tańczyliśmy? Zobaczyliśmy to, co działo się kiedyś. Wszystko, co mówiła Strażniczka, to prawda.

Schuyler potrząsnęła głową. Nie. Nie zamierzała dać się nabrać. Może pozostali opili się blekotu, ale ona miała głowę na karku. Coś takiego jak wampiry, przeszłe życia i nieśmiertelność po prostu nie istniało w realnym świecie. A Schuyler była certyfikowanym obywatelem realnego świata. Nie wybierała się w najbliższym czasie do wariatkowa.

- Zrób coś takiego - Jack włożył dwa palce do ust i przesunął nimi wzdłuż szczęki.

- Po co?

- Powinnaś je wyczuć. Tutaj - pokazał, przyciskając kciuk i palec wskazujący po obu stronach zębów.

- Tutaj?

- Tak, wiem, czerwonokrwisci myślą, że to kły, ale dali się nabrać na jeden z pomysłów Konspiratorów. Nasze zęby mądrości są bardziej po bokach.

- Zęby mądrości? Te, które wyrywamy u dentysty? - spytała Schuyler, starając się nie przewracać oczami.

- Zapomniałem, że czerwonokrwisci też używają tego określenia . Nie, nie tak daleko. Podprowadzili naszą nazwę, ale u nich znaczy ona co innego. No spróbuj, powinny się już pojawić.

Spojrzała w sufit, ale wsunęła palec do ust. starając się coś wyczuć.

- Nic tu nie... O. - Pod niewielkimi zębami, których nigdy wcześniej nie zauważyła, wymacała ostry punkt.

- Jeśli się skupisz, możesz je wysunąć.

Schuyler poruszyła palcami, wyobrażając sobie, że zęby się wydłużają, wysuwają z jej dziąseł. Ku jej zdziwieniu ostre, pokryte szkliwem kły zaczęły wyciągać się w dół.

- Możesz się nauczyć wysuwać je i chować.

Zrobiła tak, przytrzymując palcem ostry jak igła koniec zęba. Poczwała w żołądku mdlące, niekontrolowane uczucie ekscytacji.

Ponieważ właśnie w tym momencie uświadomiła sobie to, czemu do tej pory zaprzeczała.

Była wampirem. Nieśmiertelnym. Niebezpiecznym. Jej kły były wystarczająco ostre, żeby utoczyć krew - żeby przebić skórę człowieka. Schowała je powoli, czując ból, kiedy znikaly.

Była jedną z nich. Naprawdę.

DWADZIEŚCIA JEDEN

Po zakończeniu spotkania Bliss wciąż kręciło się w głowie od nadmiernej dawki wiedzy. Była wampirem, albo raczej, poprawiła się, *vam-pyre*, co w starym języku oznaczało ognistego anioła. Błękitnokrwistą, jedną z nieumarłych. Stąd jej wspomnienia, koszmary. Głosy rozbrzmiewające w głowie. Dziwnie było myśleć, że jej krew trwa przez wieki, ale to właśnie usłyszała - że oni wszyscy żyli wcześniej,

dawno temu, a teraz w miarę potrzeby są wzywani na służbę. Pewnego dnia zapanują nad własnymi wspomnieniami i nauczą się je wykorzystywać.

Ta wiedza sprawiała, że Bliss czuła bezgraniczną ulgę. Nie była chora psychicznie. Nie zwariowała. To, co zdarzyło się w Metropolita, kiedy zamroczyło ją przed pocałunkiem z Dylanem, okazało się po prostu częścią procesu. Właśnie o podobnych zdarzeniach w mówiła doktor Pat. Bliss była normalna. Powinna źle się czuć i mieć zawroty głowy. Ostatecznie jej ciało się zmieniało, jej krew się zmieniała. Może teraz, kiedy już rozumiała, skąd się biorą jej koszmary, nie będzie się ich tak bardzo bać.

Po skończonym zebraniu Mimi podeszła do Bliss, uśmiechając się od ucha do ucha.

- Wszystko w porządku? - zapytała łagodnie. Wiedziała, że potrzeba czasu, żeby do nowej sytuacji przywyknąć. Ale wiadomość o tym, że jest się błękitnokrwistym była jak zdanie jakiegoś egzaminu. Kiedy ona i Jack zostali wtajemniczeni, rodzice zorganizowali dla nich przyjęcie-niespodziankę w 21 Club.

Bliss skinęła głową.

- No to jazda - zarządziła Mimi. - Zapraszam cię na befszytk tatarski.

Przeszły kilka przecznic do La Goulue i zajęły stolik na zewnątrz. Mimo późnego popołudnia słońce nadal świeciło i było dostatecznie ciepło, żeby siedzieć na powietrzu. Szybko złożyły zamówienie.

- Dobra, zapytam w Prost. Nie można nas zabić? - spytała Bliss, przysuwając się bliżej z krzesłem, żeby nikt nie podsłuchał ich rozmowy.

- Nie, możemy żyć wiecznie - odparła beztrosko Mimi.

- Znaczy, tak całkiem wiecznie? - Bliss jakoś nie próbowała przyjąć tego do wiadomości. Jak można żyć wiecznie? Czy z czasem się nie pomarszczymy i w ogóle? - Tak całkiem wiecznie - potwierdziła jak echo Mimi. - A co z tą srebrną kulą?

- Chyba że od Tiffany'ego - zachichotała Mimi. Wypiła łyk Pellegrino. - Serio, naoglądałaś się za dużo *Buffy*. Nic nas nie może zranić. Ale znasz Hollywood, musieli powymyślać jakieś sposoby, żeby nas zabić. Nie wiem, czemu nas tak nie lubią. - Piękna bestia zaśmiała się melodyjnie. - Wiesz, to wszystko wymyślili Konspiratorzy. Żeby oszukać czerwonekrwistych.

Bliss zakręciło się w głowie. Nadal czuła się nieco zagubiona.

- Ale umieramy po stu latach?

- Umiera tylko nasza fizyczna powłoka. Jeśli tak zdecydujesz. Za to twoja pamięć żyje wiecznie, więc nigdy naprawdę nie umierasz - wyjaśniła Mimi, podnosząc niewielką, zieloną buteleczkę perlistej wody i pociągając następny łyk.

- A to wysysanie krwi i tak dalej?

- Jest ekstra - odparła Mimi, a jej oczy zamglily się marzycielsko na myśl o włoskim przystojniaku. - To lepsze od seksu.

Bliss zarumieniała się.

- Nie bądź taką cnotką. Miałam setki ludzi.

- I wyciągasz z nich wszystkie soki - zażartowała Bliss.

Twarz Mimi pociemniała, ale zauważyła w tej wypowiedzi aspekt humorystyczny.

- Jasne, kiedyś nazywano by mnie wampem.

Przyniesiono ich zamówienie - surowe różowe plasterki carpaccio z tuńczyka dla Mimi i tatar z surowym jajkiem dla Bliss.

Bliss podziękowała losowi, że jedzenie surowej wołowiny jest nie tylko tolerowane w towarzystwie, ale wręcz modne, i sięgnęła po swoją porcję. Zastanawiała się, co by powiedział Dylan, gdyby uczyniła go swoim familianem. A może po prostu powinna się zacząć z nim pieścić, a potem go ugryźć?

Sąsiednie stoliki zapęłniły się szybko gośćmi, z których większość stanowiły kobiety w eleganckich skórzanych lub zamszowych płaszczach i nieskazitelnych dżinsach, niosące wypchane reklamówki ze sklepów przy Madison Avenue, które wpadły tu, aby wzmocnić siły po wyczerpującym dniu w przymierzalniach. Bliss rozejrzała się. Prawie wszystkie zamawiały surowe potrawy. Zastanawiała się, ile wśród nich należało do błękitnokrwistych. Może wszystkie?

- A co ze słońcem? Podobno miało nas zabijać? - zapytała między kęsami. Zimny, cierpki tatar rozpływał się w ustach.

- Masz zamiar zaraz wyschnąć na wiór i paść trupem? - parsknęła Mimi. - A kto spędza każde Boże Narodzenie w Palm Beach, jak nie my?

Bliss musiała przyznać, że nie ma takiego zamiaru. To znaczy, umrzeć od słońca. Ale trochę ją swędziła skóra.

- Musisz wpaść do doktor Pat, przepisze ci tabletki, jeśli masz alergię. Niektórzy z nas tak mają, to wrodzone. Ale jeśli ci je zapisze, to jesteś farciarą, pomagają przy okazji na pryszczki. Ekstra, nie?

Mimi odłożyła widelec, otarła usta serwetką, a następnie wyjęła pilnik Tweezermana i zaczęła szlifować tylne zęby.

- To doskonale robi na kły - poinformowała Bliss spokojnie.

Bliss była zaskoczona. Przez chwile patrzyła na Mimi i widziała twarz osoby, którą - jak jej się wydawało - kiedyś znała.

- Też to masz, nie?

- Co?

- Widziałaś mnie. Albo, wiesz, jakąś inną mnie, w jakimś twoim przeszłym życiu.

- To było to?

- Kim byłam? - spytała z zaciekawieniem Mimi.

- Nie wiesz sama?

Mimi westchnęła.

- Nie bardzo. Można poprzez medytację poznać całą swoją historię, ale to mordęga. Nie warto.

- Brałaś lub - odparła Bliss. - Miałaś koronę.

- Mmmmm - uśmiechnęła się Mimi. - Ciekawe, o który chodzi. Brałam ślub w Bostonie, Newport i Southampton - w Anglii, nie na Long Island. Wiesz, tam mieszkaliśmy. To znaczy, dopóki nie przenieśliśmy

się tutaj. Pamiętam, jak zaczynaliśmy podróż w Plymouth, a ty? Na razie tylko tak daleko umiem się cofnąć.

Ale Bliss nie powiedziała Mimi, że we wspomnieniach widziała, jak Mimi namiętnie całuje pana młodego. I że pan młody do złudzenia przypomina jej brata, Jacka. To była po prostu obrzydliwe. Może istniało jakieś Błękitnokrwistą wyjaśnienie, ale na razie Bliss wolą zachować ten niesmaczny widok dla siebie.

DWADZIEŚCIA DWA

Cordelia poprosiła Schuyler, żeby po szkole spotkała się z nią na herbacie w lobby hotelu St. Regis. Kiedy Schuyler się pojawiła, babka już czekała przy ich zwykłym stoliku. Siedziała na środku jasnej, pięknej sali, a ogar Schuyler spał u jej stóp. W St. Regis nie wolno było

wprowadzać zwierząt do jadalni, ale dla Cordelii robiono wyjątek. Ostatecznie Astor Court wziął swoją nazwę od jej prababki.

Schuyler zbliżyła się, czując jednocześnie złość i obawę.

Cordelia siedziała spokojnie, z rękami splecionymi na kolanach. Wyglądała na pełną życia i energii. Jej skóra lśniła, a włosy w najjaśniejszym odcieniu platyny nosiły niemal niewidoczne ślady siwizny. Po raz pierwszy Schuyler zauważyła, że babka zawsze tak wygląda po cotygodniowych zabiegach w salonie kosmetycznym u Jorge. Zastanawiała się teraz, czy gorący przystojniak z Ameryki Południowej był tylko fryzjerem? Czy może jednym z familiantów Cordelii? Uznała, że woli nie wiedzieć.

- Pozwól, że jako pierwsza złożę ci gratulacje - przemówiła Cordelia.

- Nie wiem, z czego niby mam się tak cieszyć - odparła Schuyler.

Cordelia wskazała krzesło naprzeciwko.

- Siadaj, moja wnuczko. Mamy wiele rzeczy do omówienia

Pojawił się kelner w smokingu, a Cordelia zamówiła trzydaniowy podwieczorek.

- Oraz herbatę Chinese Flowers - zdecydowała zamykając menu.

Schuyler usiadła, a Beauty położyła łeb na jej kolanach. Schuyler automatycznie pogłaskała ją, zastanawiając się, czy naprawdę jest aniołem stróżem, czy tylko bezpańskim psem, znalezionym na ulicy. Przekartkowała pobieżnie oprawione w skórę menu.

- Dla mnie proszę Earl Greya - rzuciła i spojrzała przenikliwie na babkę.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej? - zażądała wyjaśnień, kiedy kelner się oddalił.

- Nie ma takiego zwyczaju - wyjaśniła po prostu Cordelia - Ciężar wiedzy o sobie nie powinien być składany na barki tych, którzy nie są jeszcze gotowi.

Uważamy, że Priscilla doskonale radzi sobie z ceremonią wtajemniczenia.

Priscilla Dupont. Dowódca Straży. Przewodnicząca Komitetu. Osoba z towarzystwa.

Czy kim tam była naprawdę.

- Ile masz naprawdę lat, Cordelio? - zapytała Schuyler. Cordelia uśmiechnęła się smutnym, wszystko wiedzującym uśmiechem.

- Twoje domysły są słuszne. Przekroczyłam przypisany mi cykl. Jestem znużona tą ekspresją. Ale mam powody, by tu pozostawać.

- Ponieważ moja matka... - Schuyler zaświtało w głowie, że Cordelii pozwolono żyć dłużej, aby mogła się nią opiekować, ponieważ jej matka... Co właściwie działo się z jej matką? Skoro była wszechpotężnym wampirem, to dlaczego pozostawała w śpiączce?

Po twarzy jej babki przemknął ból.

- Tak. Twoja matka dokonała bardzo złych wyborów. - Dlaczego? Dlaczego jest w śpiączce? Skoro jest tak potężna to czemu się nie obudzi.?

- To nie jest temat, który możemy poruszać - powiedziała ostro Cordelia. - Cokolwiek uczyniła, powinnaś czuć się zaszczycona, że nosisz jej dziedzictwo.

Schuyler chciała zapytać, co jej babka miała na myśli, ale nadszedł kelner z trzypiętrową srebrną tacą, wyładowaną bułeczkami, kanapkami i maleńkimi ciasteczkami. Lśniące, srebrne czajniczki, wypełnione parzącą się herbatą, zostały ustawione obok porcelanowych filiżanek.

Schuyler sięgnęła, żeby nalać herbaty, i została upomniana przez babkę.

- Sitko.

Skinęła głową i umieściła srebrne sitko na filiżance. Kelner nalał gorącej herbaty z czajniczka. Przyjemny zapach parzonej bergamotki nappełnił jej nozdrza. Uśmiechnęła się. Od małego lubiła ten popołudniowy rytuał. W tle harfista grał łagodną melodię.

Przez dłuższą chwilę trwało milczenie, a Schuyler i jej babka posilały łąy się w ciszy Schuyler nałożyła na swoją bułeczkę obfitą porcję kremu waniliowego. Ugryzła kawałek, mrużąc z zadowolenia.

Cordelia otarła serwetką usta. Wybrała mały paluszek z sałatką krabową, wzięła niewielki kęs i odłożyła resztę na talerzyk.

Schuyler stwierdziła, że umiera z głodu. Sięgnęła po cienką kwadratową kanapkę z ogórkiem i po jeszcze jedną bułeczkę.

Kelner w milczeniu dopełnił dwa górne piętra tacy, przesuając się obok niemal niezauważalnie.

- Dlaczego zaszczycona? - zapytała babkę. Przestała rozumieć. Zupełnie jakby miała jakiś wybór, ale z tego, czego się dowiedziała na spotkaniu, wynikało, że przeistoczenie w błękitnokrwistą było jej przeznaczeniem.

Cordelia wzruszyła ramionami. Podniosła pokrywkę czajniczka i przywołała kelnera, stojącego w milczeniu pod ścianą.

- Poproszę jeszcze wrzątku - zadysponowała.

- Czy rzeczywiście jesteś moją babką? - spytała Schuyler między dwoma kęsami grzanki z wędzonym łososiem. Cordelia znowu się uśmiechnęła. W uśmiechu kryło się coś niepokojącego, zupełnie jakby podniosła się kurtyna i Schuyler wreszcie mogła zobaczyć, jak starsza dama naprawdę wygląda.

- W zasadzie nie. Jesteś bystra, że to dostrzegasz. Jest nas zawsze tyle samo - czterysta istnień od początku czasu. Nie mamy potomstwa w zwykłym znaczeniu tego słowa. Jak się dowiedziałaś, w kolejnych cyklach wielu spośród nas jest wzywanych ale niektórzy wola odpoczywać. Coraz więcej błękitnokrwistych wybiera odpoczynek. Sen gwarantuje im niezmiennosc i zachowanie pierwotnego stanu. Kiedy nasze ciała się zużywają, pozostaje po nas jedna kropla krwi, a kiedy przychodzi czas, by wezwać kolejną duszę, w te z nas, które się na to zdecydują, zostaje wszczepione nowe życie. Więc w pewnym sensie wszyscy jesteśmy spokrewnieni, nie będąc spokrewnionymi w ogóle. Ale ty znajdujesz się pod moją opieką i ja jestem za ciebie odpowiedzialna.

Schuyler była zdumiona słowami babki. Co właściwie miała na myśli?

- A mój ojciec? - spytała z ciekawością, myśląc o wysokim mężczyźnie w ciemnym garniturze, który odwiedzał jej matkę.

- Kwestia twojego ojca nie powinna cię interesować - odparła zimno Cordelia. - Nie zaprzataj sobie nim myśli. Nie był wart twojej matki.

- Ale kim... ? - Schyler nigdy nie widziała ojca. Wiedziała, że nazywał się Stephan Chase i był artystą, którego matka poznała na wernisażu. To wszystko. Nie wiedziała niczego o jego rodzinie.

- Dość. Odszedł i to wszystko, co powinnaś wiedzieć. Jak mówiłam, zmarł niedługo po twoich narodzinach - powiedziała Cordelia. Wyciągnęła rękę i pogładziła Schuyler po włosach. Pierwszy raz od bardzo dawna okazała jej jakieś uczucia.

Schuyler sięgnęła po truskawkową tartę. Czuła się zniechęca i niespokojna, czując, że Cordelia nie mówiła jej wszystkiego.

- Widzisz, to dla nas nietatwe czasy - wyjaśniła Cordelia, przeglądając tacę z ciasteczkami i wybierając orzechowe. - Coraz mniej spośród nas wybiera przechodzenie przez prawidłowy cykl, a nasze wartości, nasz sposób życia, szybko znikają. Nieliczni już ściśle przestrzegają Kodeksu. Pojawiają się odstępstwa i zepsucie. Wielu obawia się, że nigdy nie doczekamy się przebaczenia. Niektórzy zamiast tego pozwalają aby pochłonęła ich ciemność, która od zawsze nam zagraża. Nieśmiertelność jest zarazem klątwą i błogostawieństwem. Ja żyję już za długo. Zbyt wiele pamiętam - Cordelia upiła długi łyk z filiżanki, dystyngowanie odginając mały palec.

Kiedy odstawiała filiżankę, jej twarz się zmieniła. Na oczach Schuyler postarzała się i zwiędła. Schuyler poczuła przyptyw współczucia dla starej kobiety, niezależnie od tego, czy była wampirem, czy też nie.

- Co masz na myśli?

- Żyjemy w grubiańskich czasach. Pełnych wulgarności i rozpaczy. Staramy się, jak możemy, aby dawać przykład, pokazywać drogę.

Jesteśmy istotami pełnymi piękna i światła, ale czerwono krwiści już nas nie słuchają. Straciliśmy znaczenie. Jest ich zbyt wielu, a nas zbyt mało. To ich wola zmienia świat, nie nasza.

- Nie rozumiem. Przecież Charles Force jest najbogatszym i najbardziej wpływowym człowiekiem w mieście, a ojciec Bliss zasiada w senacie. Oni obaj są błękitnokrwistymi, prawda? - spytała Schuyler.

- Charles Force - wypowiedziała Cordelia ponuro, mieszając miód w herbacie. Odłożyła łyżeczkę z taką złością, że inni goście obejrzeli się, słysząc niespodziewany dźwięk. Jej twarz ściągnęła się. - On ma własne plany. Jeśli zaś chodzi o senatora Llewellyna, zajmowanie stanowisk publicznych stanowi naruszenie naszego Kodeksu. Nie powinniśmy wpływać bezpośrednio na sprawy polityczne ludzi. Ale czasy się zmieniają. - Popatrz na jego żonę - w głosie Cordelii pojawił się cień niesmaku. - W jej guście i sposobie ubierania się nie ma nic błękitnokrwistego. O ile pamiętam, coś takiego nazywa się „*równaniem w dół*”. - Westchnęła, kiedy Schuyler położyła rękę na jej dłoniach. - Jesteś dobrym dzieckiem, a ja już zbyt wiele ci wyjawiałam. Być może pomoże ci to pewnego dnia, kiedy poznasz całą prawdę. Ale nie teraz.

Cordelia nie miała do powiedzenia już nic więcej.

W milczeniu dopiły herbatę. Schuyler zjadła jeszcze kawałek czekoladowej ekierki, ale odłożyła resztę na talerzyk. Po tym, co usłyszała od Cordelii, straciła apetyt.

DWADZIEŚCIA TRZY

To wkurzające, że najlepszy przyjaciel potrafił sprawić swoim postępowaniem, że wszystko w środku zawiązywało się w bolesne supty. Oliver doskonale wiedział, gdzie wsadzić szpilę.

Klon-naśladowca, jasne. A co z nim, z jego Vespą i fryzurą za sto dolarów?

I corocznymi przyjęciami urodzinowymi na pokładzie rodzinnego sześćdziesięciometrowego jachtu? Czy nie próbował w ten sposób bezskutecznie zdobywać popularność? Od zebrania Komitetu i podwieczorku z Cordelią Schuyler czuła się, jakby stąpała po bagnie, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Babka potwierdziła tyle domysłów na temat ich przeszłości i tyle spraw wciąż pozostawało tajemnicą. Dlaczego Allegra Pozostawała w śpiączce? Co się stało z jej ojcem? Schuyler czuła się bardziej zagubiona niż zwykle, tym bardziej że Oliver nadal z nią nie rozmawiał. Do tej pory nigdy się nie kłócili - żartowali nawet, że są dwiema połówkami jednej osoby. Lubili te same rzeczy (50 Centa, filmy s-f, kanapki z pastami i musztardą) i nie cierpieli tych samych rzeczy (Eminema, pretensjonalnych gal oskarowych, zaślepionych wegetarian). Ale od kiedy Schuyler przeniosła Jacka z kolumny "zgnile jajo" przeniosła Jacka z kolumny „zgnile jajo” do kolumny "ciacho" bez pytania Olivera o zgodę, przyjaciel po prostu odciął się od niej. Reszta tygodnia minęła bez znaczących wydarzeń, Cordelia, jak każdej jesieni, wybrała się na Martha's Vineyard, Oliver nadal nie zauważał istnienia Schuyler, a ona nie miała więcej okazji, żeby porozmawiać z Jackiem. Na szczęście jednak była zbyt zajęta przyziemnymi sprawami - zaliczyć biologię, odrobić prace domowe, oddać wypracowania z angielskiego - żeby zastanawiać się nad swoimi problemami.

Szczęka bolała ją za każdym razem, kiedy wysuwała i chowała kły. Mogła się tylko pocieszać, że nie odczuwa jeszcze tego najgłębszego głodu. Dowiedziała się od babki, że *caerimonia oscular*, „święty pocałunek”, była bardzo specjalną ceremonią i większość błękitnokrwistych czekała z nią do pełnoletności. Inna rzecz, że w każdym pokoleniu znajdowali się tacy, którzy zaczęli ssać krew wcześniej - niektóre wampire liczyły sobie zaledwie czternaście-piętnaście lat, gdy brały pierwszych familiantów. Zresztą, wykorzystywanie czerwonekrwistego bez jego lub jej zgody stało w sprzeczności z Kodeksem.

Pod wpływem impulsu postanowiła odwiedzić matkę w szpitalu w piątkowe popołudnie, po szkole, skoro Oliver nie zaprosił jej do siebie, jak to zwykle robił. Poza tym miała pewien pomysł i nie chciała czekać z nim do niedzieli. Zamiast jak co tydzień czytać matce gazety, zamierzała zadać jej kilka pytań.

Nawet jeśli matka nie była w stanie odpowiedzieć, Schuyler uznała, że po czuje się lepiej- jeśli wyrzuci z siebie to, co leży jej na sercu.

W zwykłe dni szpitalne popołudnia mijały sennie i leniwie.

Niewielu odwiedzających kręciło się po holu, budynek sprawiał wrażenie opustoszałego i porzuconego. Życie toczyło się gdzie indziej i nawet pielęgniarki wyglądały, jakby nie mogły doczekać się weekendu.

Schuyler spojrzała przez okienko, zanim weszła do pokoju matki. Tak jak poprzednio u stóp łóżka stał ten sam siwowłosy mężczyzna. Mówił coś, więc Schuyler przycisnęła ucho do drzwi,

„Wybacz mi... wybacz mi... Obudź się, błagam, pozwól sobie pomóc...”

Schuyler patrzyła i słuchała. Wiedziała, kto to był. To musiał być on. Poczowała, że jej serce przyspiesza pod wpływem emocji. Mężczyzna mówił dalej.

- Dostatecznie długo karzesz mnie, karzesz siebie. Wróć do mnie, błagam.

Pielęgniarka opiekująca się matką pojawiła się za jej plecami.

-Cześć, Schuyler, co robisz? Czemu nie wejdiesz? -Widzi go siostra? - szepnęła Schuyler, wskazując szybę.

- Kogo? - zdziwiła się pielęgniarka. - Nikogo tam nie ma. Schuyler zacisnęła wargi. Więc tylko ona mogła zobaczyć nieznanego. Tak jak przypuszczała. Owładnęło ją niespokojne uczucie oczekiwania. -Nie widzi nic siostra?

Pielęgniarka potrząsnęła głową i popatrzyła na Schuyler, jakby coś było z nią nie w porządku. - Czyli to tylko złudzenie - powiedziała Schuyler

- Wydawało mi się, że coś się wewnątrz ruszyło...

Pielęgniarka skinęła głową i poszła dalej.

Schuyler weszła do pokoju. Tajemniczy gość zniknął, ale zauważyła, że krzesło nadal jest ciepłe. Rozejrzała się po pokoju i odezwała cicho, po raz pierwszy, od kiedy zauważyła płaczącego go nieznanego.

- Tato? - szepnęła, przechodząc do drugiego pokoju, w pełni umeblowanego salonu dla gości, i rozglądając się -Tato? Czy to ty? Jesteś tu?

Nie było odpowiedzi, a mężczyzna nie pojawił się ponownie Schuyler usiadła na krześle, które wcześniej zajmował.

- Chcę wiedzieć coś o moim ojcu - zwróciła się do milczącej kobiety na łóżku. - Kim był Stephan Chase? Co ci zrobił? Co się stało? Czy jeszcze żyje? Czy cię odwiedza? Czy to on tu był przed chwilą? - podniosła głos, żeby gość ją usłyszał, jeśli jeszcze znajdował się w pobliżu. Żeby ojciec wiedział, że ona go rozpoznała. Chciała, żeby został i z nią porozmawiał. Cordelia zawsze sugerowała, że ojciec wyrządził jej matce jakąś straszną krzywdę. Że nigdy jej nie kochał - co było sprzeczne z widokiem mężczyzny szlochającego przy łóżku matki.

- Mamo, potrzebuję pomocy - błagała Schuyler. - Cordelia mówi, że mogłabyś wstać, kiedy tylko zechcesz, ale tego nie robisz.

- Obudź się, mamo. Zrób to dla mnie, proszę. Ale kobieta na łóżku nie poruszyła się. Nie było odpowiedzi. - Stephan Chase. Twój mąż. Zginął kiedy się urodziłam, tak mi mówiła Cordelia. Czy to prawda? Czy mój ojciec nie żyje?

Mamo? Proszę, muszę wiedzieć.

Nawet poruszenia palcem. Nawet westchnienia.

Schuyler dała sobie spokój z pytaniami i sięgnęła po gazety. Kontynuowała czytanie rubryki ślubów, czując się dziwnie ukojona jednostajną litanią małżeńskich związków. Kiedy przeczytała wszystkie do samego końca, wstała i pocałowała matkę w policzek.

Skóra Allegry była zimna i woskowa w dotyku. Jak dotknięcie śmierci.

Schuyler wyszła, zniechęcona bardziej niż kiedykolwiek.

DWADZIEŚCIA CZTERY

Tego wieczora, po powrocie do domu, Schuyler odebrała interesujący telefon od Lindy Farnsworth. Stitched for Civilization było aktualnie najmodniejszą marką dżinsów w mieście (i praktycznie na całym świecie). Krzykliwe billboardy wypełniały Times Square, a trzystudolarowe „Social Lies” -nisko wycięte biodrówki, podnoszące pośladki, modelujące biodra, przetarte, poplamione, sprane, podarte i superdługie - stały się obiektem kultu wśród „dżinsokracji”.

I najwyraźniej ich projektant rzucił się na polaroidowe zdjęcie nachmurzonej Schuyler.

-Będziesz nową twarzą Civilization! - wykrzyknęła Linda w słuchawce. - Muszą cię mieć! Nie każ się prosić!

-No dobrze, chyba może być - zgodziła się Schuyler, nadal trochę ogłuszona entuzjazmem Lindy.

Ponieważ nie znalazła dobrego powodu, by odrzucić ofertę bogów mody (kto odmówiłby Civilization?), następnego ranka wybrała się na umówioną sesję zdjęciową. Studio fotograficzne mieściło się na zachodnim krańcu Chelsea, w gigantycznym budynku, który niegdyś zajmowała drukarnia. Winda była obsługiwana przez dżentelmena z zaczerwienionymi oczami w roboczym uniformie, który musiał ręcznie ją ustawić, żeby zawiozła Schuyler na odpowiednie piętro.

Przeszła przez labirynt korytarzy, zauważając wiele znajomo wyglądających nazwisk projektantów i adresów internetowych na tabliczkach przy zamkniętych drzwiach.

Studio fotograficzne znajdowało się w północno - wschodnim narożniku. Drzwi były otwarte na oścież i podparte, a z wnętrza wylewała się głośna elektroniczna muzyka.

Weszła do środka, nie do końca pewna, czego powinna oczekiwać. Studio okazało się dużym, otwartym pomieszczeniem, przypominało całkowicie białe pudełko z błyszczącą, poliuretanową podłogą i oknami od podłogi do sufitu. Na jednej ze ścian znajdowało się idealnie białe tło z ustawionym przed nim trójnogiem. Ziewający stażyści wwozili wieszaki z ubraniami, które miał przejrzeć stylistę z dreadami na głowie.

- Schuyler! - Wychudły, niedogolony mężczyzna w spranym T-shircie i workowatych džinsach podszedł do niej, entuzjastycznie wyciągając rękę. Palił papierosa i nosił ciemne okulary lotnicze Ray Ban.

- Witam - odezwała się Schuyler.

- Jonas Jones, pamiętasz mnie? - zapytał, podnosząc okulary i szczerząc się w uśmiechu.

- A... Tak, oczywiście - odparła lekko onieśmielona Schuyler. Jonas Jones był jednym z najbardziej znanych absolwentów Duchesne. Ukończył szkołę kilka lat temu, a potem narobił hałasu w świecie sztuki dzięki swym postrzępionym obrazom. Nakręcił też film, nagrodzony na festiwalu w Sundance Kadrył drwala, natomiast ostatnio zajął się fotografowaniem mody. - Dzięki, że się zgodziłaś - powiedział. - Wybacz, że tak w ostatniej chwili, ale rozumiesz, taki biznes. Przedstawił projektantkę Civilization, była modelką z płaskim brzuchem i wystającymi kośćmi miednicy.

- Jestem Anka - przedstawiła się pogodnie. - Wybacz, że zrywamy cię o świecie w sobotę, ale to trochę potrwa. Na pewno jakoś przeżyjesz. Mamy całe tony pączków - wskazała bufet, zastawiony zielono-białymi pudełkami Krispy Kreme. Schuyler od razu ją polubiła.

-No dobrze, zróbmy ci włosy i makijaż - zdecydował Jonas, prowadząc Schuyler do narożnika, gdzie naprzeciwko obramowanego dwoma rzędami żarówek garderobianego lustra ustawiono dwa płócienne, wysokie krzesła.

Na jednym z nich siedziała Bliss Llewellyn. Linda zapomniała dodać, że Civilization w tym roku potrzebuje dwóch twarzy. Wysoka dziewczyna była już przygotowana. Miała zaczesane w ogromny kok włosy i pomalowane na wiśniowo usta. Ubrana w biały, puszysty szlafrok, rozmawiała przez komórkę. Pomachała radośnie do Schuyler wymanikiowaną ręką. Schuyler pomachała w odpowiedzi, a brytyjska makijażystka, która przedstawiła się jako Perfection Smith, zaczęła badać stan jej skóry. Jednocześnie skwaszona fryzjerka-stylistka zaczęła oglądać pukiel włosów Schuyler, cmokając z niezadowoleniem.

- Późno chodzisz spać? - dopytywała się Perfection, podnosząc podródek Schuyler do światła. - Masz przesuszoną skórę, złotko - oznajmiła z nosowym akcentem.

- Chyba tak-odparta Schuyler. Nie najlepiej sypiała od zebrania Komitetu. Przeraziła ją świadomość, że kiedy śpi, jej własna krew budzi się, wsączając się w jej świadomość, a wszystkie wspomnienia i głosy z przeszłych istnień żądają dla siebie kontroli nad jej mózgiem. Wprawdzie Jack wyjaśniał, że to tak nie działa - wspomnienia to wspomnienia, są częścią ciebie i nie ma powodów się ich bać - ale Schuyler nie do końca mu wierzyła.

Zamknęła oczy; jej twarz została oczyszczona, wyszczypana, wymasowana, wygładzona, upudrowana i nasmarowana. Jednocześnie jej włosy były ciągnięte, czesane i suszone tak, że niemal przypalały się na końcach.

- Auć! - jęknęła, kiedy suszarka zaczęła przypiekać skórę na głowie. Ale nadęta stylistka nawet nie przeprosiła.

Miała też trudności ze stosowaniem się do rzucanych przez Perfection wskazówek. Schuyler nigdy nie przypuszczała, że nałożenie makijażu może być tak skomplikowane. Musiała robić mnóstwo rzeczy jednocześnie, żeby makijażystka była w stanie prawidłowo wypełnić swoje zadanie. Perfection musztrowała jak sierżant w wojsku.

- Otwórz. Szerzej. Spójrz w prawo. Spójrz w lewo. Spójrz na moje kolano. Spójrz na sufit. Zamknij usta. Potrzymaj wargi.

Spójrz na mnie. Spójrz na moje kolano.

Kiedy transformacja się zakończyła, Schuyler była wykończona.

- Jesteś gotowa? zapytała Perfection. Obróciła krzesło, żeby Schuyler mogła się wreszcie zobaczyć w lustrze. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Patrzyła na nią twarz matki. Twarz, która uśmiechała się pogodnie na ślubnych zdjęciach, trzymany przez Schuyler pod łóżkiem. Była piękna jak bogini.

- Och - powiedziała Schuyler, szeroko otwierając oczy. Do tej pory nie miała pojęcia, jak bardzo przypomina matkę.

Rany, ona jest naprawdę śliczna, pomyślała Bliss. Śliczna nie było odpowiednim słowem - to tak, jakby powiedzieć, że Audrey Hepburn nieźle wygląda. Schuyler była nieziemską. Bliss zastanawiała się, czemu wcześniej tego nie zauważyła. Gadała przez komórkę z Dylanem, opowiadając mu o planowanej na wieczór imprezie - matka pojechała do Waszyngtonu, odwiedzić ojca, a Jordan nocowała u koleżanki. Mówiła właśnie, o której się może pojawić, kiedy zauważyła przemianę Schuyler.

Schuyler wyglądała jak modelka w każdym calu. Jej usta były pełne i lśniące. Kruczoczarne włosy zostały uczesane tak, że spływały jak hebanowa kurtyna po jej prostych plecach, gładkie i doskonałe. Stylistka ubrała ją w ciasne džinsy Sritched for Civilization, a Bliss przekonała się, że pod warstwami ubrania Schuyler ukrywała świetną figurę, smukłą i dziewczęcą. Bliss poczuła się przy niej ciężka jak koń.

-Potem pogadamy, wołają nas - powiedziała Dylanowi i zamknęła telefon.

- Kurczę, wyglądasz ekstra - szepnęła, kiedy ustawiono je obok siebie na tle białej ściany.

_ Dzięki - odparła Schuyler. - Głupio się czuję. Nigdy wcześniej nie była tak skąpo ubrana przy ludziach i próbowała nie okazać, że się tym przejmuje. Obie miały tylko džinsy - stały plecami do aparatu, zasłaniając piersi rękami, chociaż stylistka przykryła ich sutki cielistymi plasterkami. Schuyler zgodziła się pozować głównie z ciekawości, miał to być rodzaj eksperymentu towarzyskiego, nad którym mogłaby się później zastanowić, ale musiała przyznać, że jak dotąd bawiła się całkiem fajnie. W studiu było zimno, a Jonas głośno instruował wszystkich, przekrzykując Black Eyed Peas, rozbrzmiewających z głośników pod sufitem. Panowała gorączkowa atmosfera, nerwowi asystenci i spece od oświetlenia skakali na każde słowo fotografa. Podczas przerw Bliss i

Schuyler były atakowane przez butelki lakieru do włosów. Jonas i Anka ze śmiertelną powagą dyskutowali zaciekle, czy ich włosy być rozwiane wiatrem (seksowne czy ograne?) i czy dzinsy wyglądają lepiej z boku, czy też z przodu. Dziewczęta pozowały, wydymając usta i starając się nie mrugać przy błyskach flesza. Pod wpływem impulsu Bliss przeciągnęła Schuyler do siebie, ciasno ją obejmując.

- Pokręcone - uśmiechnął się zza aparatu Jonas. Podczas przerwy na lunch włożyły szlafroki i razem z ekipą tłoczyły się przy stole bufetowym, nakładając na talerze górę warzyw i wędzonego tuńczyka (na szczęście surowego, pomyślała Bliss).

- Zapalicie? - zapytał Jonas, wyciągając z tylnej kieszeni paczkę pokruszonych papierosów. - Chodźcie, dotrzymacie mi towarzystwa.

Odstawiły talerze i wyszły z nim i Anką na balkon - Więc obie uczycie się w Duchesne? - zapytała Anka, wyciągając długi papieros mentolowy i zaciągając się, gdy Jonas go jej zapalił.

_ Mhm - przytaknęła Bliss, przyjmując od fotografa nieco pomiętego camela.

Schuyler odmownie potrząsnęła głową. Od papierosów robiło się jej niedobrze, zamierzała tylko dotrzymać im towarzystwa i podziwiać widok. Balkon wychodził na opuszczone tory kolejowe nad rzeką, na której widać było barkę, mozolnie sunącą w poprzek nurtu. Schuyler rozglądała się z zachwytem. Nigdy nie nudziło jej się patrzeć na miasto. -Ja chodziłam do Kent - oznajmiła Anka. - Poznałam Jonasa w Rhodney Island School of Design.

- Od tamtej pory współpracujemy - przytaknął Jonas. Wypuścił kółko dymu. - Fajnie, że was znaleźliśmy. Zależało nam, żeby twarzą kampanii był ktoś z naszych.

- Z naszych? - zapytała Schuyler. Anka roześmiała się i obnażyła kły. - Jesteście błękitnokrwisci! - westchnęła Bliss.

-Jasne. - Jonas skinął głową z rozbawieniem. - Jak większość ludzi ze świata mody. Nie zauważyłyście?

- A skąd to wiadomo?

- Po prostu wiadomo - jest coś takiego w kształcie oczu, W ogólnej budowie sylwetki - wyjaśnił Jonas. - Poza tym jesteśmy bardzo, ale to bardzo wybredni. Popatrzcie tylko na Brannon Frost, naczelną „Chic”.

- Jesteś wampirzycą? - wytrzeszczyła oczy Bliss. Ale właściwie nie było czemu się dziwić - wiotka figura, ogromne ciemne okulary, blada skóra, niezłomne dążenie do perfekcji.

- Kto jeszcze? - zapytała Schuyler.

Jonas rzucił jeszcze kilkoma nazwiskami: popularny, "niegrzeczny" projektant, znany z tego, że ostatnio zrewolucjonizował style goth i grunge, modelka będąca aktualnie twarzą firmy bieliźnianej, rozchwytywana makijażystka, która spopularyzowała niebieski lakier do paznokci..

-Jest ich masa - powiedział, zrzucając niedopałek z balkonu. Zmienili temat, kiedy dołączyło do nich kilkoro ludzi z obsługi, a Jonas zaczął opowiadać pieprzne dowcipy, w czym mogła równać się z nim tylko Perfection. Schuyler śmiała się razem z całą resztą, czując, że ona i Bliss stały się członkiniami stworzonej ad hoc, nieco zdegenerowanej rodziny.

- Dlaczego nie ma tu Mimi? - zapytała niespodziewanie Schuyler. Wydało jej się dziwne, że ona ma okazję doświadczać czegoś tak ekscytującego, podczas kiedy uwielbiająca rozgłos Mimi została pominięta.

Bliss roześmiała się. Kompletnie zapomniała o Mimi. Mimi padnie trupem, kiedy się dowie, że do kampanii Sritched for Civilization zostały wybrane Bliss i Schuylet, a nie ona!

- Właśnie, co z Mimi? - spytała Bliss.

Jonas poskrobał się w głowę. Schuyler zauważyła wyblakłe niebieskie znaki na jego rękach.

- Mimi Force? Braлиśmy ją przez jakąś sekundę pod uwagę. Pamiętasz, Anka? Co się z nią stało?

- Linda podała mi jej dzienną stawkę - odparła Anka. - Najwyraźniej kiedy podpisywała kontrakt, powiedziała Lindzie, że nie wstanie z łóżka za mniej niż dziesięć tysięcy dolców dziennie. No, niestety, dla kogoś bez doświadczenia to absurdalne. Nawet jej nie pytałam. Poza tym chciałam mieć was dwie.

-Najwidoczniej sen jest dla niej ważniejszy - uśmiechnęła się Bliss. - Nie wie, co traci - obdarzyła Schuyler rzadkim u siebie uśmiechem.

-Właśnie - skinęła głową Schuyler, odpowiadając na uśmiech.

Coraz bardziej lubiła Bliss Llewellyn.

Wróciły na sesję, oplatając się wokół siebie nawzajem, a kiedy Jonas krzyknął: " Gorące! Macie być gorące, prawie spaliły mu obiektyw.

DWADZIEŚCIA PIĘĆ

Pozwolili jej zatrzymać dzinsy! Schuyler była zachwycona. Zdjęcia skończyły się późno, znacznie po ustalonej godzinie szóstej, i na dworze było już ciemno. Pożegnała się w wirze cmoknięć w powietrze, machając z całej siły do wszystkich. Wesoła banda rozproszyła się - Anka i stylistka zniknęły w lincolnie, makijażystka i fryzjerka w taksówkach, a Jonas z asyistentkami w najbliższym barze.

- Podrzucić cię.? - spytała Bliss. - Mój kierowca zaraz będzie.

Schuyler potrząsnęła głową.

- Dzięki, nie trzeba. Wolę się przejść. - Wieczór był naprawdę ładny, bezchmurny i rześki.

Bliss wzruszyła ramionami. Z papierosem w zębach, w obcisłym T-shircie, nowych džinsach i fioletowej futrzanej kurteczce wyglądała w każdym calu na modelkę po godzinach. -Jak chcesz. Pamiętaj, *cara mia*, dzisiaj o dziesiątej.

Schuyler skinęła głową. Mocno przycisnęła do siebie torbę z nowymi džinsami. Znowu ubrana była w wiele warstw - czarny T-shirt na czarnym golfie na czarnej dżersejowej spódnicy na szarych džinsach i pasiastych, czarno - białych pończochach, a do tego zniszczone czarne glany. Zamierzała pójść do Siódmej Alei, a następnie przez Times Square, Lincoln Center i Upper West Side do domu.

Wędrując w kierunku Dziesiątej Alei. czuła się trochę niepewnie. Ulice kompletnie opustoszały. Dawne magazyny mieszczące obecnie galerie sztuki, wydawały się ciemne i odpychające. Latarnie migotały, a na chodnikach, po ostatniej ulewie lśniły kałuże. Schuyler nagle pożałowała, że odrzuciła ofertę Bliss. Lekko niespokojna ruszyła szybciej w stronę dobrze oświetlonych alei. Będzie bezpieczna, kiedy tylko dotrze do Dziewiątej, pełnej kawiarenek i butików.

Próbowwała stłumić obawy, tłumacząc sobie, że to zwykły lęk przed ciemnością – a dlaczego ona miałaby się bać ciemności? Była wampirem! Roześmiała się złowieszczo, ale jednocześnie poczuła ukłucie strachu.

Nie mogła dłużej tego ignorować. Ktoś za nią szedł. A może coś...

Ruszyła biegiem, serce tłukło jej się w piersiach, oddech przyspieszył. Odwróciła się... Cień na ścianie. Jej cień.

Zamrugła. Nic. Nie było tu niczego ani nikogo. Masz paranoję, po prostu masz paranoję, powiedziała do siebie. Zmusiła się, żeby iść wolniej, żeby udowodnić samej sobie, że się nie boi.

Jeszcze tylko kawałeczek do bezpiecznej Dziewiątej Alei... Tak blisko- ... obejrzała się jeszcze raz... i poczuła, że coś chwyta ją za szyję. Walczyła, żeby złapać oddech, otworzyć oczy, odtrącić prześladowcę, ale nie mogła krzyknąć, zupełnie jakby ktoś zamknął szczelnie jej gardło i nie puszczał. Ogromne, mroczne tworzenie... Wysokie i silne jak mężczyzna, gęsta, toksyczna obecność... Szkarłatne oczy ze srebrnymi źrenicami, lśniący-mi w ciemności, patrzącymi na nią... wwiercającymi się w jej mózg... a potem poczuła... Nie! Nie! Nie!

Nie chciała w to uwierzyć, ale kły przebijały jej skórę - jak to możliwe? Przecież należała do nich! Co to było?!

Zebrała całą siłę, odpychając napastnika - ale jej cios trafił w powietrze, jakby to wiatr trzymał ją w uścisku. Wszystko na nic, kły wysunęły się - raniąc jej szyję - jej krew, jej intensywnie niebieska krew, uchodziła z niej jak życie... Zamroczone i oszołomiona traciła przytomność - a wtedy nagle zmaterializował się czarno granatowy, wściekle ujadający cień. Beauty!

Ogar z warkotem rzucił się na mroczną istotę. Stwór puścił Schuyler, która zachwiała się i upadła na brudny chodnik, ściskając ranę na szyi. Beauty biegła wokół, warcząc i szczekając z całych sił. Napastnik zniknął.

Beauty nadal ujadała, kiedy Schuyler wreszcie otworzyła oczy. Ktoś próbował ją podnieść.

- Żyjesz?- zapytała Bliss Llewellyn. - Nie wiem - odparła Schuyler, ciągle jeszcze

w szoku. Spróbowała złapać równowagę, opierając się ciężko na ramieniu Bliss, ale nogi wciąż jej się trzęsły.

- Pomału uspokajała ją koleżanka.

Beauty wciąż szczekała, głośno i ze złością, warcząc na Bliss.

- Spokój, Beauty, to jest Bliss, moja przyjaciółka - Schuyler wyciągnęła rękę, aby uspokoić drżącą sukę. Ale Beauty nie przestawała. Biegała wokół Bliss, skubiąc ją w kostki.

- Auć!

- Beauty, dość! - Schuyler złapała gwałtownie obrozę suki. Skąd ona się tu wzięła? Skąd wiedziała? Schuyler popatrzyła w czarne, inteligentne oczy. Uratowałaś mnie, pomyślała.

- Co się stało? - spytała Bliss.

- Nie mam pojęcia. Szłam sobie, a coś zaatakowało mnie od tyłu...

- Słyszałam cię - wyjaśniła Bliss drżącym głosem.-Czekałam przed studiem na samochód, kiedy usłyszałam twój krzyk i przybiegłam.

Schuyler skinęła głową, wciąż jeszcze ogłuszona tym, co się wydarzyło. Zawartość jej torby leżała rozsypana na chodniku, książki nasiąkały wodą z kałuży razem z bezcennymi nowymi, džinsami.

- Co to mogło być? - dopytywała się Bliss, pomagając zbierać rzeczy i włożyć je z powrotem do skórzanej torby.

- Nie wiem... wydawało się... nierzeczywiste - powiedziała niepewnie Schuyler. Zapięła i zarzuciła torbę na ramię. Nadal stała trochę chwiejnie, ale trzymanie obroży Beauty w jakiś sposób jej pomagało. Czowała się przy niej silniejsza, bardziej materialna.

Wspomnienie ataku zaczynało już blaknąć - mroczna masa ze świeącymi, czerwonymi oczami o srebrnych źrenicach - i zęby dostatecznie ostre, by przebić skórę. Kły - takie, jak jej - ale kiedy dotknęła szyi, niczego już nie poczuła. Żadnej rany. Nawet zadrapania.

Dziennik Catherine Carver

23 grudnia 1620r.

Plymouth, Massachusetts

Biada! Błada! Wszyscy z Roanoke przepadli. Myles i jego ludzie nie znaleźli nawet śladu osady. Budynek zostały rozebrane, zwierzęta zniknęły. Nie było nic, prócz opustoszałych pól. Nic nie przetrwało z osady oprócz samotnego znaku, przybitego do drzewa.

John pokazał mi go.

CROATAN

Moja krew zmroziła się na ten widok.

Biada! Biada! To prawda! Jesteśmy przeklęci. Oni są tutaj. Wszystko utracone.

Oplakujemy naszych współbraci. Ale musimy chronić dzieci. Nie jesteśmy bezpieczni.

-CC.

DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

Niesamowite. To było jedno z ulubionych słów Mimi. Jej pyton, Birkin? Niesamowity! Nowy odrzutowiec G5 ojca? Niesamowity! Impreza u Bliss Llewellyn? Nie z tej ziemi, kotku. Niesamowita na maksa. Nic tak nie kręciło Mimi, jak imprezy. Zlustrowała spojrzeniem zatłoczony pokój. Byli tu prawie wszyscy członkowie Komitetu oraz wspaniały wybór wyjątkowo apetycznych czerwonoekrwistych. Cieszyła się, że przekonała Bliss do urządzenia imprezy.

Życie w szkole robiło się o wiele za poważne - semestralne zaliczenia za pasem, czwartoklasiści denerwujący się aplikacjami, smutek utrzymujący się po pogrzebie Aggie.

- i wszyscy musieli się odstresować. Bliss początkowo się opierała, zdręczając Mimi setkami głupich wątpliwości w rodzaju: „Czy ktoś przyjdzie? „Co z jedzeniem?” „Kto kupuje piwo?” „Co z meblami?” „Co będzie, jak coś się zniszczy?” „Niektóre z tych rzeczy kosztowały majątek!”. Doprowadzała Mimi do szału tym dramatyzowaniem. „Zostaw wszystko w moich rękach” - nakazała jej w końcu Mimi.

Niedługo potem dyrygowała armią specjalistów i stylistów, przekształcających potrójny penthouse Llewellynów w raj dla imprezowiczów – łącznie z darmowym otwartym barem (zresztą tak czy inaczej alkohol na nich nie działał), zastępem modelek, roznoszących tace z maleńkimi przekąskami (ziemniaki nadziewane kawiozem, zapiekanki z homara, koktajl krewetkowy) i stosem barwnych toreb prezentowych, wypchanych całą linią luksusowych kosmetyków. Mimi zatrudniła nawet ekipę refleksologów, aromaterapeutów i fachowców od masażu szwedzkiego, aby zajęli się stopami, dłońmi i plecami gości. Odziani na biało "policjanci pielęgnacyjni" byli zajęci ugniataniem, masowaniem i rozluźnianiem napiętych od stresu mięśni elity prywatnych liceów.

Po przyjeździe do domu Bliss przekonała się, że całe umeblowanie na niższym poziomie zostało zastąpione przez pokryte zebra sofę, kudłate dywany i lampy Aero. Przed kominkiem rozkładał swój sprzęt DJ.

- Nie panikuj, dobra.? - pomachała Mimi ręką przed Bliss.

—Co tu się, ku...?— zapytała Bliss, patrząc na całkowitą transformację swojego domu w modny klub nocny w stylu lat 60.

Mimi wyjaśniła, że wszystkie rzeczy rodziców Bliss zostały zabezpieczone i zabrane na przechowanie i że wszystko znajdzie się na

swoim miejscu jutro rano, zanim wróca. Pomysł podsunął jej jeden z magazynów mody, proponujący pusty dom jako idealne miejsce na imprezę.

- No i czy nie jestem genialna? Nie musisz się martwić, że ktoś coś rąbnie albo zniszczy - przekonywała ją Mimi. - Gdzieś ty się podziewała? Spóźniłaś się.

Ostąpiła Bliss potrząsnęła głową. Zastanawiała się, co by powiedziała jej macocha, gdyby dowiedziała się, że wszystkie rzeczy z jej ukochanego Penthouse des Rêves są gdzieś w Jersey. Przez chwilę wpatrywała się w Mimi, a potem podniosła ręce w geście poddania i poszła do swojego pokoju, żeby się przebrać.

-Nie ma za co! - krzyknęła za nią Mimi.

Najnowszy hitowy remiks (Destiny's Child vs. Nirvana) grzmiał z głośników Llewellynów. Mimi uśmiechnęła się do siebie w ciemności. Zwilżyła wargi, błyszczące intensywnie od krwi. Jej włoski chłopak był tam gdzieś, jak zwykle nieprzytomny.

- Lychee martini? - zapytała kelnerka, proponując jej koktajl.

Idealne do popicia. Mimi uśmiechnęła się i opróżniła kieliszek. Potem stanęła po następny i jeszcze następny, a zaskoczona kelnerka przyglądała się jej bez słowa.

- Spragniona? - spytał głos za nią. Mimi obróciła się.

Obserwował ją Dylan Ward, ciemne włosy spadały mu na oczy. Jak zwykle ogarnęło ją uczucie lęku.

- A bo co? - spytała drwiąco. Dylan wzruszył ramionami.

Mimi podeszła do niego. Miała na sobie krótki, skórzany czerwony żakiet Dsquared i szyfonową spódnicę Balenciaga, podkreślającą kształty. Złościło ją, że Dylan nawet nie dostrzegał, jak dobrze prezentują się jej nogi. Było w tym coś bezczelnego. Jakby w ogóle nie obchodziło go, jak

ona wygląda. Ignorancja! Spojrzała na jego szyję. Na razie nie zauważyła żadnych śladów świadczących o tym, że Bliss postanowiła przypieczętować ich związek. Mimi uśmiechnęła się do siebie. W jej głowie zaczął się lęgnąć pomysł. To mogło okazać się zabawne.

Jeśli przeprowadzi na Dylanie *caerimonia osculor*, zanim zrobi to Bliss, przywiąże chłopaka do siebie na zawsze. On zapomni o Bliss. Z kolei Teksanka dostanie za swoje, za to, że umawiała się z nim nawet gdy Mimi jej zabroniła. Mimi nie była, rzecz jasna, w najmniejszym stopniu zainteresowana Dylanem. Tylko znudzona. Zalotnie zmrużyła rzęsy.

– Pomożesz mi z pewną sprawą? - zapytała, odprowadzając go na bok. W półmroku wyglądała jak bezbronna ślicznotka i Dylan nie zastanawiając się dłużej podążył za nią, dalej i dalej, w ciemność.

– Ale jestem zaproszona! Znam właścicielkę tego mieszkania! - wyklócała się Schuyler. Nigdy wcześniej nie słyszała o liście gości na imprezę u kogoś w domu. Inna rzecz, że nigdy wcześniej nie była na takie zapraszana. Wysiadła z windy przed drzwiami prowadzącymi na najniższy poziom apartamentu, gdzie drogę zabarykadowały jej niewzruszone dziewczyny od PR.

- Otrzymała pani RSVP.? - zapytała jedna z nich, żując gumę i patrząc złowrogo na strój Schuyler. Miała na sobie luźną tunikę przyozdobioną sznurami plastikowych koralików, dżinsowe szorty na czarnych legginsach i zdarte kowbojki.

- Dopiero dzisiaj się dowiedziałam - jęknęła Schuyler.

- Przykro mi, nie ma pani na liście. - Dziewczyna z notatnikiem rozkoszowała się odmową.

Schuyler miała właśnie wejść do windy i wrócić do domu, kiedy zza drzwi wyjrzała Bliss.

- Bliss! - krzyknęła Schuyler. - Nie chcą mnie wpuścić. Bliss przymaszerowała. Wzięła już prysznic i przebrała się w obcisłą sukienkę Missoni w zygzaki oraz gladiatorki na wysokim obcasie. Wzięła Schuyler pod ramię i przeprowadziła przez barykadę, nie zważając na protesty dziewczetek z notatnikami. Zaprowadziła ją do głównego salonu, pełnego dzieciaków z Duchesne polujących na drinki w barze, rozwalających się na kanapach i tańczących przy oknach.

- Dzięki - westchnęła Schuyler.

- Wybacz, to wszystko Mimi. Powiedziałam jej, że rodzice wyjechali i planuję małą imprezkę, a ona zrobiła tu galę MTV

Schuyler roześmiała się. Rozejrzała się wokół - tancerze i tancerki go-go wili się w klatkach podwieszonych pod sufitem, a w tłumie rozpoznała kilka sławnych twarzy.

- Czy to nie... ? - spytała, zauważywszy energiczną nastoletnią aktoreczkę, tankującą piwo na oczach wiwatującej grupki fanów.

- Taaa - westchnęła Bliss. - Chodź, pokażę ci resztę domu. Normalnie tak nie wygląda.

- Chętnie, ale najpierw muszę coś zrobić. Bliss uniosła brwi.

-Tak?

- Muszę odnaleźć Jacka Force'a.

Musiła opowiedzieć Jackowi, co jej się przydarzyło. Praktycznie nie mieli okazji rozmawiać od czasu balu, ale uświadomiła sobie, że on jako jedyny ją zrozumie. Starła się zatrzymać tamto zdarzenie w pamięci - już się jej wyślizgiwało, już nie potrafiła przypomnieć sobie dokładnie, gdzie, dlaczego i jak to się zdarzyło — poza oczami, świeącymi czerwono w ciemności, oczami o srebrnych źrenicach. Czerwone oczy i ostre zęby.

Schuyler miała wrażenie, że penthouse Llewellynów został magicznie powiększony - gdziekolwiek poszła, widziała pokoje i pokoje wzdłuż niezliczonych korytarzy, pełne ukrytych skarbów. Znalazła nieduży basen, w pełni wyposażoną salę treningową i coś, co sprawiało wrażenie kompletnego salonu spa, a także pokój gier wypełniony staromodnymi zabawkami z automatów Zebrano tam również kilka automatów do gier hazardowych oraz takich, które każdemu przepowiadały przyszłość, wszystkie w idealnym stanie. Wrzuciła monetę i wyjęła przepowiednię.

MASZ DUSZĘ WĘDROWCA.

CZEKA CIĘ WIELE PODRÓŻY.

Żałowała, że Oliver tego nie widzi.

- Widziałeś Jacka? Jacka Force'a? - pytała każdej osoby, na którą wpadła.

W odpowiedzi słyszała, że właśnie wyszedł, był na innym piętrze, dopiero co przyszedł. Wydawało się, że jest wszędzie i nigdzie.

Wreszcie znalazła go w pustej sypialni gościnnej na najwyższym piętrze. Brzdąkał na gitarze i nucił cicho pod nosem. Na dole trwała impreza stulecia, ale Jack wołał ciszę na górze.

- Schuyler? — zapytał, nie podnosząc głowy.

- Coś się stało - powiedziała, cicho zamykając za sobą drzwi. Teraz, kiedy wreszcie go znalazła, wszystkie stłumione uczucia wydostały się na wolność. Drżała, tak przerażona, że nie zauważyła nawet, iż potrafił bez patrzenia wyczuć jej obecność. Jej oczy, szeroko rozwarte, były pełne strachu. Bez zastanowienia podbiegła i skuliła się obok niego na łóżku.

Objął ją opiekuńczo ramieniem.

- Co się stało?

- Miałam sesję zdjęciową, potem wracałam sama... i zostałam... nie pamiętam – walczyła, żeby znaleźć słowa. Znaleźć obrazy. Wtedy miała wrażenie, że wypaliły się w jej mózgu, ale teraz czuła, że musi pochwycić je, odszukać. Zaczęła zbierać strzępy wspomnień. Coś okropnego prawie się z nią wydarzyło – ale co? Jakie słowa mogły przekazać to, co się stało, i dlaczego jej pamięć zawodziła?

- Zostałam zaatakowana – zmusiła się do powiedzenia.

- Co? - Zaklął. Potrząsnął nią i mocniej przytulił. - Przez kogo? Mów.

-Nie pamiętam. Znikło, ale było... potężne, nie mogłam tego powstrzymać. Czerwone... czerwone oczy... kły... chciało mnie ukąsić... tutaj – wskazała szyję. – Czułam to, głęboko w żyłach... ale patrz, nie mam żadnych śladów. Nic nie rozumiem.

Jack zmarszczył brwi. Nadal obejmował ją ramieniem.

- Muszę ci coś powiedzieć. Ważnego. Schuyler skinęła głową.

- Coś na nas poluje. Istnieje coś, co poluje na błękitnokrwistych - wyjaśnił cicho. - Przedtem nie byłem pewien, ale teraz jestem.

- Jak to, poluje na nas? Nie powinno być na odwrót? To nas wszyscy powinni się bać.

Jack potrząsnął głową.

- Wiem, że w tym nie ma za grosz sensu.

- Komitet powiedział, że nie można nas za...

- Właśnie - przerwał jej Jack. - Zawsze mówili nam, że będziemy żyć wiecznie, że jesteśmy nieśmiertelni i niezniszczalni, że nic nie może nas zabić, nie?

Schuyler przytaknęła.

- To miałam zamiar powiedzieć.

- To prawda. Próbowałam.

- Czego?

- Rzuciłem się pod pociąg. Ciąłem się. To ja wypadłem z okna biblioteki w zeszłym roku.

Schuyler pamiętała tamtą plotkę - ktoś miał ponoć wyskoczyć z balkonu na trzecim piętrze i wylądować na dziedzińcu. Ale nie wierzyła w ani jedno słowo. Nikt nie mógł przeżyć skoku z wysokości piętnastu metrów, nie mówiąc o utrzymaniu się na nogach.

- Dlaczego?

- Żeby sprawdzić, czy mówili prawdę.

- Ale mogłeś zginąć!

- Nie mogłem. Tu przynajmniej Komitet nie kłamał.

- Tamtego wieczoru... tamtego wieczoru przed Block 122... naprawdę potrafiła cię taksówka.

Skinął głową.

- Ale nie zraniła mnie.

- Nie - zgodziła się Schuyler. Więc rzeczywiście widziała, jak Jack wpada pod koła taksówki. Powinien był zginąć. A potem pojawił się na chodniku, cały i zdrowy. Myślała wtedy, że jest zmęczona, że wzrok płata jej figle. Ale to się wydarzyło naprawdę. Widziała.

-Schuyler, posłuchaj. Nic nie może nas zranić... oprócz... -Oprócz...?

- Nie wiem - zacisnął pięści z frustracji. - Ale jest coś takiego. Komitet nie powiedział nam o wszystkim.

Jack wyjaśnił, że przed pierwszym zebraniem starsi członkowie Komitetu postanowili nie mówić niedojrzałym o niebezpieczeństwie. Uznali, że zamiast ostrzegać wszystkich, lepiej zachować tajemnicę. Wystarczy, że błękitnokrwisci mieli dowiedzieć się o swoim pochodzeniu, nie było powodów, by wszczynać alarm, który mógł okazać się fałszywy. Tylko on nie wierzył im do końca. Wiedział, że coś ukrywają.

-Czegoś nam nie mówią. Myślę, że coś podobnego mogło się już kiedyś wydarzyć. Jakoś wiąże się z Plymouth, z tym, jak po raz pierwszy tam dotarliśmy. Próbowałem cofnąć się w przeszłość, ale nie mogę, mam blokadę. Przypominam sobie tylko jedno słowo. Wiadomość przybitą do drzewa, na pustym polu. Tylko jedno słowo: Croatan.

- Co to takiego? - Croatan. Schuyler wzdrygnęła się, jakby odrzucał ją sam dźwięk tego wyrazu.

- Nie mam pojęcia - potrząsnął głową Jack. - Nawet pomysłu, od czego zacząć. To może być cokolwiek. Na przykład nazwa miejsca, nie jestem pewien. Ale wydaje mi się, że może mieć coś wspólnego z tym, czego nam nie mówią. Z czymś co potrafi zabijać błękitnokrwistych.

- Ale skąd wiesz? Dlaczego? - spytała, zaniepokojona.

- Już ci mówiłem, Aggie Carondolet została zamordowana - powiedział, patrząc głęboko w jej ciemnoniebieskie oczy

Schuyler zamilkła na chwilę. -I?

- Aggie była wampirem. Schuyler gwałtownie wciągnęła powietrze. Jasne! Dlatego czuła taki smutek na pogrzebie. W jakiś sposób wiedziała, że Aggie była jedną z nich.

- Ona nigdy nie wróci. Odeszła. Jej krew - cała krew- J stała wyciągnięta z jej ciała. Jej pamięć, jej poprzednie życia, jej dusza - zniknęły. Wyssane tak, jak my wysysamy czerwonokrwistych - rzekł gorzko. - Zgaszone. Zabrane.

Schuyler patrzyła na niego z przerażeniem. To nie mogła być prawda.

- Ona nie była pierwsza. Coś takiego zdarzyło się już wcześniej.

Dziennik Catherine Carver

25 grudnia 1620 r.

Plymouth, Massachusetts

Ogarnęła nas panika. Połowa jest zdecydowana uciekać, znaleźć bezpieczniejsze miejsce. Może trzeba płynąć jeszcze dalej na południe. Rada zbiera się dzisiaj, aby zdecydować o naszej przyszłości. John żywi pewność, że jeden z nich ukrywa się tutaj, między nami, że jedno z nas uległo ich mocy. Jest zdecydowany przekonać Starszych. Twierdzi, że William White stanie po jego stronie. Ale Myles Standish jest zdania, że powinniśmy zostać. Uważa, że nawet jeśli kolonia Roanoke zniknęła, nie mamy dowodów, iż zniszczył ich właśnie Croatan. mówi, że to historyczne zwidy albo też ktoś celowo zwodzi nas na manowce. Nie zamierza wierzyć w pozostawiony na drzewie napis. Rada jest zawsze zgodna, nie zdarzyło się nigdy, aby nie zdolali osiągnąć porozumienia. Nie leży w naszym zwyczaju wątpić. Odkąd pamiętam, Myles Standish dobrze nam przewodził. Z kolei John jest pewien, że znajdujemy się w niebezpieczeństwie. Zostać czy uciekać? Ale dokąd mielibyśmy pójść?

-C.C.

Powariowali z tym suchym lodem? To wyglądało jak kiepski magiczny show. Bliss przegoniła kilkoro pierwszoklasistów, sięgających po więcej niż jedną torbę z prezentami na stole przy wyjściu, i okrążyła pokój. Czuła narastającą panikę. Nie mogła nigdzie znaleźć Dylana. Jedyne go faceta, którego chciała tu zobaczyć, nie było.

Kłapnęła na skórzaną sofę i spojrzała w korytarz prowadzący do pokoiów do masażu. Dwie osoby obściskowały się za lodową rzeźbą. Wyższa sylwetka wyglądała znajomo - znoszone i wytarte skórzane rękawy, postrzępiony biały jedwabny szalik... to musiał być... - Dylan? - zapytała Bliss.

Mimi obejrzała się. Szlag. Powinna była zabrać go do łazienki czy w inne ustronne miejsce. Szybko schowała kły i uśmiechnęła się olśniewająco. - Bliss, słońce. Nie mogłam cię nigdzie znaleźć - powiedziała.

Dylan odwrócił się. Miał szklany, nieprzytomny wzrok,

- Co tu robiliście? — zapytała Bliss.

- Nic — wzruszyła ramionami Mimi. - Gadaliśmy.

Bliss wyciągnęła Dylana z ciemnego kąta. Sprawdzała jego szyję, ale nie było na niej żadnych śladów. Dobrze. Spojrzała ze złością na Mimi i zabrała go stamtąd.

- Coś ty z nią robił? — zażądała odpowiedzi. Dylan wzdrygnął się. Najwidoczniej nie zdawał sobie sprawy, że był z Mimi Force. Był oszołomiony, jakby znajdował się pod wpływem zaklęcia. Zamrugał i spojrzał na Bliss.

- Gdzie byłaś? — zapytał nagle, już swoim normalnym głosem.

- Szukałam cię - odpowiedziała. Uśmiechnął się.

- Chodź, pokażę ci mój pokój - zaproponowała Bliss.

Dylan wyglądał dziwnie w zaciszu jej sypialni. Tak jakby był za bardzo męski, zbyt brudny... zbyt prawdziwy. Uśmiechnął się na widok białego łóżka z baldachimem, przykrytego kwiecistą puchatą kołdrą, bladozielonego dywanika, różowej tapety, wiklinowej garderoby, czteropiętrowego domku dla lalek i lampek okalających lustro nad toaletką.

- Dobra, wiem. Jest trochę dziewczyński - przyznała.

- Trochę? - zakpił.

- To nie ja. To moja macocha. Zdaje jej się, że mam wciąż dwanaście lat. Dylan wyszczerzył się. Cicho zamknął drzwi i przygasił światła. Bliss nagle poczuła zdenerwowanie.

- Wybacz na moment - powiedziała, wyslizgując się do łazienki, żeby złapać oddech.

To miał być jej pierwszy raz i trochę się bała. Zamierzała zrobić to - *caerimonia osculor* - i przywiązać go do siebie przez krew. Zamierzała obdarzyć go świętym pocałunkiem, ale on jeszcze o tym nie wiedział. Najwyraźniej należało po prostu zacząć to robić, a oni - ludzie - mieli się wic w ekstazie i miało być naprawdę gorąco i mokro, a... a potem będzie czuła się lepiej niż kiedykolwiek.

Kiedy wyszła, Dylan leżał już na łóżku, opierając się na pucha-tych poduszkach. Był szczupły i seksowny, w podartym T-shircie Ben Folds. Zrzucił trampki i poklepał puste miejsce obok siebie.

Zauważyła, że na wieszaku wisi jego szalik i skórzana kurtka, i to podsunęło jej pewien pomysł. Wsunęła mu do kieszeni zapasowe klucze.

- Co robisz? - zapytał Dylan.

- Nic... daję ci coś, dzięki czemu może być nam łatwiej się widywać - powiedziała nieśmiało Bliss.

- Teraz chcę cię widzieć tutaj.

- Zimno mi - powiedziała, wślizgując się pod przykrycie. Sekundę później Dylan odsunął je i ułożył się obok niej. Przez chwilę leżeli, słuchając dudnienia gangsta rapu, dobiegającego z drugiego piętra.

-Naprawdę jesteś zmarznięta - zdziwił się.

- Za to ty masz ciepłą skórę - odparła. Otoczył ją ramionami. Zaczęli się całować - Bliss była wdzięczna, że tym razem jej nie zamroczyło. Czowała jego rękę wsuwającą się pod sukienkę, sięgającą do stanika. Uśmiechnęła się, myśląc, że wszyscy chłopcy są podobni. Dostanie, czego chce, ale dopiero gdy ona dostanie to, czego chce.

Zamknęła oczy, czując, jak ciepłe ręce odpinają haftki stanika. Ściągnął jej sukienkę przez głowę. Podniosła się lekko żeby mu to ułatwić, a potem leżała przed nim, tylko w majteczkach.

Otworzyła oczy i zobaczyła, że pochyla się nad nią. Przyciągnęła go do siebie.

Skrzyżował ramiona, ściągając koszulkę. Był tak szczupły, że mogła policzyć mu żebra. Oboje oddychali szybko, i w następnej chwili leżał na niej, przyciskając ją swoim ciężarem.

Pogładziła jego szyję i poczuła wypukłość w dzinsach, uciskającą jej biodra. Przeturlała się przez niego, siadając mu na piersiach. Przytulił ją, jego dłonie gładziły jej plecy, wsuwały się pod bieliznę. Zaczęła całować jego usta i podbródek, stopniowo prze-suwając się niżej.

Poczuła, że jej kły się wysuwają... zamierzała to zrobić.,, teraz! Niemal czuła zapach gęstej, pożywnej krwi-otworzyła usta i nieoczekiwanie pokój zalało światło.

- Co do cholery? - Dylan wysunął głowę spod kołdry.

Dwie chichoczące drugoklasistki stały w korytarzu, patrząc na nich.

Bliss spojrzała na nie, nadal z wysuniętymi kłami. Dziewczęta przy drzwiach wrzasnęły. Bliss szybko schowała kły. Szlag. Komitet ostrzegął-

nie można dopuścić, żeby czerwonokrwieńcy zobaczyli ich prawdziwe oblicze. poznali ich prawdziwą naturę. To były tylko dzieciaki. Może pomyśla, że im się zdawało.

Usłyszała łoskot za sobą. Dylan spadł z łóżka i przetoczył się po podłodze.

Nie wysuwając się spod kołdry, Bliss obejrzała się, żeby zobaczyć co go spłoszyło. W korytarzu stał jej ojciec. Skąd się tu wziął? Jak mógł wrócić tak wcześnie do domu? Bliss rzuciła się wkładać sukienkę.

- Co tu się dzieje?! - senator rozejrzał się bacznie. - Bliss, wszystko w porządku? I kto to jest?

Dylan skakał po pokoju, zapinając dżinsy i wciągając T-shirt.

Złapał skórzaną kurtkę i wepchnął stopy w trampki.

- Yyyy, miło pana poznać.

-Co to ma znaczyć? - zażądał wyjaśnień Forsyth Llewellyn. -Bliss, kim jest ten chłopak?

Bliss poczuła ucisk w dołku, słysząc szybkie kroki Dylana, zbiegającego po schodach. Teraz nigdy nie będzie do niej należał. - Młoda damo, może raczysz mi to wyjaśnić? Co tu się właściwie dzieje? I gdzie są wszystkie meble?

DWADZIEŚCIA OSIEM

Schuyler była pewna, że Jack mówił prawdę. Opowie dział jej, jak znaleźli Aggie, całkowicie pozbawioną krwi. Wyglądała jak czerwonokrwisty po pełnym wysuszeniu, Było jasne, że tak jak oni żywili się ludźmi, coś żywiło się z kolei nimi. Jack twierdził, że w przeciwieństwie do błękitnokrwistych - nikt od wieków nie umarł z

powodu wyssania krwi - to, co polowało na nich, nie zachowywało się honorowo.

A potem wspomniał o jakiejś dziewczynie, która zmarła latem w Connecticut. Także błękitnokrwistej. Chodziła do drugiej klasy w Hotchkiss; znaleziono ją w takim samym stanie jak Aggie. I jeszcze szesnastoletni chłopak z liceum Choate, który zginął tuż przed rozpoczęciem roku szkolnego. On także należał do Komitetu i także z jego ciała wyciągnięto całą krew. Śmierć Aggie była tylko najnowszym przypadkiem z listy.

Jack był pewien, że Starsi coś przed nimi ukrywają i zamierzał dowiedzieć się, co.

- Dlaczego mam wrażenie, że już to widziałem, że już to przeżyłem? Ale coś blokuje moje wspomnienia, zupełnie jakby ktoś je w jakiś sposób cenzurował. Musimy się dowiedzieć

co się z nami dzieje. I dlaczego wszystkie ofiary były w naszym wieku. Zgadzasz się? - zapytał.

Schuyler skinęła głową.

— Musimy się dowiedzieć, jak przeciwdziałać, dla dobra nas wszystkich. Nie możemy żyć w nieświadomości. Starsi uważają, że to coś po prostu odejdzie, ale co, jeśli się mylą? Chcę być przygotowany na wszystko, co nastąpi.

Biła z niego taka żarliwość i gniew, że Schuyler nie mogła się powstrzymać - dotknęła dłonią jego policzka. Przyjrzał się jej uważnie.

- To będzie niebezpieczne. Nie chcę cię wciągać w coś, czego możesz żałować.

- Nieważne -oznajmiła Schuyler. - Zgadzam się tobą. mu-simy się dowiedzieć, co to jest. I dlaczego na nas poluje.

Przyciągnął ją bliżej, słyszała bicie jego serca. To zdumiewające, jak spokojna i skoncentrowana się czuła - zupełnie jakby trafiła do jedyne miejsce na świecie, które do niej należało.

Pochylił się, delikatnie musnął nosem jej nos, a ona pochyliła głowę, czekając na pocałunek.

Kiedy ich usta się spotkały, a języki dotknęły, poczuła, jakby całowali się wcześniej w setkach różnych miejsc, a jej zmysły napętniły nowe doznania i stare wspomnienia. Całował ją, a ich dusze stapiały się w jedno w takt melodii starszej od czasu.

- Cóż za śliczna scena.

Schuyler i Jack odskoczyli od siebie.

Przed nimi stała Mimi Force, powoli bijąc brawo. - To nie było potrzebne - odezwał się zimno Jack. Schuyler zarumieniła się. Dlaczego, na litość boską, siostra Jacka gapiała się na nią w taki sposób, jakby... jakby była o nich zazdrosna! Czy mogła być aż tak pokręcona? A może Schuyler o czymś nie wiedziała? Mimi była przecież siostrą Jacka!

- Llewellynowie wrócili i są nieźle wkurzeni. Przyszłam was ostrzec, musimy spadać.

Jack i Schuyler skierowali się za Mimi do tylnych schodów, którymi wychodziło już stado dzieciaków z imprezy, niosąc torby z prezentami i rozprawiając z ożywieniem.

-Cholera, zapomniałam swojej - zaklęła Mimi. - A kończy mi się mleczko - narzekła, kiedy wychodzili do holu. Portier wyglądał na trochę przerażonego spotkaniem z bandą nastolatków. Niektórzy trzymali nadal butelki piwa i pełne kieliszki. Gapił się na nich z otwartymi ustami.

Wszyscy szybko gdzieś zniknęli, a Mimi pobiegła na ulicę, gdzie czekał ich samochód,

- Idziesz, Jack? - obejrzała się niecierpliwie.

-Zbierasz się? - zapytała Schuyler. -Na razie. Potem wyjaśnię, dobra? -
Ścisnął jej rękę. Schuyler potrząsnęła głową. Nie. Dlaczego musiał
odchodzić? Chciała, żeby został z nią, a nie odjeżdżał nie wiadomo
dokąd bez niej. Wargi wciąż bolały ją od siły jego pocałunków, policzki
miała zaczerwienione od jego zarostu.

- Daj spokój. Pamiętaj, co ci mówiłem. Uważaj na siebie. Nie chodź
nigdzie bez Beauty.

Skinęła bez słowa głową i zamierzała odejść. Ale wtedy, jakby nagle
zmieniła zdanie, wyciągnęła rękę, chwytając

-Jack?

-Tak?

- Ja...- głos jej się załamał. Wiedziała, co chce mu powiedzieć ale nie
potrafiła wydobyć z siebie tych słów.

Okazało się, że nie musiała. Jack położył rękę na sercu i skinął głową.

- Ja czuję to samo.

A potem odwrócił się i zniknął w czarnym lincolnie, w którym czekała
jego bliźniaczka.

DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ

Schuyler patrzyła za odjeżdżającym samochodem, a w jej głowie kłębiły
się sprzeczne myśli i uczucia. Aggie była wampirem - i nie żyła. To
znaczyło, że ona, Schuyler, także mogła umrzeć. Niewiele brakowało, a
zginęłaby tamtego dnia, gdyby nie pojawiła się Beauty. Samochód
zniknął za rogiem. Jack ją opuścił. Kiedy odchodził, nagle pomyślała, że
odchodzi od niej na zawsze. Już zawsze będzie sama.

- W czymś pani pomóc? - zapytał poirytowany portier. Schuyler rozejrzała się. Była jedyną osobą pozostałą w marmurowym holu domu Llewellynów.

- Tak, jeśli można - odpowiedziała gładko. - Czy mógłby mi pan zamówić taksówkę?

Odźwierny przy wejściu niebawem dał znać, że samochód czeka.

- Róg Houston i Essex, poproszę - powiedziała do kierowcy. Jechała w jedyne miejsce, gdzie mogła znaleźć bezpieczną przystań.

Kolejka przed The Bank była tak samo długa jak zawsze, ale tym razem Schuyler pomaszerowała prosto do odgradzającej drzwi liny.

- Przepraszam - powiedziała do drag queen. - Naprawdę muszę natychmiast dostać się do środka. Podróbka Cher wyduła usta.

- A ja naprawdę muszę odessać sobie dusza. Tyle że nikt nie dostaje, czego chce. Wracaj na koniec i czekaj jak wszyscy,

- Nie rozumiesz. Powiedziałam: WPUŚĆ MNIE NATYCH MIAST! – Słowa rozbrzmiały w jej umyśle jeszcze głośniejsze, niż kiedy ostatnio tego próbowała.

Drag queen zatoczył się do tyłu, przytrzymując głowę, jakby za inkasował cios. Skinął do oprychów przy drzwiach, którzy podnieśli linę.

Schuyler wkroczyła do środka, siłą woli odsuwając biletera i sprawdzającego dokumenty, którzy cofnęli się pod ściany jak odrzucone kamienie domina.

Wewnątrz klubu było kompletnie ciemno i Schuyler ledwie widziała sylwetki imprezowiczów kołyszących się, nucących i tańczących w rytm odurzającej muzyki. Dźwięk był tak głośny, że czuła go wszystkimi porami ciała. Kierując się raczej dotykiem niż wzrokiem, metodycznie przedzierała się przez tłum tancerzy. Wreszcie znalazła schody, prowadzące do sali na górnym piętrze.

- Trawa, spid, koka - usłyszała syk diler, przycupniętego na trzecim stopniu. - Załatwić laluni podróż do gwiazd?

Schuyler potrząsnęła głową i minęła go pospiesznie. Znalazła Olivera na drugim piętrze, przy oknie, siedzącego po turecku i podziwiającego widok na zewnątrz. Wyglądał jednocześnie wyniośle i całkowicie nieszczęśliwie. Ona czuła się tak samo. Nie uświadamiała sobie, jak bardzo jejgo brakowało, dopóki nie zobaczyła znajomej twarzy i brązowych oczu, ukrytych pod długą grzywką.

- No proszę. Czemu zawdzięczam ten zaszczyt? - zapytał, kiedy zauważył, że stoi przed nim. Odgarnął włosy i spojrzał na nią nieprzyjaźnie. - Muszę ci coś powiedzieć – wyznała. Oliver splótł ramiona.

- Co takiego? Nie widzisz, że jestem zajęty? - warknął, wskazując na otaczającą go pustkę. - W każdym razie byłem zajęty -mruknął. - Przed sekundą były tu stada ludzi. Nie wiem, jak mogłaś ich przegapić.

- Tylko dlatego... - zaprotestowała. Tylko dlatego, że zostawiłam cię samego na imprezie i poszłam tańczyć z innym facetem - zamierzała powiedzieć, ale w porę ugryzła się w język. Naprawdę zostawiła Olivera samego, a wedle wszelkich znaków i ustaleń miał być jej partnerem na balu jesiennym. Był jej najlepszym przyjacielem, spędzała z nim cały czas, i wtedy powinni stanowić parę. Nie w sensie romantycznym, ale w sensie „skoro jesteśmy na tej głównianej imprezie razem, to chociaż bawmy się dobrze”. To, co zrobiła, było wyjątkowo podłe. Jak by się czuła, gdyby Oliver postąpił tak wobec niej? Gdyby zostawił ją samą, bez nikogo, z kim mogłaby pogadać, i poszedł tańczyć z Mimi Force? Prawdopodobnie boczyłaby się na niego tak jak teraz on na nią. Albo znacznie bardziej.

- Ollie, przepraszam za tę sobotę - powiedziała w końcu

- Co takiego?

- Przepraszam. Mówię, że przepraszam, dobra? Nie pomyślałam.

Popatrzył w sufit, jakby zwracając się do niewidocznego obserwatora.

- Schuyler Van Alen przyznaje, że nie ma racji. Nie wierze. - Ale jego brązowe oczy błyszcząły i wiedziała, że znowu są przyjaciółmi.

Tylko tyle wystarczyło powiedzieć. Przepraszam.

Niezależnie od tego, jak często nadużywane i źle używane, przepraszam było potężnym słowem. Wystarczająco potężnym, żeby przyjaciel znowu z nią rozmawiał.

- Więc już w porządku? Oliver roześmiał się.

- No, chyba tak.

Schuyler uśmiechnęła się. Usiadła obok niego na parapecie. Był jej najlepszym przyjacielem, powiernikiem, bratnią duszą, a ona przez ostatni tydzień ignorowała go i zaniedbywała, trzymając na dystans, ponieważ zbyt się bała wyznać mu prawdę.

- Muszę ci coś o sobie powiedzieć. - Wzięła jego dłoń w swoje. - Ja... Ja jestem...

Wyraz twarzy Olivera zmiękł.

- Wiem już.

-Co takiego?! - zdziwiła się. -Schuyler. Pozwól, że coś ci pokażę.

Wciąż trzymając ją za rękę podążył na dół, poprowadził obok łazienek w suterenie, aż do zakrętu, za którym natrafili na dziwną pustą ścianę. Wymruczał kilka słów, wtedy tuż przed nimi rozjarzył się zarys drzwi.

Oliver pchnął je łagodnie, a mur przesunął się, odsłaniając strome, wąskie schody, prowadzące na jeszcze niższe poziomy budynku.

- Co to? - zapytała Schuyler, kiedy weszli w przejście. Ściana zamknęła się za nimi, zostali sami w ciemnościach.

Oliver wyjął cienką latarkę z kieszonki koszuli. -Chodź za mną.

Schodzili po spiralnie opadających schodach chyba dobry kilometr.

Kiedy wreszcie znaleźli się na dole, Schuyler z trudem łapała oddech.

Przed nimi wznosiły się kolejne, doprawdy imponujące drzwi, zrobione ze złota, hebanu i platyny. INGREDIOR PERCIPIO ANIMUS, głosiła biegnąca wokół inskrypcja, PRZENIKNAĆ UMYSŁEM DUSZĘ.

Oliver wyciągnął z portfela złoty klucz i przekręcił go w zamku.

- Gdzie jesteśmy? O co tu chodzi? - dopytywała się Schuyler, przekraczając niepewnie próg.

Znalazła się w bibliotece ~ dużej i przestronnej, pachnącej kredowym pyłem i pergaminami. Półki z książkami pięły się aż do sufitu, o jakieś dobre dwadzieścia metrów wyżej, a wszystkie regały łączył labirynt drabin i podestów. Przestronne po-mieszczenie wyposażono w liczne lampy, a przytulną atmosferę podkreślały wspaniałe dywany Aubusson. Kiedy weszli, kilku badaczy siedzących przy biurkach spojrzało ku nim z ciekawością. Oliver skinął im głową i poprowadził Schuyler do prywatnego stanowiska.

— To jest Repozytorium Historyczne. Strzeżemy go.

— Jacy my?

Oliver położył palec na ustach. Przeszli do małego nieporządnego biurka na tyłach sali. Znajdował się tam lśniący iBook, kilka oprawionych fotografii i tuziny przyklejonych karteczek. Oliver przeszukał półkę nad biurkiem i triumfalnie wyciągnął książkę, rozsypującą się i brudną od wieloletniego używania. Ostrożnie dmuchnął na okładkę, a potem otworzył na początku i pokazał Schuyler. Wskazał jej kruszącą się

stronicę, na której przedstawiono drzewo genealogiczne. Na środku znajdowało się nazwisko Van Alen, a pod spodem, mniejszym drukiem, Hazard-Perry.

– Co to jest?

- W ten sposób jesteśmy spokrewnieni - wyjaśnił Oliver. – Znaczący, powiązani. Nie jesteśmy rodziną, nie martw się.

– Nie rozumiem – przyznała, nadal próbując ogarnąć fakt, że pod nocnym klubem znajduje się ukryta biblioteka.

- Moja rodzina służy twojej od wieków.

- Czekaj, możesz powtórzyć jeszcze raz?

- Jestem zausznikiem. Jak wszyscy w mojej rodzinie. Od zawsze troszczyliśmy się o błękitnokrwistych. Pracujemy jako lekarze, prawnicy, księgowi, finansiści. Służymy w ten sposób Van Alenom, od osiemnastego wieku. Znasz doktor Pat? To moja ciotka.

-Jak to „służycie”? Przecież twoja rodzina jest o wiele bogatsza od mojej

- wytknęła Schuyler.

-Zrządzenie losu. Chcieliśmy to wyrównać, ale twoja babka nie chciała nawet słyszeć. Mówiła, że „czasy się zmieniły”.

- Ale co to w ogóle jest zausznik?

- To znaczy, że służymy innym celom. Nie wszyscy ludzie są familiantami.

- Wiesz o tym? - zapytała. Spojrzała znowu w książkę, rozpoznając imiona przodków ze strony matki, -wystarczająco dużo.

- Dlaczego nic nie mówiłeś? -Nie mogłem.

-Ale dlaczego ty wiesz, kim jesteś, a ja nie wiedziałam, kim jestem?

- Pojęcia nie mam. Tak było od zawsze. Bycie zausznikiem to coś, co się dziedziczy, czego się trzeba nauczyć, a łatwiej się uczyć od małości. Naszym celem jest utrzymanie istnienia błękitnokrwistych w tajemnicy, chronienie ich i wspieranie w rzeczywistym świecie. To bardzo dawna

praktyka, obecnie niewiele wampirzych rodów ma swoich zauszników. Większość się ich pozbyła, tak jak Force'owie. To stara tradycja, a niektórzy błękitnokrwisci nie chcą żyć po staremu. Ja jestem jednym z ostatnich zauszników w Nowym Jorku.

-Czemu?

- Kto wie? - wzruszył ramionami Oliver. Większość błękitnokrwistych tak czy inaczej potrafi sama o siebie zadbać. Nie potrzebują nas już i nie ufają czerwonomkrwistym, wolą sami ich kontrolować.

Przy innym biurku niespodziewanie coś się zaczęło dziać. Zauważyli skulonego, garbatego bibliotekarza, strofowanego przez zirytowaną kobietę z łatwo rozpoznawalnym blond kokiem.

- Co się dzieje?

- Andersowi znowu się dostaje. Pani Dupont nie podoba się sposób, w jaki prowadzi badania.

Schuyler rozpoznała elegancką sylwetkę przewodniczącej Komitetu.

- A Anders jest...?

- Bibliotekarzem. Wszyscy tutejsi pracownicy są czerwonomkrwistymi. Zausznikami, którzy nie pracują już dla żadnej rodziny.

Schuyler zauważyła, że błękitnokrwisci w bibliotece komenderują bibliotekarzami w apodyktyczny sposób i przez chwilę poczuła wstyd, że jest wampirem. Gdzie się podziało dobre wychowanie?

- Dlaczego oni są tacy... tacy niemili?

- Twoja rodzina nigdy tak nie postępowała - powiedział Oliver, czerwieniejąc. - Ale jak mówiłem, większość błękitno-krwistych nas nie znosi. Uważają, że w ogóle nie powinniśmy tu być ani wiedzieć o ich istnieniu. Ale nikt spośród nich nie chce przejąć Repozytorium. Nikt nie jest zainteresowany pilnowaniem jakichś starych książek.

- Co ona tu w ogóle robi? – zainteresowała się Schuyler, patrząc jak pani Dupom przegląda jakieś papiery przyniesione przez zausznika.

- To kwatera główna Rady Starszych. Wiesz, Strażników. Spotykają się w sali konferencyjnej na zapleczu.

-Od jak dawna wiedziałeś? Znaczy, o mnie? -Schuyler spojrzała na biurko, na zdjęcie przedstawiające ich oboje, zrobione zeszłego lata w Nantucket. Oliver, z twarzą czerwoną od słońca, mrużył oczy. Miał ciemną, karmelową opaleniznę, a jego włosy pojaśniały do złotobrazowych. Natomiast Schuyler prezentowała się blado i nieszczęśliwie pod słonecznym kapeluszem z wielkim opadającym rondem, i z białym śladem emulsji do opalania na nosie. Wyglądali wtedy tak dziecinnie, choć przecież minęło raptem kilka miesięcy. Ostatniego lata byli po prostu dziećmi tylko dziećmi, wzdrygającymi się na myśl o powrocie do liceum. Spędzali dwa tygodnie, żeglując i paląc ogniska na plaży. Schuyler miała wrażenie, że to wszystko działo się w zeszłym życiu.

- Wiem, odkąd się urodziłem. Zostałem do ciebie przydzielony - stwierdził po prostu.

- Przydzielony do mnie?!

- O ile dobrze rozumiem, każdemu potomkowi wampirzego rodu przy urodzeniu zostaje przydzielony zausznik. Jestem młodszy od ciebie młodszy o dwa miesiące. Można powiedzieć, że to z twojego powodu przyszedłem na świat. Staralem się do ciebie zbliżyć, pamiętasz?

Schuyler pogrzebała w pamięci. Teraz przypominała sobie, że Oliver stale wykonywał przyjazne gesty, choć początkowo wcale nie miała ochoty z nikim się przyjaźnić. Zawsze siedział koło niej w szkole albo męczył pytaniami, aż wreszcie, w drugiej klasie podzielili się smętną kanapką z sałatą i zostali przyjaciółmi.

— A co właściwie miałeś robić?

– Pomagać ci. Popychać cię we właściwym kierunku, wskazywać, w jaki sposób możesz wykorzystywać własne moce, żebyś umiała je w sobie odkryć. Pamiętasz tamten wieczór w The Bank, kiedy powtarzałem ci, żebyś myślała pozytywnie, i w efekcie weszliśmy do środka?

Skinęła głową. Podejrzewała coś w tym stylu, a teraz powiedziała mu, jak dzisiaj minęła drag queen przy wejściu. Parsknął śmiechem.

– Cudne! Szkoda, że mnie tam nie było. Uśmiechnęła się kwaśno.

– No cóż, mówili nam na zebraniu Komitetu, że jesteśmy zdolni do kontroli umysłów.

– Ale tylko nieliczne wampiry to potrafią - przypomniał.

-I tak nie łapię. Skoro Repozytorium jest na dole - dlaczego tak się martwiłeś, że nie wpuszczą nas do The Bank? Przecież tu musi być inne wejście?

Oliver skinął głową.

-Jest, przez Block 122. Dlatego dobrze mieć tam kartę członkowską, pozwala ona wejść tylko błękitnokrwistym i ich gościom. Mogłem wykorzystać tamtą drogę, jako jeden z nielicznych mam klucz, mimo że jestem pospolitym czerwonomkrwistym. Ale nie cierpię tego klubu.

Skinęła głową, zachęcając, by mówił dalej.

- The Bank to fasada. Długo stał pusty, ale kilkoro sąsiadów i bezdomnych zaczęło opowiadać, że widzą ludzi, którzy wchodzą do środka i nie wychodzą, więc żeby rozwiać podejrzenia twoi uznali, że wynajmą komukolwiek górę. Pierwszy pojawił się ten gość od klubu, a pomysł spodobał im się na tyle, że postanowili otworzyć drugi klub obok – ale już prywatny, rzecz jasna.

Schuyler przyswajała informacje. Prywatny klub i Komitet, to z pewnością pasowało do wszystkiego, czego do tej pory dowiedziała się o błękitnokrwistych. Lubili trzymać się w swoim gronie.

Nadal jednak dręczyło ją wyznanie Olivera i jego wytłumaczenie ich przyjaźni. Nie mogła nie pamiętać, jak Oliver zawsze pożyczał jej pieniądze, a ona nigdy nie miała z czego mu oddać. Nie przejmował się tym ani nie prosił o zwrot- Czy w ten sposób wypełniał swoje obowiązki? Gdzie kończył się zausznik, a zaczynał przyjaciel?

- Czyli tak naprawdę nie jesteś moim przyjacielem, tylko jakąś niańką?

Oliver roześmiał się i przeczesał palcami gęste włosy.

- Możesz mnie nazywać, jak chcesz. Ale tak łatwo się mnie nie pozbędziesz.

-To dlaczego się na mnie wściekłeś, kiedy powiedziałam ci o Komitecie? Westchnął bezradnie.

- Nie wiem, chyba do jakiegoś stopnia nie chciałem, żeby to była prawda, nawet jeśli wiedziałem, jak jest. To znaczy, wiedziałem, że kiedyś tak się stanie, ale chciałem, żeby wszystko zostało po staremu, łapiesz? A nie zostanie. Ja jestem czerwonokrwisty. Ty jesteś nieśmiertelna. Nagle mnie to trafiło, jestem tylko człowiekiem - uśmiechnął się z własnego żartu.

- I nie masz racji. Najwyraźniej nie jestem taka bardzo nieśmiertelna - mruknęła Schuyler.

- Nie rozumiem?

- Jack mi powiedział, że coś zabija wampiry.

- To niemożliwe - potrząsnął głową Oliver. - Wiedziałem, ten gość jest porąbany - skrzywił się w uśmiechu.

- Nie jest. Aggie była wampirem i już nie wróci Odeszła. Jest martwa. Naprawdę martwa tym razem. Jej krew zniknęła.

- O Boże - westchnął Oliver, z nagle poszarzałą twarzą - Nie wiedziałem. Dlatego mówiłem ci na jej pogrzebie, że nie jestem w żałobie. Myślałem, że nie ma o co robić tyle hałasu, ona przecież wróci

- Ona nigdy nie wróci. I nie ona jedna, ofiar było więcej, inne dzieciaki też zginęły. Błękitnokrwisci Nie powinniśmy umierać, a jednak umieramy.
 - Więc co Jack zamierza z tym zrobić? Co wie?
 - Chce się dowiedzieć, co na nas poluje. - Opowiedziała mu o wspomnieniach Jacka dotyczących Plymouth. O wiadomości przybitej do samotnego drzewa. Croatanie.
 - Ma jakiś plan? - spytał Oliver
 - Nie wiem, ale chyba możemy mu pomóc. -Jak?
- Schuyler rozejrzała się po starej sali.
- Ta biblioteka zawiera całą historię błękitnokrwistych, tak. Może tutaj znajdziemy jakieś wytłumaczenie.

TRZYDZIEŚCI

Wtargnęli do sanktuarium. Odkąd Mimi pamiętała, ojciec po pracy krył się w wypełnionym książkami gabinecie i wychodził stamtąd tylko na obiad. Za zamkniętymi na klucz drzwiami znajdowało się szczególne miejsce, do którego dzieci nie miały wstępu. Mimi przypominała sobie, jak skrobała w te drzwi, kiedy była mała, pragnąc jego uwagi i miłości, ale zamiast tego niania zabierała ją stamtąd, strofując i strasząc. „Zostaw ojca w spokoju, jest bardzo, bardzo zajęty, nie ma dla ciebie czasu”.

Podobnie było z matką – odległa jak satelita, zawsze na wakacjach w jakimś miejscu, gdzie nie pozwalano przywozić dzieci. Mieli samotne, ciche dzieciństwo, ale oboje z Jackiem potrafili sobie z tym radzić. Żyli w

swoim świecie, a jedno polegało na drugim do tego stopnia, że Mimi chwilami zapomniała, iż stanowią oddzielne byty. Dlatego właśnie to, co zamierzała zrobić, było konieczne. Jack musiał poznać prawdę.

Przemaszerowała przez wielki marmurowy korytarz, kierując się prosto do gabinetu ojca. Machnięciem tręki zdeintegrowała zamek i sprawiła, że skrzydła zamkniętych drzwi z hukiem otworzyły się na oścież.

Charles Force siedział przy biurku, piastując kryształowy puchar pełen ciemnoczerwonego płynu.

– Imponujące - pogratulował córce. - Nauka tego zajęła mi lata.

– Dziękuję - uśmiechnęła się Mimi.

Jack wszedł za nią niedbałym krokiem, z rękami w kieszeniach. Popatrzył na siostrę z nowo nabytym szacunkiem.

– Ojczy, powiedz mi! - zażądała Mimi, podchodząc do biurka

- Co ma mi powiedzieć? - zainteresował się Jack. Charles Force pociągnął łyk z pucharu i zmrużonymi oczami

popatrzył na swoje dzieci. Tak zwane swoje dzieci. Madeleine Force i Benjamin Force. Dwójka najpotężniejszych spośród błękitnokrwistych. Byli w Rzymie w czasie tamtego kryzysu, zakładali kolonię w Plymouth, kładąc podwaliny pod nowy świat. To on wzywał ich znowu i znowu, kiedy byli potrzebni.

- O tym kundlu, Van Alen. Powiedz mi - zażądała ponownie Mimi.

- Chodzi o Schuyler? Co ty wiesz? - spytał Jack.

– Więcej niż ty, braciszku - odparła Mimi. Zajęła miejsce w jednym ze skórzanych foteli naprzeciwko biurka ojca. Spojrzała na brata, jej zielone oczy lśniły tak samo jak jego.

- W odróżnieniu od ciebie przeszukałam swoje wspomnienia. Nie ma jej tam. Sprawdzałam. Na okrągło. Nie ma jej tam.

Nie ma jej nigdzie. Nie powinna istnieć! Mimi obnażyła kły, a jej głos przeszedł w wysoki skrzek.

Jack cofnął się o krok.

-Niemożliwe. Nie masz racji, ja ją pamiętam. Ojczy, o czym ona, do cholery, mówi? !

Charles pociągnął kolejny łyk i odchrząknął. Wreszcie odezwał się.

-Twoja siostra mówi prawdę.

-Ale nie rozumiem... - Jack opadł na drugi fotel.

- Schuyler Van Alen nie jest w zasadzie błękitnokrwistą – westchnął Charles.

-Niemożliwe - Jack wzruszył ramionami.

-Jest i nie jest jednocześnie – wyjaśnił Charles. - Narodziła się z powodu *caerimonia osculor*, ze związku pomiędzy wampirem a ludzkim familianem.

- Ale my nie rozmnażamy się... nie mamy możliwości... -protestował Jack.

-Nie możemy się rozmnażać między sobą, to prawda. Nie możemy stwarzać nowego życia, jedynie umieszczamy dusze tych, którzy odeszli, w nowym ciele, drogą sztucznego zapłodnienia. O ile wiem, dzisiaj nawet czerwono krwiści z tego korzystają. Nasze kobiety zaszczepiają w sobie nasienie nieśmiertelnej świadomości, aby mogło oblec się w nową powłokę w kolejnym cyklu ekspresji.

Ale ponieważ czerwono krwiści posiadają zdolność tworzenia życia i powołania do istnienia nowej duszy, krzyżówka naszych ras najwyraźniej nie jest niemożliwa. Mało prawdopodobna, ale nie niemożliwa. Jednakże nigdy wcześniej to się nie zdarzyło. Poczęcie dziecka mieszanej krwi jest pogwałceniem najświętszych spraw naszego rodzaju. Jej matka była zagubioną

i nierozsądną kobietą.

Mimi nalala trochę napoju z karafki do czystego kieliszka z kryształu Baccarata. Upiła łyk. Rothschild Cabernet.

- Powinna zostać zniszczona - syknęła.
- Nie! - poderwał się z miejsca Jack.
- Nie unos się. Nic jej nie grozi - uspokoił go Charles. - Komitet nie podjął jeszcze ostatecznej decyzji, dotyczącej jej losu. Najwyraźniej odziedziczyła wiele po matce, więc obserwujemy ją uważnie.
- Chcecie ją zabić. - Jack ukrył twarz w dłoniach. - Nie pozwolę wam.
- Nie ty będziesz o tym decydować. Popatrz głębiej w swoje wspomnienia, Benjaminie. Powiedz, co widzisz. Poszukaj prawdy wewnątrz siebie.

Jack zamknął oczy. Kiedy tańczyli na balu jesiennym, czuł obecność Schuyler w swoich wspomnieniach, jakby znali się od zawsze. Cofnął się do sali balowej w posiadłości Towarzystwa Amerykańskiego i do wspomnienia Balu Patrycjuszowskiego, do tej nocy, kiedy tańczyli walca Chopina. Jedno z jego najwyraźniejszych i najdroższych wspomnień... to była ona... to nie mógł być nikt inny! Jest! Poczł triumf. Przyjrzał się dokładniej twarzy za wachlarzem. Znajoma, jasna, porcelanowa cera, delikatne rysy, zadarty nosek - i cofnął się - to nie były oczy Schuyler - były zielone, nie niebieskie - to były oczy...

-Jej matki - wymówił na głos Jack, spoglądając na ojca i siostrę.

Charles skinął głową. Jego głos nabral nietypowo ostrego brzmienia.

-Tak. Widziałeś Allegrę Van Alen. Zdumiewające podobieństwo. Allegra zaliczała się do najpotężniejszych z naszego rodzaju.

Jack opuścił głowę. Kiedy tańczyli, przekazał wspomnienie Schuyler, wykorzystując swoje moce, aby napętnić jej zmysły, aby myślała, że także przypomniła sobie przeszłość. Ale Schuyler była nową duszą. To jej matki Jack poszukiwał przez wszystkie stulecia. Dlatego Schuyler

pociągała go od tamtej nocy przed Block 122 - ponieważ jej twarz tak bardzo przypominała tę z jego snów.

A potem spojrział na Mimi. Swoją siostrę. Partnerkę, lepszą połowę, najlepszego przyjaciela i najgorszego wroga. To ona była z nim od samego początku. To jej dłoni szukał w ciemnościach. Była silna, potrafiła przeżyć. Zawsze przy nim trwała. Agrypina i Waleriusz. Elżbieta de Lorraine-Lillebone, kiedy był Ludwikiem Orleańskim. Susannah Fuller i William White.

Mimi ujęła jego dłoń. Byli tak podobni, pochodzili z tego samego mrocznego upadku, z tego samego wygnania, byli ofiarami klątwy, przez którą muszą żyć wiecznie na Ziemi, a jednak są tutaj, razem, po tysiącach lat. Pogładziła jego rękę, a w jej oczach, tak jak w jego, zamigotały łzy.

-Więc co zrobimy? - spytał Jack. - Co się z nią stanie?

-Na razie nic. Czekamy i obserwujemy. Najlepiej jednak, żebyś trzymał się od Schuyler z daleka. Twoja siostra poinformowała mnie też o twoich wątpliwościach dotyczących śmierci Augusty. Mogę z satysfakcją powiedzieć, że jesteśmy coraz bliżej wykrycia sprawcy. Przykro mi, że tak długo wam niczego nie mówiłem. Pozwólcie, że wyjaśnię...

Jack skinął głową, jeszcze mocniej ściskając dłoń siostry.

TRZYDZIEŚCI JEDEN

Następny tydzień minął szybko. Każdego dnia po szkole Schuyler i Oliver przeszukiwali systematycznie Repozytorium, próbując odnaleźć jakieś zapiski lub wzmianki o Croatanie. Przeczesał bazę komputerową,

wpisując każdy możliwy wariant pisowni tego słowa. Ponieważ jednak bazy katalogowe sięgały tylko końca lat 80., musieli także posługiwać się zabytkowym katalogiem kartkowym.

-Potrzebujecie pomocy? – pewnego popołudnia dobiegł ich uszu grobowy głos, kiedy siedzieli razem przy biurku Olivera, ryjąc w stosie starych książek i kartach katalogowych z szufladki "Cr-Cu".

- O, panie Renfield, pozwoli pan, że przedstawię Schuyler Van Alen? - Oliver wstał i skłonił się formalnie.

Schuyler potrząsnęła ręką starszego pana. Dostrzegła wyniosłą twarz arystokraty, ubranego w staroświecki edwardiański płaszcz i aksamitne spodnie. Oliver opowiadał jej o panu Renfieldzie - zauszniku, które zdecydowanie zbyt poważnie traktował swoją pracę. „Od tak dawna służy błękitnokrwistym, że wydaje mu się, że sam jest wampirem. Klasyczny syndrom sztokholmski”, powiedział Olliver— Chyba sobie radzimy - uśmiechnął się nerwowo Oliver. Milcząco założyli, że lepiej będzie nie prosić nikogo z bibliotekarzy o pomoc w poszukiwaniach, intuicyjnie przeczuwając, że to zakazany temat. Jeśli Komitet coś ukrywał, a to coś miało cokolwiek wspólnego z Croatanem, najlepiej było nic nikomu nie mówić.

Renfield podniósł z biurka kartkę papieru, na której Schuyler zanotowała serię słów.

- Croatan? Kroatan? Chroatan? Chroatin? Kruatan? - Szybko odłożył notatkę, jakby sparzyła go w palce.

— Croatan, rozumiem - skinął wyniośle głową.

- To tylko coś, o czym słyszeliśmy. Nic takiego. Szkolne zadanie - powiedział sztucznie naturalnym tonem Oliver.

—Szkolne zadanie. - Renfield przyjrzał się im ponuro. - Oczywiście. Niestety, nigdy nie zetknąłem się z tym słowem, Zechciecie mnie oświecić?

– Przypuszczam, że chodzi o rodzaj sera. Opartego na starej angielskiej recepturze - odparł Oliver z kamienną twarzą.-Podawany na ucztach błękitnokrwistych w szesnastym wieku.

– Ser. Rozumiem.

- Coś jak roquefort albo camembert. Ale ja uważam, że chyba raczej z owczego mleka - ciągnął Oliver. - Albo koziego. Tak, może też być kozie. Albo może podobny w typie do mozarelli. Jak myślisz, Sky?

Wargi Schuyler drgały i wołała nawet nie próbować odpowiadać.

- No cóż, pięknie, pracujcie dalej – powiedział Renfield, zostawiając ich z problemem.

Kiedy oddalił się na bezpieczną odległości Schuyler i Oliver wybuchnęli stłumionym śmiechem.

-Ser! - wyszeptała Schuyler. - Myślałam, że padnie trupem!

Cały miniony tydzień był ponury i dżdżysty. Nagłe ochłodzenie miało jednak również dobre strony. Zarazki opanowały szkołę i część uczniów, w tym Jack Force, była od kilku dni nieobecna. Najwyraźniej nawet wampiry nie odznaczały się odpornością na epidemię grypy. Bliss miała szlaban od czasu imprezy i trzymała się na uboczu, nie odstępując Mimi na krok. Jej wiecznie zły humor dawał się we znaki także Dylanowi.

Zaczął się kolejny, przejmująco zimny i szary dzień, pierwszy znak nadchodzącej zimy. Ot, taka typowa nowojorska szarość - szare budynki szare smogi nad miastem. Zdawać się mogło, że ciemna, wilgotna chmura okryła wszystko jak mokry koc. Kiedy Schuyler pojawiła się przed bramą Duchesne, bura mgła przystaniała zamieszanie przed szkołą. Dziewczyna minęła kilka nowych białych vanów z antenami satelitarnymi; reporterzy wyglądali ubrania, sprawdzali zęby w lusterkach i poprawiali fryzury przed wejściem na wizję. Wszędzie czaili się kamerzyści ze sprzętem na statywach, a także reporterzy i

fotografowie z gazet i magazynów. Tłum był chyba większy, niż w dzień pogrzebu Aggie.

Kilkoro uczniów Duchesne tkwiło przy drzwiach wejściowych, obserwując całą sytuację. Schuyler dojrzała Olvera i dołączyła do niego.

– Co się dzieje? - wysapała. Wyglądał ponuro.

– Coś okropnego. Czuję to.

– Ja też – zgodziła się. - Ale chyba nikt nie zginął?

– Nie wiem. Czekali przy bramie. Z wnętrza budynku dwóch zwalistych policjantów wyprowadziło chłopaka. Niechlujnie ubranego, rozczochranego, w znoszonej, skórzanej kurtce.

– Dylan! Czemu? Co zrobił? - zapytała z przerażeniem Schuyler.

Tłum reporterów i kamerzystów naparł do przodu, zalewając wychodzących światłami fleszy i gradem pytań.

– Jakies komentarze?

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Czy zechcesz powiedzieć coś naszym czytelnikom! Schuyler czuła panikę i przerażenie. Dlaczego zabierali Dylana? I to w tak ostentacyjny sposób? Nie mogła uwierzyć, że szkoła pozwoliła na podobne działania. Wyszukała w tłumie półprzytomną Bliss.

– Schuyler! – W tej chwili Bliss nie pamiętała, że ona i Schuyler w zasadzie nie były przyjaciółkami.

Schuyler chwyciła ją za rękę.

– Dlaczego? Co się stało? Czemu go zabrali? -potrząsała Bliss przy każdym pytaniu.

-Mówią, że to Dylan zabił Aggie - jęknęła Bliss. Starła się nad sobą panować, ale ściągnięte twarze Olivera i Schuyler sprawiły, że nerwy zaczęły jej puszczać. Uczepiła się ich, szukając oparcia.

- Podstuchiłam, jak rozmawiali z dyrektorką. Aggie nie przedawkowała, została zamordowana... uduszona, i znaleźli DNA Dylana pod jej paznokciami... -Nie.

-To musi być pomyłka. - Bliss miała łzy w oczach.

- Bliss, słuchaj - głos Schuyler stwardniał. - Został wrobiony. Dylan nie mógł zabić Aggie. Pamiętasz?

Bliss skoncentrowała się i skinęła głową. Zaczynała rozumieć, o czym mówi Schuyler. -Ponieważ...

- Ponieważ jest człowiekiem, a czerwonokrwisty nie może zabić błękitnokrwistego... Aggie poradziłaby sobie z nim w jednej chwili. To kłamstwo. Aggie była wampirem. Nie ma szans, żeby to Dylan ją zabił.

-Wrobiony.

-Właśnie - potwierdziła Schuyler. Przemakali na wylot w strumieniach ulewnego deszczu, ale żadne z nich tego nie zauważyło.

Bliss popatrzyła ze strachem na Olivera.

-Ale Schuyler, wampiry nie istnieją... - powiedziała głupio.

-A, nie przejmuj się Oliverem. On wie. Jest w porządku, to zausznik. Potem ci wyjaśnię.

Oliver starał się wyglądać jak ktoś odpowiedzialny i godny zaufania. Przypomniawszy sobie, że ma w plecaku parasol, i otworzył go, osłaniając całą trójkę przed deszczem.

- W zeszłym tygodniu Jack powiedział mi, że coś zabija błękitnokrwistych. Dlatego przypuszczam, że Dylan został zrobiony – wyjaśniła Schuyler.

- Czyli jest niewinny. ..-W głosie Bliss pojawiła się nadzieja. -Jasne, że tak. Musimy się dowiedzieć, kto za tym stoi i wyciągnąć Dylana - oznajmiła Schuyler. Bliss skinęła głową.

– Na początek trzeba sprawdzić, co się dzieje. Dlaczego Dylan tak nagle został oskarżony, skoro oficjalna wersja mówiła o przedawkowaniu. Skąd wzięty się te „dowody”? I dlaczego właśnie Dylan?

– Twój ojciec jest senatorem, musi mieć jakieś z policją. Może mógłby pomóc? - podsunął Oliver.

– Zapytam go - obiecała Bliss. Razem weszli przez bramę. Byli już spóźnieni na lekcje.

Później, w porze lunchu, Bliss spotkała się z Oliverem i Schuyler w kafeterii. Jak zwykle siedzieli przy stoliku na końcu sali, chowając się za marmurowym kominkiem.

– Rozmawiałaś z ojcem? - spytała Schuyler.

– Co powiedział? - ponaglił Oliver.

Bliss przyciągnęła sobie krzesło i oparła łokcie na stole. Otarła, oczy i popatrzyła na nich.

– Powiedział, żebym się nie martwiła. Komitet się wszystkim zajmie.

Schuyler i Oliver rozważyli tę informację. – To trochę dziwne - odezwała się wreszcie z namysłem Schuyler. - Bo zebrania Komitetu zostały do odwołania zawieszane.

TRZYDZIEŚCI DWA

Po południu cała szkoła nadal huczała od plotek, a na lekcji etyki pan Orion usiłował uspokoić swoich uczniów.

-Spokój, spokój, proszę - powtarzał. - Wiem, że to barda trudne, ale musimy pamiętać, że w Stanach Zjednoczonych każdy jest niewinny, dopóki sąd nie udowodni mu winy.

Schuyler weszła do klasy i zauważyła, że Jack siedzi na swoim zwykłym miejscu przy oknie.

- Cześć - powiedziała, uśmiechając się nieśmiało, i zajęła krzesło obok niego. Nie mogła zapomnieć, jak ją całował, zupełnie jakby nie było to po raz pierwszy.

Jack wyglądał jeszcze bardziej oszałamiająco niż zwykle. Jego włosy jaśniały bladozłotym blaskiem, ubranie miał wyprasowane, a koszulę dla odmiany porządnie wepchniętą w spodnie. Nosił czarny sweter i złoty zegarek, którego nigdy wcześniej u niego nie widziała. Nie spojrzał na nią.

-Jack ...

- Tak? - zapytał chłodno

Schuyler odrzucił lodowaty ton jego głosu.

- Czy coś się stało? - szepnęła.

Nie odpowiedział.

- Jack, musimy coś zrobić! Aresztowali Dylana, wiesz przecież, że niestuszenie. On jej nie mógł zabić! - szeptała gorączkowo. - Jest człowiekiem. Został wrobiony. Musimy się dowiedzieć, dlaczego.

Jack wyciągnął pióro i zaczął skrobać coś w notesie. Nadal nie patrzył na Schuyler.

- To nie nasza sprawa.

- Nie rozumiem? Jak to nie nasza! Musimy się przecież dowiedzieć, co nas zabija. Czy nie chcesz... nie chciałeś...!

- Zechcesz się podzielić przemyśleniami z resztą klasy, panno Van Alen?

- przerwał im pan Orion.

Schuyler zgarbiła się na krześle.

- Nie, przepraszam.

Przez resztę lekcji Jack siedział w milczeniu, z kamienną twarzą. Nie patrzył na Schuyler i nawet nie przeczytał podsuniętych przez nią karteczek.

Kiedy dzwonek oznajmił koniec lekcji, Schuyler pobiegła za nim.

- Co w ciebie wstąpiło? To twoja siostra? Co się dzieje?

- Nie mieszaj w to Mimi - rzucił ostrym tonem Jack.

- Ale nie rozumiem. W sobotę mówiłeś...

- Plotłem bez sensu. Nie myślę tak naprawdę, przepraszam jeśli cię zawiodłem.

- Dlaczego mnie tak traktujesz? Co się z tobą stało? - zapytała Schuyler prosząco.

Jack zmierzył ją spojrzeniem.

-Naprawdę mi przykro, Schuyler. Popetniłem błąd, nie powinienem był pleść trzy po trzy. Ojciec mi wszystko wyjaśnił. Komitet niczego nie ukrywa. Zbadali okoliczności śmierci Aggie i musimy po prostu zaufać, że robią to, co dla nas najlepsze. Poinformują nas, kiedy cała sprawa zostanie zakończona. Uważam, że powinniśmy po prostu zapomnieć o tym, co się zdarzyło.

-Twój ojciec... twój ojciec ma coś wspólnego z tym wszystkim - oskarżyła go.

Położył jej ciężko rękę na ramieniu, ścisnął mocno, a potem puścił, odsuwając się od niej.

- Daj sobie spokój, Schuyler. Dla twojego i mojego dobra.

-Jack! - zawołała.

Nie obejrzał się. Widziała, jak zszedł na drugie piętro, gdzie Mimi Force wychodziła z klasy. Zobaczyła ich razem, jakby po raz pierwszy

zauważając, że mają identyczne gibkie sylwetki, identyczne kocie ruchy, taki sam wzrost, takie samo umaszczenie. Zobaczyła, że Mimi uśmiecha się na widok Jacka. Kiedy Jack objął siostrę ramieniem w intymnym i czułym geście, coś w sercu Schuyler pękło.

- Co powiedział Jack? - zapytała Bliss, spotykając się z Schuyler i Oliverem na kawie w Starbucks w czasie długiej przerwy.

- Nie pomoże nam - powiedziała głucho Schuyler.

-Czemu?

- Zmienił zdanie. Uznał, że się wtedy pomylił. Kazał mi o wszystkim zapomnieć - systematycznie darta papierową serwetkę na malutkie kawałeczki, aż jej tacka wypełniła się konfetti. - Powiedział, że Komitet wszystko wyjaśni w swoim czasie, musimy tylko być cierpliwi - dodała gorzko.

- Ale co z Dylanem? - gorączkowała się Bliss. -Nie możemy tak po prostu pozwolić, by został skazany za coś czego nie zrobił!

- Nie możemy. Wszystko zależy od nas - oznajmił Oliver

- Tylko my możemy mu teraz pomóc.

TRZYDZIEŚCI TRZY

Policja nie pozwoliła im zobaczyć się z Dylanem. Chcieli go odwiedzić po szkole, ale odbili się od muru stróżów prawa - nikt na posterunku nie chciał nawet przyznać, że ich kolega jest tam przetrzymywany. To był ślepy zaułek. Zabrano mu komórkę i netbooka, więc w żaden sposób nie mogli się skontaktować. Schuyler miała złe przeczucia. To wszystko

zbliżyło ich trójkę - ją, Olivera i Bliss - bardziej niż kiedykolwiek. Następnego dnia Bliss przestała przesiadywać koło Mimi w kafeterii. Zamiast tego spędzała każdą przerwę rozważając, jak pomóc przyjacielowi.

- Jego rodzina jest nadziana. Na pewno załatwili mu jakiegoś super sławnego adwokata, nie? - zapytała Bliss. - Musimy z nimi porozmawiać. Muszę im coś powiedzieć.

- Co takiego? - spytała Schuyler.

- Wczoraj przeprowadziłam własne dochodzenie. Dobra, podstuchiłam, jak mama z kimś o tym rozmawia. Mówiła, że według policji śmierć nastąpiła między dziesiątą a jedenastą wieczorem. Są tego całkowicie pewni. Okoliczności, w jakich znaleziono ciało Aggie, wykluczają inną porę.

- Więc? — odezwał się sceptycznie Oliver.

- Więc Dylan był ze mną od dziesiątej do jedenastej, Byliśmy na zewnątrz, na ulicy, przez cały ten czas, paliliśmy papierosy. Nie ruszył się stamtąd na krok.

- Ani razu? Nawet do łazienki? - spytała Schuyel Bliss potrząsnęła głową.

- Nie, jestem pewna. Kilka razy patrzyłam na zegarek. Bo tego, bałam się, że Mimi zacznie mnie szukać.

- Wiecie, co to znaczy? - zapytał z uśmiechem Oliver. Dziewczęta potrząsnęły głowami.

- To znaczy, że ma alibi jak skąta. Bliss Llewellyn, jesteś niesamowita. Jesteś jego przepustką na wolność. Chodźcie, musimy pogadać z rodzicami Dylana.

Dylan mieszkał w Tribeca, więc po południu pojechali tam rolls-roycem Bliss. Oliver i Schuyler byli pod wrażeniem luksusowego wnętrza.

- Muszę namówić ojca, żeby sprawił nam podobny-zachwycał się Oliver.

- Mamy tylko starego, nudnego lincolna.

Tribeca była dawną dzielnicą przemysłową - pełną brukowanych ulic i starych zabudowań fabrycznych zamienionych w luksusowe apartamentowce.

- To chyba tutaj? - powiedział Oliver, kierując się do budynku na rogu. Zajrzeli do książki adresowej Duchesne. Miał rację. -Nigdy go nie odwiedzaliście? - zdziwiła się Bliss. Oliver i Schuyler potrząsnęli głowami. -Myślałam, że byliście przyjaciółmi.

- Byliśmy - powiedziała Schuyler. - Tylko widzisz... -Nigdy nie zauważyliśmy... - wyjaśnił Oliver. Schuyler westchnęła.

-Zawsze siedzieliśmy u Olivera, bo ma TiVo i Xboksa. Dylan nigdy nie protestował.

- A ty? Jesteś chyba jego dziewczyną, nie byłaś tutaj? - odbił piłeczkę Oliver.

Bliss pokręciła głową. Nie była tak naprawdę jego dziewczyną. Nigdy nie określili, co ich łączy. Spotkali się kilka razy, zamierzała go uczynić swoim familianem i w ogóle, ale po tym, jak zostali przyłapani tamtej nocy, rodzice zabronili jej się z nim widywać. Z jakichś powodów jej rodzice byli przeświadczeni, że cała ta impreza była pomysłem Dylana. BobiAnne nadal aie mogła przeboleć, że manekin Kopciuszka powrócił z New Jersey rozebrany ze swojej sukni. Sprawy nie miały się dobrze w Penthouse des Rêves.

-Dzień dobry, szukamy apartamentu 1520 - powiedziała Schuyler do portiera, kiedy weszli do budynku. W odróżnieniu od klasycznych, imponująco majestatycznych pałacowych wnętrz przy Park Avenue, budynek w Tribecce był nowoczesny i gładki, z ogrodem w stylu Zen i wodospadem w holu. -1520? - zapytał z powątpiewaniem. -Rodzina Wardów - pomogła Bliss. Portier skrzywił się.

– A, prawda. Zajmowali 1520, Ale lokal jest na sprzedaż, wyprowadzili się wczoraj. W pośpiechu.

– Jest pan pewien?

– Całkowicie.

Portier pozwolił im nawet rzucić okiem na apartamenty ogromny, prawie sześćsetmetrowy, i całkowicie pusty, jeśli nie liczyć porzuconego zestawu telewizyjnego. Na ścianach widniały zadrapania od mebli, na podłodze widmowy ślad w kształcie litery L znaczył miejsce po sofie.

– Jest do kupienia za jakieś pięć milionów, jeśli ktoś jest zainteresowany - dodał portier. - Na dole mam kontakt do agenta nieruchomości.

– To nie ma sensu - odezwała się Schuyler. - Dlaczego jego rodzina miałaby się tak szybko wyprowadzać? Nie mieli dość zmartwień z Dylaniem w więzieniu?

Chodzili po pustym apartamencie, jakby próbując wyczuć przyczynę nagiego zniknięcia Wardów.

– Wie pan może, dokąd pojechali? - zapytała Schuyler

– Słyszałem, że wracają do Connecticut. Nie jestem pewien. Portier wyprowadził ich i zamknął za nimi drzwi, Zjechali windą do holu. Bliss wyciągnęła z torby katalog Duchesne, ale podany tam telefon do rodziców Dylana nie odpowiadał Innego numeru nie było.

– Znaliście jego rodziców? - spytała, chowając komórkę. Schuyler i Oliver znowu potrząsnęli głowami.

– Wydaje mi się, że ma brata w college'u - przypomniała sobie Schuyler, czując się coraz bardziej winna, że nie wie nico swoim przyjacielu. Spędzali razem każdy dzień w szkole i wszystkie weekendy. Ale teraz, przyciśnięci, ani Schuyler, ani Oliver nie umieli sobie przypomnieć żadnych dodatkowych informacji na temat Dylana.

-Nie opowiadał o sobie - zauważył Oliven - Był raczej skryty.

-Pewnie nie daliście mu dojść do słowa - uśmiechnęła się Bliss. - Wiecie, kiedy jesteście razem, potraficie zdominować każdą rozmowę.

Schuyler przyjęła jej słowa bez urazy. Rzeczywiście. Ona i Oliver przyjaźnili się od tak dawna i byli tak ze sobą zżyci, że właściwie na cud zakrawało, że Dylan zdołał się do nich przyłączyć, zmieniając duet w trio. Pozwolili mu, przede wszystkim dlatego, bo pochlebiało im, że tak ich polubił, ale też dlatego, że im nie przeszkadzał. Wydawało się, że lubi ich opowieści, ich żarty, i nigdy nie żąda więcej, niż mogliby mu dać.

-Gdybyśmy tylko mogli z nim porozmawiać - westchnęła.

-Gdybyśmy tylko mogli wyjaśnić wszystko policji – dodał w tej samej chwili Oliver

- Co wyjaśnić? - spytała z irytacją Bliss. - Ze nie mógł jej zabić, bo była wampirem, a wampira nic nie może zabić, oprócz, no cóż, jakiegoś dziwnego czegoś, o czym nic nie wiemy, ale tak przy okazji, Dylan jest człowiekiem, więc... No, ciekawe, kto wierzy w coś podobnego?

-Nikt - podsumowała Schuyler.

Stali przed dawnym mieszkaniem Dylana, zmartwieni i sfrustrowani.

TRZYDZIEŚCI CZTERY

Ponieważ w tej chwili nie mogli niczego zrobić dla Dylana, Oliver zaproponował, żeby ponownie odwiedzili Repozytorium w podziemiach The Bank. Po drodze razem z Schuyler wtajemniczyli Bliss we wszystko, co wiedzieli. Musieli szukać dalej. Do tej pory żadna z poszlak nie

doprowadziła do niczego, szczególnie że nie wiedzieli nawet, jak należy pisać słowo Croatan.

- A może poszukamy czegoś o Plymouth? - zaproponował nagle Oliver. - Jak mówiłaś, Jack napomknął, że coś w jego wspomnieniach zostało zablokowane. Coś dotyczącego kolonii w Plymouth.

W Repozytorium było mniej ludzi niż zazwyczaj, więc cała trójka pilnie zajęła się nowym zadaniem. Schuyler znalazła kilka książek historycznych o kolonizacji Plymouth i podróży „Mayflower”, Bliss natrafiła na interesujący dokument, wyliczający poszczególnych pasażerów słynnego statku, natomiast Oliver wygrzebał ogromną, oprawną w skórę księgę, zawierającą dokumenty prawne. Ale nigdzie nie było nawet wzmianki o Croatanie.

- Znowu szukacie sera? - zapytał pan Renfield, przechodząc koło ich stołu.

- Sera? - zapytała zdziwiona Bliss, a Oliver i Schuyler zachichotali.

- Później ci wszystko wyjaśnimy - obiecała Schuyler. Bliss i Schuyler przypomnieli sobie w pewnym momencie, że są umówione z ludźmi od Stitched for Civilization na przeglądanie zdjęć, więc porzuciły Olivera na resztę popołudnia. Reklamy miały pojawić się na billboardach przy Times Square w następnym dniu, a Jonas chciał im pokazać, które ujęcie ostatecznie wybrał. Podczas spotkania zadzwoniła komórka Schuylet.

- To Oliver - powiedziała do Bliss. - Lepiej odbiorę. Przeprosiła na chwilę i wyszła.

- Co się dzieje? - zapytała.

- Wracajcie, chyba coś znalazłem - odparł, wyraźnie ekscytowany.

Kiedy przyjechały do Repozytorium, Oliver z triumfem pokazał im swoje znalezisko. Była to cienka, oprawiona w skórę książeczka.

- Tkwiła wepchnięta tak daleko w głąb półki, że ledwo ją zauważyłem. To pamiętnik kobiety, która była wśród osadników w Plymouth. Patrzcie, co pisze...

Czytali kolejne strony relacjonujące podróż przez ocean, założenie kolonii, wyprawę męża kobiety na wyspę Roanoke, aż do ostatniego, rozpaczliwego wpisu. Litery były niemal nieczytelne, jakby autorka była zbyt przerażona, by pisać wyraźnie.

Ale na stronie widniało to słowo. CROATAN.

- Pojedyncze słowo, napisane na przybitej do drzewa tablicy

- wyrecytował Oliver. - Oni są tutaj. Nie jesteśmy bezpieczni.

- To się już kiedyś zdarzyło - przypomniała Schuyler. - Jack tak mówił. To musiało się zdarzyć wtedy. O tym właśnie ona pisze, tego tak się bali.

- Masz rację. Croatan musi coś znaczyć, skoro się tego bali. To musi być klucz - przytaknął Oliver.

- Croatan - Bliss powtórzyła słowo, które uruchamiało odległy alarm w jej wspomnieniach.

- Kiedyś już o tym słyszałam. - Zmarszczyła brwi. - Ta kobieta pisze o Roanoke. Pamiętacie Roanoke?

- Szczerze, nie jestem najlepsza z historii - usprawiedliwiła się Schuyler.

- Ale było coś ze zniknięciem kolonii, nie?

- Zaginiona Kolonia - potwierdził Oliver. - Nie wiem, czemu wcześniej o tym nie pomyślałem. To była wcześniejsza kolonia, założona kilka lat przed Plymouth. Ale wszyscy jej mieszkańcy zniknęli. Nikt się nie odnalazł.

- Właśnie. Wszyscy przepadli, pamiętacie? Nikt się nigdy nie dowiedział, co się z nimi stało. To jedna z nierozwiązanych zagadek historii amerykańskiej - powiedziała Bliss. - Jak zabójstwo Kennedy'ego.

- To musieli być błękitnokrwieści - stwierdził Oliver.

-I wszyscy zostali zabici. A przynajmniej Catherine Carver tak sądziła - skinęła głową Schuyler. - Jest tam coś jeszcze?

- Tylko jedna strona - Oliver pokazał im ostatnią kartkę pamiętnika. - Coś o jakichś wyborach czy czymś takim. Tutaj

pisze „Zostać czy uciekać? - wiemy, co się stało. Zostali. Błękitookrwisci zostali, inaczej nas by tu nie było. Myles Standish, kimkolwiek jest, musiał wygrać.

- Nie ma nic więcej o Croatanie, Roanoke czy czymś jeszcze? - zapytała Bliss, kartkując pamiętnik.

—Nie. Pamiętnik po prostu się kończy. Jakby wyrwano dalsze kartki i ktoś nie chciał, żebyśmy się o tym dowiedzieli. Ale coś znalazłem. Popatrzcie, tu jest lista osób, które go wypożyczały..

Przyjrzały się pozostałym liście nazwisk błękitnokrwistych, którzy wypożyczaali pamiętnik.

- Większość wpisów jest taka stara, że czytelnicy na pewno już nie żyją. Ale spójrzcie na ostatni.

Schuyler przyjrzała się liście wypożyczeń. Ostatni podpis składał się z trzech liter nakreślonych delikatnym, drobnym pismem. CVA. 24/12/11.

- Ktokolwiek to wypożyczał, zrobił to w 1911, czyli to znaczy, że miałby...

- Ponad sto lat w tej chwili - przerwała Bliss. - Skąd mamy wiedzieć, czy ta osoba nie zakończyła już cyklu?

- To możliwe. Tak czy inaczej, to nasza jedyna wskazówka — uznał Oliver.

- CVA? - zapytała Bliss. - Kim może być CVA!

- CV A - powtórzyła Schuyler. Litery wyglądały znajomo, podobnie jak pająkowate pismo. - To są inicjały mojej babki. CVA. Cordelia Van Alen. I jestem pewna, że to jej pismo.

- Myślisz, że pożyczała tę książkę? Może wie coś więcej? - podchwyciła Bliss.

Schuyler wzruszyła ramionami. -Nie wiem, mogę zapytać.

- Kiedy wraca z Nantucket? - zapytał rzeczowo Oliver.

- Jutro. Mam się z nią spotkać na lunchu w Konserwatorium, prawie zapomniałam - wyznała Schuyler.

-Więc ten cały Croatan jest odpowiedzialny za śmierć Aggie?- spytała Bliss.

- Tak myślę - stwierdził Oliver. - Tylko dalej nie wiemy, czym jest.

-Nawet jeśli się dowiemy, nie pomożemy tym Dylanowi. Nawet jeśli to Croatan zabił Aggie, jak udowodnimy, że Dylan nie jest mordercą? Jak udowodnimy, że został wrobiony? - zapytała Bliss.

- Nie udowodnimy - powiedział Oliver. - Znaczący, wy nie udowodnicie. Ja zobaczę, na ile się przydam.

-Jak to? Tyle już dla nas zrobicie! - zaprotestowała Schuy-let Spojrzała na niego z takim podziwem, że aż się zarumienił.

- Poszukiwania, tak, mogę pomagać w poszukiwaniach, ale niewiele mogę pomóc na właściwym planie.

-Jakim planie? - zaciekawiała się Bliss. W tej chwili Oliver był całkowicie poważny, darując sobie zwykłe żarty.

-Zachowujemy się tak, jakby państwo i prawo mogły nam pomóc. Nie mogą. Musicie myśleć jak błękitnokrwieści. Opierając się na tym, co wiemy, nie przekonamy nikogo do wypuszczenia Dylana. Więc zrobimy coś innego.

-Co?

- Wyciągniemy go siłą.

TRZYDZIEŚCI PIĘĆ

Uroczysty lunch w Konserwatorium Central Parku był jednym z najważniejszych wydarzeń w towarzyskim kalendarzu Cordelii. Odbывał się w sali balowej hotelu Plaza i kiedy Schuyler dotarła na miejsce, trwał już od jakiegoś czasu. Sprawdziła przy stole rejestracyjnym i znalazła swoją babkę siedzącą na honorowym miejscu, otoczoną doskonale zakonserwowanymi luminarzami.

- Moja wnuczka, Schuyler. - Cordelia wyglądała na zadowoloną.

Schuyler cmoknęła babkę w policzek. Zajęła miejsce przy stole, zdejmując program ze swojego krzesła.

Doroczny uroczysty lunch pozwalał zebrać znaczącą sumę na utrzymanie i konserwację parku. Był to jednej z najbardziej pielęgnowanych projektów błękitnokrwistych. To ich pomysłem było sprowadzenie natury do Nowego Jorku, utworzenie w sercu miasta oazy, na podobieństwo Ogrodu, z którego tak dawno temu zostali wygnani. Schuyler rozpoznawała damy i panie z Komitetu przemykające między stolikami i witające gości.

- Cordelio, czym jest Croatan? - zapytała naraz Schuyler przerywając towarzyskie ploteczki.

Przy stoliku zapadła cisza, a kilka dam z uniesionymi brwiami popatrzyło na Schuyler i jej babkę.

Cordelia wzdrygnęła się, słysząc to słowo. Złamała n a pół trzymaną bułeczkę.

- To nie jest odpowiednie miejsce ani czas, młoda damo - powiedziała cicho.

- Wiem, że coś wiesz. Natrafiliśmy na tę nazwę w jednej z książek w Repozytorium. Na karcie wypożyczeń były twoje inicjały Cordelio, ja muszę wiedzieć więcej - szeptała gorączkowo Schuyler.

Na podium burmistrz dziękował zainteresowanym paniom za szczodre dotacje i wysiłki w celu uczynienia Central Parku pięknym i pełnym życia miejscem. Pod osłoną towarzyszącego temu szmerku braw Cordelia upomniała wnuczkę.

- Nie teraz. Odpowiem ci później, ale nie rób mi wstydu przy ludziach.

Przez następną godzinę Schuyler siedziała ponuro, skubiąc kurczaka w ziołach i słuchając kolejnych mówców, rozwodzących się nad nowymi projektami i planami rozwoju parku. Obejrzała też pokaz slajdów z nowej wystawy sztuki i prezentację odrestaurowanej fontanny Bethesda.

W końcu, kiedy otrzymały torby z podarunkami i wraz z Cordelią skryły się bezpiecznie we wnętrzu zabytkowej limuzyny, prowadzonej przez Juliusa, Schuyler mogła otrzymać swoją odpowiedź.

- Więc znaleźliście pamiątnik Catherine Carver. Tak, to były moje inicjały. Chciałam, żeby ktoś je znalazł, ale nie przypuszczałam, że padnie na ciebie - powiedziała z rozbawieniem Cordelia.

- Nie tyle na mnie, co na Olivera Hazard-Perry'ego.

- A, Oliver, prawda. Bardzo przydatny młody człowiek. Z doskonałej rodziny. Oczywiście jak na czerwonokrwistych.

-Nie zmieniaj tematu. Czym jest Croatan?

Cordelia podniosła przegrodę oddzielającą część pasażerską od kierowcy. Ze zmarszczonymi brwiami zwróciła się do Schuyler,

- To, co ci teraz powiem, to zakazana wiedza. Nie wolno nam o tym mówić. Komitet uchwałił, że ma zostać wymazana, Starali się nawet stłumić ją w naszych wspomnieniach.

-Dlaczego? - spytała Schuyler, patrząc przez okno na miasto. Kolejny szary dzień, Manhattan wydawał się zagubiony w lekkiej mgłę, niesamowity i majestatyczny.

-jak już ci mówiłam, czasy się zmieniły. Nasze poczynania tu nie są już takie, jak dawniej. Ludzie u władzy nie wierzą w dawne dzieje. Nawet kobieta, która napisała ten pamiętnik, wypałaby się własnych słów. Byłoby dla niej zbyt niebezpieczne przyznawać się do swoich obaw.

-Skąd wiesz, że tak by się czuła? - zapytała Schuyler.

-Ponieważ ja to pisałam. To mój pamiętnik.

-Byłaś Catherine Carver?

- Tak. Doskonale pamiętam osadę w Plymouth zupełnie jakbym była tam wczoraj. Najpierw ta straszna podróż - wzdrygnęła się. - A po niej jeszcze straszniejsza zima.

- Dlaczego? Co się stało?

Samochód powoli sunął Piątą Aleją. Zła pogoda sprawiła, że tylko nieliczni przechodnie kręcili się między domami torowymi, turyści robili zdjęcia witrynom, a kupujący starali się schronić przed deszczem.

— Kiedy Bóg wygnał Lucyfera i jego anioły z Niebios, wymierzył karę za ich grzechy. Zostaliśmy przeklęci. Mieliśmy prowadzić nieśmiertelne życie na Ziemi, stając się wampirami, których przetrwanie zależy od ludzkiej krwi - wyjaśniła Cordelia.

— Mówili nam o tym na zebraniach Komitetu.

— Ale nie powiedzieli czegoś jeszcze. Czegoś, co zostało wykreślone z oficjalnej historii.

— Dlaczego?

Cordelia nie odpowiedziała. Jej głos stał się monotony, jakby czytała z wyuczonej na pamięć książki.

– W początkach naszej historii Lucyfer i niewielka liczba jego popleczników odłączyli się od reszty. Odrzucili Boga i gardzili swoim wygnaniem. Nie pragnęli odzyskać łaski Pana, Nie uznawali Kodeksu Wampirów.

- Croatan - westchnęła Cordelia. - Starożytne słowo Oznacza srebrną krew.

– Srebrną krew?

- Znasz historię Wygnania.

-Tak.

- Czemu nie? - zapytała Schuyler, kiedy samochód stanął na światłach na Siódmej Alei, pomiędzy drapaczami chmur i biurami firm, których nazwy widniały na fasadach. McGraw-Hill. Simon and Schuster. Time Warner. Ściana monitorów na budynku Morgana Stanleya wyświetlała najnowsze informacje giełdowe.

-Ponieważ nie chcieli być skrępowani żadnym prawem. Byli tak samo uparci i aroganccy na Ziemi, jak wcześniej w Niebie. Lucyfer i Jego towarzysze odkryli, że przeprowadzenie *caeri-monia osculor* na innych wampirach zamiast na ludziach czyni ich potężniejszymi. Jak wiesz, *caerimonia osculor* to wyssanie krwi człowieka przez wampira w celu wzmocnienia się. Kodeks Wampirów zakazuje przeprowadzanie *caerimonia osculor* na błękitnorwistych. Ale to właśnie zrobili Lucyfer i jego wampiry. Zaczęli wypijać krew błękitnokrwistych aż do całkowitego ich unicestwienia.

- Chcesz powiedzieć.

-Tak, dopóki nie wyssali z nich całej siły życiowej. Dopóki nie pożarli błękitnokrwistego wraz ze wszystkimi jego wspomnieniami..

-Ale czemu? I co się stało później?

- Krew tych, którzy pochłaniali siłę życiową błękitnokrwistych, stawała się srebrna. Stali się srebnokrwistymi. Croatan. Obrzydliwość. Ogarniało ich szaleństwo, bo w ich głowach znajdowały się życia wielu wampirów. Mieli siłę tysiąca błękitnokrwistych. Ich pamięć stała się pamięcią wielu. Byli diabłem w przebraniu, diabłem pomiędzy nami, byli wszędzie i nigdzie.

W trakcie tej przemowy przejechały z Szóstej Alei w Siódmą, a otoczenie znowu się zmieniło. Schuyler zobaczyła na rogu Carnegie Hall i ustawionych w kolejce, skulonych pod parasolami ludzi, kupujących bilety.

- Przez tysiące lat srebnokrwieści polowali na błękitnowistych, zabijając ich i pożerając. Złamali Kodeks Wampirów, mieszając się bezpośrednio w sprawy ludzi i zdobywając władzę nad nimi. Byli niepokonani. Ale błękitnokrwieści nie przestawali z nimi walczyć. Nie mieli innej szansy na przetrwanie.

Ostatnia wielka wojna między błękitnokrwistymi i srebnokrwistymi zakończyła się w czasach Imperium Rzymskiego, kiedy błękitnokrwieści zdolali zdetronizować Kaligulę, potężnego i przebiegłego srebnokrwistego wampira. Po jego pokonaniu przez wiele wieków błękitnokrwieści żyli w pokoju w Europie.

- Czemu więc przybyli do Ameryki? - zapytała Schuyler, gdy samochód przyspieszył w Ósmej Alei.

- Ponieważ obawiali się prześladowań religijnych, które rozpoczęły się w siedemnastym wieku. Dlatego w 1620 roku przybyli wraz z purytanami na pokładzie „Mayflower”, aby znaleźć spokój w Nowym Świecie.

- Ale bez powodzenia, prawda? - Schuyler pomyślała o pamiętniku Catherine.

- Prawda — Cordelia przymknęła powieki. - Odkryliśmy, że Roanoke zostało napadnięte. Wszyscy zginęli. Srebrnokrwieści pojawili się także w Nowym Świecie. Ale nie to okazało się najgorsze.

- Dlaczego?

-Ponieważ zabijanie zaczęło się znowu. W Plymouth. Wielu młodych...
Widzisz, błękitnokrwistych można pokonać tylko w ich wieczornych latach, kiedy z człowieka stają się prawdziwymi wampirami. To okres, kiedy nasza rasa jest najstabsza. Nie panujemy jeszcze nad wspomnieniami, nie znamy własnej siły.

Jesteśmy słabi, można nami manipulować i nas kontrolować, mogą nas pożerać srebrnokrwieści. Jechaty West Side Highway, obok lśniącej nowością zabudowań nad rzeką i następnie wzdłuż Riverside Park.

-Niektórzy nie chcieli uwierzyć, że za wszystkim stoją srebrnokrwieści. Nie chcieli uwierzyć w to, co sami widzieli, upierając się, że ci, którzy zostali unicestwieni będą mogli w jakiś sposób powrócić. Okazali się ślepi na niebezpieczeństwo. Raptem zabijanie ustało. Minęły lata i nic się nie wydarzyło. Potem stulecia i nadal nic. Srebrnokrwieści stali się mitem, legendą zmieniającą się w dziwaczną bajkę. Błękitnokrwieści zyskali bogactwa, wpływy i status w Ameryce i z czasem większość z nas całkowicie zapomniała o srebrnokrwistych.

-Ale jak mogli zapomnieć o czymś tak ważnym?

Cordelia westchnęła.

- Staliśmy się beztroscy i uparci. Poza tym, sami woleliśmy o tym zapomnieć. Teraz wszystko, co dotyczyło srebrnokrwistych, zostało wymazane z naszych ksiąg historycznych. Dzisiejsi błękitnokrwieści nie przyjmują do wiadomości, że na świecie może istnieć coś potężniejszego od nich. Próżność nie pozwala im w to uwierzyć. Schuyler z odrazą potrząsnęła głową.

- Ci z nas, którzy ostrzegali i nalegali na zachowanie wiecznej czujności, zostali usunięci z Rady i nie mają żadnej władzy w Komitecie. Nikt już nas nie słucha. Nikt nie słuchał nas d czasów Plymouth. Próbowałam wtedy działać, ale nie byłam wystarczająco potężna, aby przejąć władzę.

- John chciał ich zaalarmować - Schuyler przypomniała sobie słowa z pamiętnika. — Twój mąż.

- Tak, ale nie udało mu się. Myles Standish - znasz go jako Charlesa Force'a — został wybrany zwierzchnikiem Rady Starszych. Od tamtej pory nam przewodzi. Nie wierzy w zagrożenie ze strony Croatanów.

- Nawet kiedy zabijają dzieci?

- Według Charlesa brak wystarczających dowodów.

- Ale Jack powiedział, że cała krew Aggie została wyszana, tak samo jak dwóch wcześniejszych ofiar. Musiały zostać pożarte przez srebrnokrwistego!

Cordelia popatrzyła ponuro.

- Tak, też tak przypuszczam. Ale nikt nie słucha starej kobiety, która straciła swój majątek. Nigdy nie uwierzyłam w to, że srebrnokrwieści całkowicie zniknęli. Zawsze uważałam, że tylko odpoczywają, obserwując i czekając na odpowiednią porę, aby powrócić.

- To musi być to. To jedyne wyjaśnienie! Ale policja aresztowała mojego przyjaciela, Dylana. On tego nie mógł zrobić! Dylan jest człowiekiem. Wczoraj go zabrali - wyrzuciła z siebie z przejęciem Schuyler.

Cordelia sprawiała wrażenie zakłopotanej.

- Wydawało mi się, że oficjalnym wyjaśnieniem miało być przedawkowanie narkotyków. Słyszałam, że tak zdecydował Komitet

- Też próbowali nam to wmówić — teraz z kolei twierdzą, że Aggie została uduszona.

-W pewnym sensie to prawda — zamyśliła się Cordelia.

- Musisz nam pomóc. Jak możemy się dowiedzieć, kim są srebrnokrwieńcy? Dlaczego tu są? Gdzie są? Jak do nich dotrzeć?

- Coś ich przebudziło. I coś ich ochrania. Mogą być każdym z tych, których znamy. Srebrnokrwieńcy potrafią ukrywać się między nami jako błękitnokrwieńcy. Przemiana błękitnokrwistego w srebrnokrwistego zabiera wiele czasu. Przypuszczam, że jakiś potężny srebrnokrwisty powrócił i zaczyna gromadzić towarzyszy.

- Więc co możemy zrobić? - spytała Schuyler, gdy samochód skręcił w ich ulicę.

-Wiesz teraz o srebrnokrwistych. Wiesz przynajmniej, czym są. Możesz się przygotować.

-Posługując się czymś, co odkryła twoja matka. Srebrnokrwieńcy wciąż podlegają prawom niebieskim i świętemu językowi. -Ciąg dalszy Cordelia wyszeptała Schuyler do ucha.

Następnie otworzyła drzwi i wysiadła.

- Nic więcej nie mogę powiedzieć. Już i tak złamałam Kodeks, opowiadając ci tę historię. Jeśli zaś chodzi o przedstawioną przez ciebie kwestię, to przykro mi, ale musisz zwrócić się do Charlesa Force'a. Tylko on może teraz pomóc twojemu przyjacielowi.

-Jak?

TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ

W poniedziałek ponownie odbyło się zebranie Komitetu. Spotkania były przez kilka tygodni zawieszane, a młodszym członkom nie udzielono

żadnych wyjaśnień. Teraz rozpoczęło się już na dobre planowanie Balu Czterystu. Nadał nikt nie wspominał o śmierci Aggie ani o aresztowaniu Dylana. Zamiast tego wszyscy z ożywieniem rozprawiali o bożonarodzeniowym przyjęciu. Bal Czterystu był najbardziej oczekiwanym wydarzeniem roku, najwspanialszym, najfantastyczniejszym i najbardziej ekskluzywnym, ponieważ uczestniczyli w nim wyłącznie błękitnokrwieści. Schuyler przyszła na zebranie tylko po to, żeby sprawdzić, czy nie zdoła przemówić do rozsądku Jackowi, który całkowicie się od niej odciął. Młodszy członkowie Komitetu zostali przydzieleni do różnych zadań, więc Schuyler dołączyła do grupy odpowiedzialnej za zaproszenia, głównie dlatego, że wydawało się, iż mają najmniej roboty. Tak jak przypuszczała, ich jedynym zadaniem było przygotowanie listy, którą mieli zweryfikować starsi członkowie, a następnie podstemplowanie i rozesłanie zaproszeń, które zostały już wybrane, zaprojektowane i wydrukowane.

- Martwię się o Dylana - powiedziała Bliss po spotkaniu, — Gdzie on jest? Policja dalej milczy. A ojciec mówi, żebym się trzymała od całej sprawy z daleka.

—Wiem, też się martwię - skinęła głową Schuyler, a jej spojrzenie powędrowało do Jacka, który rozmawiał z panią Dupont i z Mimi.

— To przegrana sprawa, Schuyler. Znam bliźniaki Force. Trzymają się razem.

— Muszę spróbować - powiedziała z naciskiem Schuyler. Nadal nie mogła uwierzyć, że chłopak, z którym nie tak dawno całowała się namiętnie, teraz ignoruje ją i zachowuje się, jakby nic między nimi nie zaszło. Nie mogła pogodzić obrazu Jacka, opowiadającego jej o swoich snach i zablokowanych wspomnieniach, z Jackiem, który pogodnie

rozważał, czy na nadchodzący bal lepsza będzie orkiestra swingowa czy jazz band.

- Jak chcesz - westchnęła Bliss. - Ale pamiętaj, że cię ostrzegałam.

Schuyler skinęła głową, a kiedy Bliss wyszła, ruszyła w stronę Jacka Force'a.

Na szczęście Mimi także opuściła już sale.

-Jack, musisz mnie wysłuchać - powiedziała, odciągając go na bok. — Proszę.

— Czemu?

- Wiem, co ukrywa Komitet. Wiem, czym jest Croatan.

Zatrzymał się, wbijając w nią spojrzenie.

-Jak to? - Do tej pory unikał jej wzroku, ale teraz patrzył prosto na nią. Policzki Schuyler były zaczerwienione z emocji, wyglądała jeszcze piękniej, niż zapamiętał.

- Babka mi powiedziała - powtórzyła mu wszystko, co Cordelia mówiła o srebrnokrwistych, a także o mordach w Roanoke i Plymouth.

Zmarszczył czoło.

- Nie powinna była. To zastrzeżona wiedza.

- Wiedziateś o tym?

-Zbierałem informacje na własną rękę, ojciec dopowiedział mi resztę. Ale to ślepy zaułek. -Dlaczego? Przecież to najważniejsza wskazówka. Potrząsnął głową.

- Schuyler, naprawdę mi przykro, że namieszałem ci w głowie. Ale odpowiednie osoby zajmują się sprawą śmierci Aggie. Musisz zaufać, że Komitet wie, co robi. Babka powtórzyła ci stare mity. Nie ma czegoś takiego, jak srebrnokrwieści. Nikt nigdy nie udowodnił, że istnieli naprawdę.

- Nie wierzę. Musimy przekonać Komitet, żeby ostrzegli wszystkich. Jeśli mi nie pomożesz, sama to zrobię.

-Nie mogę cię przekonać? – zapytał Jack. Schuyler z determinacją podniosła głowę. -Nie.

Spojrzała na niego krzywo. Zaledwie kilka tygodni temu była zakochana w nim, w jego odwadze i śmiałości. Gdzie był ten chłopak, który nie zamierzał wierzyć w kłamstwa, jakimi karmił ich Komitet? Gdzie on się podział? Kiedy tańczyli na balu jesiennym, myślała, że nigdy w życiu nie była taka szczęśliwa. Ale Jack nie był tym samym chłopakiem, co wtedy. Może nigdy nim nie był.

TRZYDZIEŚCI SIEDEM

Po zebraniu Schuyler opowiedziała Bliss i Oliverowi o wszystkim, czego dowiedziała się od babki na temat srebrnokrwistych, a także o tym, że Charles Force był jedyną osobą, która mogła pomóc Dylanowi. Postanowili, że następnego dnia Schuyler i Bliss wymkną się z trzeciej lekcji, żeby się z nim spotkać. Oliver miał wymyślić jakieś usprawiedliwienie ich nieobecności i wcisnąć je nauczycielowi sztuki.

Zaczaiły się na pana Force'a przed restauracją Four Seasons, gdzie, jak powszechnie było wiadomo, przychodził codziennie na lunch. Restauracja mieściła się w Seagram Building przy Park Avenue i od południa do godziny drugiej stawała się centrum manhattańskiego wszechświata. Magnaci medialni, rekiny finansjery, wydawcy, popularni autorzy i inne sławy uczynili z niej swoją prywatną stołówkę.

- Tam jest - Bliss zauważyła zaczesane, srebrne włosy, gdy ojciec Jacka wysiadał z czarnego lincolna. Rozpoznała go, ponieważ jej ojciec zaprosił Force'ów w pierwszym tygodniu po przybyciu na Manhattan. Trochę się obawiała Charlesa Force'a. Ten mężczyzna patrzył na nią, jakby znał ją na wylot, jakby odczytywał każde sekretne życzenie, ukryte pragnienie. Mocny uścisk jego dłoni zostawił ślad na jej ręce. Force przerażał, ale to nie mogło jej powstrzymać przed znalezieniem pomocy dla Dylana.

Schuyler przyglądała mu się uważnie. Przysięgłaby, że już go widziała. Ale gdzie? Zauważyła w nim coś znajomego, w sposobie, w jaki pochylał głowę. Widywała już tego człowieka, była pewna.

- Panie Force! Panie Force! - zawołała Bliss. Charles spojrzął z zainteresowaniem na stojące przed nim dziewczęta.

- Przepraszam na chwilę - powiedział do swojej towarzyski

- Panie Force, przepraszamy, że przeszkadzamy - zaczęła Bliss. - Ale powiedziano nam, żebyśmy się zwrócili do pana, bo tylko pan może nam pomóc.

- Jesteś córką Forsytha, prawda? - zapytał szorstko Charles. - Co tu robisz w środku dnia? To chyba wbrew przepisom Duchesne? Czy może ostatnio coś zmienili? - Spojrzął na Schuyler.

- I jeszcze ty - nie wymienił jej imienia, ale uniósł brwi- O ile pamiętam, także uczysz się w Duchesne. No cóż, słucham. Czym mogę wam służyć?

Schuyler bez mrugnięcia wytrzymała jego spojrzenie. Patrzyła na niego intensywnie niebieskimi oczami i w końcu to on pierwszy odwrócił wzrok.

- Nasz przyjaciel, Dylan, został oskarżony o morderstwo, którego nie popełnił. Tylko pan może nam pomóc. Pan jest Regisem. Moja babka mówiła...

-Cordelia Van Alen jest naprawdę kłopotliwą osobą. Nigdy nie wybaczyła mi, że zostałem przewodniczącym Rady - mruknął. Machnął ręką do twojej towarzyski, czekającej cierpliwie przy otwartych drzwiach restauracji - Idź pierwsza, zaraz do Ciebie dołączę.

- Nie odejdziemy, dopóki pan nam nie pomoże - powiedziała Bliss drżącym głosem, pragnąc tylko uciec i ukryć się przed tym mężczyzną. Głosy w jej głowie wrzeszczały, żądając, aby trzymała się od niego z daleka. Zbrodniarz ... szeptał głos w jej głowie. Morderca... Czuła głęboką, intensywną odrazę. Miała ochotę wymiotować. Miała ochotę rzucić się pod taksówkę. Chciała stąd zniknąć, uciec dokądkolwiek, gdzieś, gdzie mogłaby schronić się przed jego świdrującym spojrzeniem. Pomyślała, że zaczyna wariować ze strachu. W tym mężczyźnie było coś straszliwego, jakaś dzika i niebezpieczna siła, której powinna unikać.

- Zajęliśmy się Dylanem Wardem. Nie musicie się o niego martwić - Charles Force machnął lekceważąco ręką. - Jest całkowicie bezpieczny. Nic mu nie grozi. Policja popełniła godny pożałowania błąd. Jest wolny. Ojciec powinien był ci o tym powiedzieć, pomagał przy zbieraniu dokumentacji potrzebnej do jego zwolnienia.

Bliss umilkła, zaszokowana. Nie spodziewała się, że sprawa okaże się aż tak prosta. -Jak to?

- Powiedziałem, sprawa została wyjaśniona - oznajmił krótko. - Nie ma się o co martwić, zapewniam was. A teraz wybaczcie, ale jestem już spóźniony na lunch.

Bliss i Schuyler wymienili niepewne spojrzenia.

- A co ze srebrnokrwistymi? Co z tym, co się z nami dzieje?

- Wiemy o Croatanach! - powiedziała oskarżycielsko Schuyler.

- Proszę, oszczędźcie mi żalosnych bajek Cordelii Van Alen. Nie zamierzam rozmawiać na ten temat. Mówiłem to wcześniej i mogę

powtórzyć teraz. Nie ma czegoś takiego jak Croatan - powiedział stanowczo Force. - Proponuję, dziewczęta żebyście wracały do szkoły, gdzie powinnyście teraz przebywać.

TRZYDZIEŚCI OSIEM

Hotel Carlyle przy Madison Avenue był utrzymany w stylu stonowanej elegancji wielkich brytyjskich posiadłości. Należał do tych hoteli, w których luksus szedł w parze z powściągliwością właściwą starym, zamożnym rodom. Nawet klimatyzacja nie przekraczała chłodnych 19 stopni. Kiedy Schuyler była mała, babka przyprawiała ją do Bemelmans Bar, gdzie przychodziła na martini. Cordelia siedziała przy barze, paląc papierosy i sącząc jednego sazeraka za drugim, natomiast Schuyler w milczeniu oglądała bawiące się zwierzęta na freskach i liczyła dumnie wchodzące damy, noszące kapelusze z kwiatami. Później obie udawały się do głównej sali restauracyjnej, aby spałaszować pięciodaniowy obiad, przygotowany według przepisów kuchni francuskiej. W dni, w które Cordelia oznajmiała, że ma „całkowicie dość” domu przy Riverside Drive, wynajmowały w Carlyle na weekend apartament z dwiema sypialniami. Schuyler zamawiała do pokoju truskawki z bitą śmietaną, napełniała wodą jacuzzi i zjadała niekompletny odżywczo posiłek, rozkoszując się bąbelkami.

Tego wieczoru, wchodząc do wyłożonego białym marmurem holu, Schuyler czuła się jak w domu. Wypchnęła z pamięci bolesne myśli

dotyczące Jacka Force'a i upokarzającego spotkania z jego ojcem. Bliss poprosiła ją i Olivera o spotkanie właśnie w tym miejscu, nie wyjaśniając powodów. Oliver czekał już w zacisznym kącie baru.

– Manhattan? - zapytał, wskazując swojego drinka.

– Pewnie - skinęła głową.

Przybył dyskretny kelner, niosąc na srebrnej tacy jej koktajl. Na stole ustawił srebrną miseczkę z gorącymi prażonymi migdałami.

Schuyler wzięła jeden i chrupała z namysłem.

– Rany, mają tu chyba najlepsze przegryzki w mieście!

– Nie ma to jak hotel na Upper East Side. - Oliver pokiwał mądrze głową, biorąc sobie garść. - Powinniśmy opracować przewodnik po przegryzkach w nowojorskich hotelach. Porównując Regency, Carlyle i St. Regis.

– Hmm... W Regency mają świetny wybór. Robią takie malutkie przekąski z groszkiem w wasabi, prażonymi migdałami i jakimś rodzajem pikantnych krakersików - wyliczała Schuyler. Hotel Regency także zaliczał się do ulubionych miejsc Cordelii.

Opróżnili kieliszki i zamówili następną kolejkę. Po kilku minutach do baru weszła Bliss, z włosami jeszcze wilgotnymi po kąpieli. Usiadła obok Schuyler, naprzeciwko Olivera. -Cześć, Dziękuję, że przyszliście.

- Manhattan? -Jasne.

Stuknęli się kieliszkami,

~ Mmmm... Te migdały są pyszne - oznajmiła Bliss, wkładając kilka do ust. Oliver i Schuyler roześmiali się. - Co w tym zabawnego?

- Nic, potem ci wyjaśnię. To nic ważnego - odparła Schuyler. Bliss uniosła brwi. Zachowywali się tak przez cały czas. Żarty dla wtajemniczonych, wspomnienia, którymi się z nią nie dzielili. Zadziwiające, że Dylan znalazł z nimi wspólny język.

- Dobra, co się dzieje? Czemu nas ściągnęłaś? - zapytała

Schuyler. -On tu jest.

- Kto? - zdziwił się Oliver.

- No kto? Dylan — odparła Bliss. Powtórzyła im, czego do wiedziała się od ojca. Dylan został zwolniony z aresztu, ale nie był tak całkowicie wolny, jak przedstawił im Charles Force. Został umieszczony w areszcie domowym w apartamencie w hotelu Carlyle. Sędzia pozwolił Charlesowi Force'owi na wpłacenie za niego kaucji pod warunkiem, że Dylan będzie przebywał pod jego kuratelą. Ojciec Bliss twierdził, że wszystko polega na nieporozumieniu i zarzuty zostaną wkrótce oddalone. Ale Bliss nadal nie mogła zrozumieć, dlaczego Dylan był przetrzymywany w zamknięciu, szczególnie przez Charlesa Force'a.

-Wiem, strasznie długo mnie nie było — powiedziała gładko Schuyler, gestem nakazując przyjaciółom, żeby weszli do wyłożonej lustrami windy.

- Dwunaste piętro? - zapytał dobrodusznie.

- Nie, yyy, tym razem dali nam dziesiąte. Musicie mieć chyba komplet.

- To październik - wyjaśnił. - Mnóstwo turystów. Jakieś wystawy w Metropolitan, czy coś takiego. - Wcisnął „10” i cofnął się, uśmiechając się do Schuyler i jej przyjaciół.

- Dziękuję, panie Marty, do zobaczenia! - pożegnała się Schuyler, kiedy drzwi się otworzyły.

Przeszli korytarzem w stronę pokoju 1001, przed którym nie spotkali żadnych strażników.

- Dziwne - zauważyła Bliss. - Słyszałam, jak tata mówił, że gliny ani na chwilę nie spuszczaają go z oka.

Schuyler miała zamiar zniszczyć zamek, gdy zorientowała się, że drzwi nie są zamknięte. Pchnęła je, otwierając. Obejrzała się przez ramię,

napotykać zdumione spojrzenia Bliss i Olivera. Przyszli tutaj, szykując się do walki, a tymczasem nikt i nic nie stanęło na ich drodze.

Schuyler weszła do pokoju z deptającą jej po piętach Bliss.

- Dylan? - zawołała Bliss.

W przytulnym, wyłożonym dywanem pokoju natknęli się na włączony telewizor. Była też taca z resztkami steku na talerzu, z odłożonym niestarannie na bok srebrnym kloszem. A także nieposłane łóżko i ręczniki na podłodze.

- Jesteś pewna, że to miał być pokój 1001? - zapytała Schuyler.

- Całkowicie - potwierdziła Bliss.

- Co tu się mogło stać? - Oliver rozejrzył się dookoła i podniósł pilota. Wyłączył telewizor. - Nie ma go - głos Bliss zabrzmiał głucho. Przypomniała sobie słowa Charlesa Force'a. Zajęli się nim - cokolwiek to mogło znaczyć. Przebiegł ją dreszcz. Czy przybyli za późno, żeby uratować Dylana?

- Uciekł - skinął głową Oliver.

- Albo ktoś go wypuścił... lub coś go wypuściło - podsunęła Schuyler.

Bliss z nieprzeniknioną twarzą, w milczeniu wpatrywała się w na wpół zjedzony posiłek.

Schuyler współczującym gestem położyła jej rękę na ramieniu.

- Jestem pewna, że gdziekolwiek przebywa, jest cały i zdrowy. Dylan to twardziel - powiedziała do przyjaciółki. - Chodź, weźmy stąd, zanim ktoś uzna, że to myśmy go wypuścili.

Nie było żadnego ostrzeżenia. Schuyler przeklinała swoją dumę. Mogła mieć pretensje tylko do siebie. Oliver chciał jej postawić taksówkę, ale ponieważ wisiła mu już i tak dużo kasy, odmówiła. Zausznik czy nie, nie chciała bezustannie wykorzystywać jego szczodrości. On i Bliss mieszkali o kilka przecznic od hotelu Carlyle, więc powiedziała im, że wróci do domu autobusem. Z linii M72 wysiadła przy rogu Siedemdziesiątej Drugiej i Broadwayu, postanawiając się trochę przejść. Był to spory kawałek drogi, ale uznała, że spacer dobrze jej zrobi.

Na rogu skręciła z jasno oświetlonej alei w mrok, kierując się w górę Riverside. I wtedy coś wyczuła.

Pochwyciło ją w kilka sekund. Poczowała ostre kły przebijające jej skórę i powoli wysysające życiodajną krew. Zachwiała się, łapiąc oddech. Umierała. Miała piętnaście lat, jej życie dopiero się zaczęło, a teraz miała umrzeć. Walczyła, unieruchomiona w żelaznym uścisku. Co gorsza, zgodnie z tym, co mówiła jej babka, miała na swój sposób żyć dalej. Miała żyć w pamięci tej koszmarnej bestii, jako wieczny więzień oszalonej świadomości, Beauty. Gdzie była Beauty? Ogar nie zdąży już jej uratować, Ból stawał się coraz silniejszy, z powodu utraty krwi kręciło jej się w głowie. Ale zanim straciła świadomość, usłyszała krzyk. Walka.

Ktoś stawiał czoła bestii. Srebrnokrwisty wypuścił zdobycz. Odwróciła się, przyciskając ręką szyję, aby zatrzymać krwawienie, chciała zobaczyć, kto ją uratował.

Ujrzała Jacka Force'a, zwartego w walce z potężnym przeciwnikiem. Napastnik był zwalisty i wielki, miał lśniące srebrem włosy i przypominał kształtem człowieka. A Jack z tym walczył.

Wymieniał ciosy jak równy z równym, jednak w końcu srebrnokrwisty przełamał jego atak, ciskając ciałem chłopaka o beton.

-Jack! - wrzasnęła Schuyler. Spojrzała w górę, a gdy bestia skoczyła jej znowu do gardła, przypomniała sobie słowa babki. Prawa niebios mówiły, że każde stworzenie musiało usłuchać świętego języka.

Zatrzymała to coś potężnym rozkazem:

– Aperio oris! Ukaż się!

Srebmokrwisty wybuchnął skrzekliwym śmiechem i zasyczał straszliwym głosem, zdartym od wrzasku agonii tysięcy dusz.

– Nie możesz mi rozkazywać, robaku! Bestia nadal się do niej zbliżała.

– Aperio oris! - krzyknęła znowu Schuyler, tym razem mocniej.

Jack zachwiał się, bo w momencie, kiedy Schuyler wypowiedziała inkantację, święte słowa, których się nauczyła, potwór ukazał im swoją prawdziwą twarz.

Twarz, której Jack nigdy nie mógłby zapomnieć.

Bestia zawyla z wściekłością, wydała skrzekliwy, koszmarny wrzask i zniknęła w ciemnościach nocy.

- Wszystko w porządku? - Schuyler podeszła do Jacka. -Krwawisz.

- To tylko skaleczenie - powiedział, ocierając ciekącą z rany krew, która w świetle stawała się błękitna. - Nic mi nie jest. A ty?

Pomacała szyję. Krwawienie ustało.

- Skąd wiedziałeś? - zapytała.

- Że cię zaatakuję? Już raz to zrobiło, więc wiedziałem, że zrobi to znowu. Mordercy zwykle wracają, żeby dokończyć dzieła.

-Ale czemu...

- Nie chciałem, żeby przeze mnie coś ci się stało - wyjaśnił szorstko Jack.

Czy to wszystko? - pomyślała Schuyler.

- Dziękuję - powiedziała miękko.

- Widziałaś to? — zapytał Jack. - Widziałaś?

- Tak - skinęła głową. - Widziałam.

- To nie może być prawda - potrząsnął głową. - To jakaś sztuczka. Nie wierzę w to.

- To coś musiało ugiąć się przed prawem - wyjaśniła łagodnie Schuyler.

_ Wiem o świętym języku - warknął Jack. - Ale to musi być pomyłka.

- To nie mogła być pomyłka. Takie są prawa stworzenia.

Jack spojrzał na nią ze złością. -Nie!

Potwór pokazał im się na jedną krótką chwilę, zmuszony do postuszeństwa słowami Schuyler. Pokazał im swoją prawdziwą formę. Była to twarz osoby, która kontrolowała Nowy Jork, która w pojedynkę zmusiła miasto, by ugięło się pod jej wolą. Twarz Charlesa Force'a. Jego własnego ojca.

CZTERDZIEŚCI

Schuyler opowiedziała Jackowi wszystko, co poskładała razem, mając nadzieję, że się myli.

- To on. Był tam tej nocy, kiedy zginęła Aggie. Widziałam go w podziemiach The Bank, wychodził z Repozytorium. Teraz sobie przypominam. To znaczy, że był na miejscu zbrodni. To był on, Jack.

Jack potrząsnął głową.

- Przecież go widziałeś. To była twarz twojego ojca.

- Mylisz się. To jakaś iluzja, coś innego - kręcił głową, patrząc na krew na chodniku.

- Postuchaj, Jack, musimy go znaleźć. Moja babka mówiła, że srebrnokrwisci sami nie wiedzą, czym są. Twój ojciec może nawet nie zdawać sobie sprawy, że został opętany.

Jack tym razem się nie sprzeciwił. Położyła mu rękę na ramieniu. - Gdzie on jest?

– Tam, gdzie zawsze. W szpitalu.

– W jakim szpitalu?

– Columbia Presbyterium, nie wiem, gdzie dokładnie. Nie wiem, co on tam robi, tylko tyle, że często kogoś odwiedza -odparł Jack. – Czemu pytasz?

– Chyba wiem, gdzie go znajdziemy - powiedziała Schuyler Kiedy jechali taksówką do szpitala, starała się stłumić niepokój. Gdy przybyli na miejsce, strażnicy żartowali na temat jej „chłopaka”, podając Jackowi plakietkę gościa.

– Kto tam jest? Dokąd idziemy? - pytał, idąc za nią szybko korytarzem.

– Moja matka - odparła Schuyler. - Zobaczysz.

– Twoja matka? Myślałem, że nie żyje.

– Równie dobrze mogłaby nie żyć - powiedziała ponuro Schuyler.

Poprowadziła go przez opustoszałe korytarze do narożnego pokoju. Spojrzała przez szybę w drzwiach i gestem przywołała Jacka.

U stóp łóżka klęczał mężczyzna. Ten sam tajemniczy gość, który przychodził każdej niedzieli, którego Schuyler widziała już w pokoju matki. Więc dlatego na pogrzebie Aggie wydawało jej się, że Charles Force wygląda znajomo. Teraz rozpoznawała zarys jego sylwetki. Był tym mężczyzną, którego widziała w podziemiach The Bank i bestią, która dopiero co ją zaatakowała, Mroczny nieznajomy nie był wcale jej ojcem, tylko srebrnokrwisty stym. Potworem. Poczwała narastającą wściekłość - a

jeśli Charles Force miał coś wspólnego ze stanem jej matki? Co jej zrobił?

- Ojciec - oderwał się Jack, kiedy weszli do pokoju. Zatrzymał się i zapatrzył na twarz kobiety na łóżku. Kobiety z jego snów. Allegry Van Alen.

Charles podniósł wzrok i zobaczył stojących przed sobą Schuyler i Jacka.

- Myślałem, że już to zakończyliście – powiedział, marszcząc brwi na ich widok.

-Gdzie pan był pół godziny temu? – zażądała odpowiedzi Schuyler. -Tutaj.

- Kłamca! - oskarżyła go Schuyler. - CROATAN!

- Czy powinienem się poczuć dotknięty? - Charles uniósł brwi. - Proszę, zniż głos. Okaż trochę respektu dla tego miejsca, jesteśmy w szpitalu, nie na meczu wrestlingu.

- To byłeś ty, ojciec. Widzieliśmy cię - powiedział Jack. Nadal nie mógł uwierzyć w to, że Allegra żyje. Ale dlaczego była w szpitalu?

- O co właściwie mnie oskarżacie?

- Skąd masz te zadrapania? - zapytał oskarżycielsko Jack, zauważając skaleczenia na twarzy ojca.

- Nieznośny pers twojej matki - warknął Charles.

- Nie sądzę - powiedziała drwiąco Schuyler.

- O co wam chodzi? – spytał z naciskiem Charles. – Dlaczego tu przyszliście?

- Zaatakowałeś Schuyler. Powstrzymałem cię. To byłeś ty, widziałem cię... Schuyler wypowiedziała słowa świętego języka, a mój przeciwnik ukazał swoją twarz. To byłeś ty.

- Tak sądzisz?

-Tak.

– Twoja babka ma rację, Schuyler - przyznał Charles rozbawionym tonem. – Zaiste, czasy się zmieniły, skoro własny ma mnie za Obrzydliwość. Tak właśnie mnie nazwałeś, czyż nie, Jack? – zapytał, podciągając mankiet koszuli i pokazując im znak ponad prawym nadgarstkiem. Był to miecz, złoty miecz przeszywający chmurę.

– Co to jest? Czemu pan nam to pokazuje? - spytała Schuyler.

– Znak Archaniota - oznajmił Jack pełnym szacunku głosem. Na moment zapomniał o Allegrze Van Alen i upadł na kolana, chyląc się do stóp ojca.

– Właśnie - twierdził Charles z bladym uśmiechem.

– Co to znaczy? – zapytała Schuyler.

– To znaczy, że mój ojciec jest nie bardziej srebrnokrwisty niż ty czy ja

– wyjaśnił Jack podniesionym głosem. - Znak Archaniota. Nie może zostać podrobiony ani sfalszowany, Mój ojciec to Michał o Czystym Sercu, ten, który dobrowolnie podążył na wygnanie, aby prowadzić nas w naszej wiecznej podróży. – Skłonił się przed ojcem. - Wybacz mi. Straciłem z oczu drogę, ale teraz ją odnalazłem.

– Powstań, mój synu. Nie mam ci czego wybaczać. Schuyler patrzyła pytająco na ojca i syna.

– Ale użyłam świętego języka. Inkantacji, mającej ukazać jego prawdziwą postać.

– Srebrnokrwisci są mistrzami zmiennokształtności - wyjaśnił Charles. - posłuchał twojego rozkazu, ale wcześniej pokazał wam coś, o czym wiedział, że was odrzuci, zaszokuje. Potem pokazał prawdziwą postać, ale tylko na ułamek sekundy.

- Więc jeśli twój ojciec nie jest srebrnokrwistym, to kto nim jest? - zapytała podejrzliwie Schuyler. -I gdzie jest Dylan?

- Bezpieczny, przynajmniej na razie. Ukryty. Nie skrzywdzi już nikogo – powiedział Charles. – Jutro będzie daleko stąd.

- Jak to nie skrzywdzi? - zapytała Schuyler.

- Miał ślady ukąszenia na szyi. Został wykorzystany. Przemieniony.

- W co? O czym pan mówi?

- Dylan jest błękitnokrwistym - wyjaśnił krótko Charles. -A przynajmniej był. Myślałem, że o tym wiecie.

Schuyler potrząsnęła głową. Dylan wampirem? Ale to znaczyło... to znaczyło, że mógł zabić Aggie... To znaczyło, że wszystkie ich przypuszczenia i wnioski nie były prawdziwe. Dylan nie należał do rodzaju ludzkiego. Zatem mógł być winny.

- Ale nigdy nie pojawił się na żadnym zebraniu - zaproponowała słabo Schuyler.

Charles uśmiechnął się.

- Obecność nie jest obowiązkowa. Można uczyć się swojej historii albo zignorować ją. Dylan wybrał wariant drugi, na własne nieszczęście. Srebrnokrwisci atakują głównie tych o słabych umysłach. Przyciągają ich osoby, które są bardziej niż inne podatne, niekompletne. Wyczuli słabość Dylana, dlatego padł ich ofiarą. A potem sam zaczął polować na innych.

- Więc to jednak on. On zabił Aggie?

– Tak, to prawdziwe nieszczęście. Odkryliśmy, że gdy Dylan t został zaatakowany, wysmano z niego niemal całą krew, ale srebrkrwisty nie pożarł go całkowicie, tylko przekształcił w istotę sobie podobną. Aby przetrwać, musiał sam znaleźć ofiarę- wyjaśnił Charles. - Przykro mi.

Schuyler przez moment nie mogła znaleźć słów, Przez cały czas, przez cały czas sądzili, że był ich przyjacielem. Dylan, wampir... gorzej, marionetka srebrnokrwistego. Przerazające.

– Więc srebrnokrwisci istnieją. Przyznaje pan, że powrócili.

– Niczego nie przyznaję - oznajmił wyniośle Charles. - Może istnieje inne wyjaśnienie jego czynów. Możliwe, że działał na własną rękę. To się czasem zdarza. Demencja. Wieczne lata to niepewny czas dla naszego rodzaju. Mógł upozorować ślady ukąszeń. Musimy zbadać najdrobniejszy ślad odpowiednimi środkami. Jeśli nawet został skażony, nadal istnieje szansa ocalenia jego duszy. W tej chwili umieściliśmy go wraz z rodzicami w bezpiecznym miejscu.

– Ale nie może pan tego zrobić, ukrywać wszystkiego. Musi pan ostrzec innych!

– Jesteś taka sama, jak twoja babka - zauważył Charles. -Niezwykła szkoda. Twoja matka nie była tak histeryczna-spojrzał z czułością na Allegrę i zniżył głos. - Rada się tym zajmie. Podejmiemy działania w stosownym czasie.

– Ale w Plymouth nic nie zrobiliście - przemówiła osbrzycielsko Schuyler. - Wszyscy z Roanoke zniknęli, a wy nie zareagowaliście.

– A potem zgony ustały - przypomniał zimno Charles -Gdybyśmy wywołali panikę, gdybyśmy uciekali nadal, jak chcieli tego

twoi dziadkowie, nigdy nie doszlibyśmy do tego, co mamy w tej chwili. Ukrywalibyśmy się przez całą wieczność, obawiając się cienia, który może nawet nie istnieć.

-Ale Aggie... i ta dziewczyna z Connecticut, i chłopak z Choatenie zgadzała się Schuyler. - Co z nimi?

Charles westchnął.

-Nieszczęśliwe wypadki, przyznaję.

Schuyler nie mogła uwierzyć własnym uszom. Mówił tak, jakby ich Śmierć była czymś nieuniknionym.

- Wszystko wyjaśnimy w swoim czasie, zapewniam was -ciągnął Charles. - Wygraliśmy bitwę w Rzymie. Wszyscy srebr-nokrwisci zostali zniszczeni.

- Moja babka mówiła, że jeden z nich przeżył, zdołał ukryć się pomiędzy nami... Że najpotężniejszy srebrnokrwisty może nadal być żywy. - Schuyler obeszła łóżko matki, stając twarzą w twarz z Charlesem.

- Cordelia zawsze to powtarzała. Uparta się, aby w to wierzyć. Myliła się. Byłem podczas walki w świątyni. Słuchajcie mnie oboje, ponieważ nie zamierzam tego powtarzać - posłałem samego Lucyfera w otchłanie piekła - oznajmił Charles.

Schuyler milczała, przytłoczona.

- A teraz zostawmy twoją matkę w spokoju - zdecydował Charles. Znowu przyklęknął, całując chłodną dłoń Allegry.

- Ale jest jeszcze coś - przypomniała sobie Schuyler. - Dylan.

- Tak? - zapytał Charles.

- Gdzie on jest?

- W hotelu Carlyle. Mówiłem ci, jest bezpieczny.

- Nie jest. Nie ma go w Carlyle. Właśnie stamtąd wracam. Zniknął - Schuyler powiedziała im, jak znaleźli włączony telewizor i niedokończony obiad. - Myślę, że to on mnie zaatakował.

Na chwilę zapanowała cisza. Charles popatrzył gniewnie na Schuyler.

- Jeśli to prawda, musimy go odnaleźć. Natychmiast.

CZTERDZIEŚCI JEDEN

Krzyczała, krzyczała tak głośno, jak gdyby nikt nigdy nie miał jej usłyszeć. To znowu koszmarne sen. Ktoś ją chwycił... wyciskał z niej oddech... nie mogła go powstrzymać. .. dławiła się... tonęła... a potem walczyła z przytrzymującą ją siłą, starając się obudzić, zmuszając się do zerwania z łóżka. Musiała otworzyć oczy... musiała zobaczyć... zobaczyła.

Zobaczyła, jak na nią patrzą. Jej rodzice. Ojciec, w narzuconym na piżamę flanelowym szlafroku, macocha - w peniuarze na koszuli nocnej.

- Bliss, kochanie, nic ci nie jest? - zapytał ojciec. Na ten tydzień przyjechał do domu z Waszyngtonu.

- Miałam koszmarne sen. - Bliss usiadła i odrzuciła przykrycie. Położyła rękę na czole, czując promieniujące ze skóry gorąco. Była rozpalona, wstrząsały ją dreszcze.

- Znowu? - zapytała BobiAnne.

- Wyjątkowo paskudny.

— To część dorastania, nie martw się - powiedział pocieszająco jej ojciec. - Pamiętam, że też miewałem okropne koszmary. Przychodzą z dobrodziejstwem inwentarza, tak samo jak zamroczenia. W wieku jakichś piętnastu lat wiele razy budziłem się gdzieś, nie mając pojęcia, co się stało, ani skąd się tam wzięłem - wzruszył ramionami, - To część przemiany.

Bliss skinęła głową, sięgając po szklanekę zimnej wody, którą zaofiarowała jej macocha. Wypiła chciwie. Ojciec wspominał

o tym wcześniej, kiedy po raz pierwszy powiedziała mu o problemach z czasem i zamroczeniach.

— Wszystko w porządku — uspokoiła ich, chociaż czuła się znużona, jakby każdy miesiąc jej ciała był odrętwiały, jakby ktoś ją pobił. Jęknęła.

Pochylali się nad nią z niepokojem.

– Nic mi nie jest, naprawdę. - Bliss zmusiła się do uśmiechu i wypita kolejny łyk wody. - Wracajcie do łóżka. Nic mi nie jest
Ojciec pocałował ją w czoło, a macocha poklepała po ramieniu, po czym oboje opuścili pokój.

Odstawiła szklankę na stolik przy łóżku. I wtedy przypomniała sobie – Dylan.

Pożegnała się z Oliverem i Schuyler w hotelu Carlyle i dołączyła do rodziny na kolacji w DB Bistro. Kiedy wróciła do domu i otworzyła drzwi pokoju, Dylan siedział na jej łóżku, jak gdyby nigdy nic. Dostał się do środka, używając klucza, który mu pożyczyła.

-Dylan!

Był rozpalony i blady. Zdjął kurtkę i mogła zobaczyć, że jego koszulka i dżinsy były podarte. Ciemne włosy opadały w nieładzie, wyglądał na zaszczutego. Przerażonego. W jego oczach krył się strach. Opowiedział Bliss, co się z nim działo - najpierw był przesłuchiwany i przetrzymywany bez formalnego oskarżenia, a potem Charles Force zabrał go do apartamentu hotelowego.

Przez cały czas za nią tęsknił.

- Ale widzisz, myślę, że naprawdę coś zrobiłem. - Jego ręce drżały. - Myślę, że mają rację. Że zabiłem Aggie. Nie jestem pewien, ale chyba coś ze mną jest nie tak.

- Dylan, nie. Niemożliwe. Nie mogłeś - przekonywała Bliss.

- Nie rozumiesz - krzyknął Dylan. - Jestem wampirem. Błękitnokrwistym, jak ty.

Bliss po prostu gapiała się na niego. Nagle wszystko nabrało sensu. Oczywiście, że był jednym z nich, jakimś cudem wiedziała o tym, dlatego tak ją do niego ciągnęło. Bo był taki sam, jak ona.

-Ale coś się ze mną dzieje... Nie wiem, chyba próbowałem zabić Schuyler... Widziałem, jak wychodzi z hotelu i poszedłem za nią. Nie

wiem dlaczego, to po prostu się stało. Zobaczyłem ją na ulicy i... to chyba nie było po raz pierwszy.

- Nie - zaprzeczyła Bliss, nie potrafiąc przyjąć jego stów do wiadomości.
— Przestań. Mówisz od rzeczy.

Dlaczego miałby atakować Schuyler? Chyba że był... że stał się... chyba że został przemieniony w... Przypomniała sobie wieczór po sesji zdjęciowej. Schuyler, chwiejącą się na chodniku, przyciskającą dłonią szyję...

- Postępuj - powiedział Dylan, wstając z łóżka i wkładając kurtkę. - Musisz stąd uciekać. Dostali mnie i będą chcieli dostać też i ciebie. Chcą mieć nas wszystkich. Wróciłem tylko po to, żeby cię ostrzec, ale nie mogę zostać. Ściągnąłbym na ciebie niebezpieczeństwo. Chciałem ci powiedzieć, żebyś uważała. Nie chcę, żeby cię dostali. Musisz się pilnować. Musisz mi uwierzyć. Oni wrócą...

A potem wszystko zniknęło. Tylko tyle pamiętała.

Bliss straciła świadomość. Była sobą i zarazem nie była sobą. Ześlizgnęła się w czasie, trafiając gdzie indziej. Kiedy się obudziła, krzyczała, a przy łóżku stali jej rodzice.

Dylan przyszedł, żeby ją ostrzec - po czym zniknął.

Czuła tępą pustkę, głęboko w kościach rozlewał się ból, jakby została pobita. Weszła do łazienki i zapaliła światło. Wstrzymała oddech, przeglądając się w lustrze - pod kołnierzykiem T-shirta widniał ślad. Czy rodzice niczego nie zauważyli? Odsunęła materiał, żeby się przyjrzeć. Paskudny siniec, ciemnofioletowy i nabrzmiały, jakby ktoś próbował ją udusić. Bolał przy dotknięciu. Co się stało? Gdzie był Dylan?

Odkręciła kran, żeby opłukać twarz i w tym momencie zauważyła odłamki szkła na podłodze. W łazience panował chłód. Odwróciła się do okna. Zastony falowały od wiatru. Szyba była stłuczona — a zrobiono ją

z kuloodpornego szkła, które jej ojciec kazał zamontować po przewodzie, mimo że znajdowali się na najwyższym piętrze trzydziestopiętrowego budynku.

Bliss ostrożnie ominęła odłamki szkła, zauważając coś dziwnego obok grzejnika. Jakiś ciemny, skłębiony kształt. Zastygła, trzymając w rękach motocyklową kurtkę Dylana. Wiedziała, że nigdzie się bez niej nie ruszał, była dla niego jak druga skóra.

Pachniała nim, takim trochę kwaśnym zapachem, mieszaniną dymu papierosowego i płynu po goleniu.

Sprawiła jednak dziwne wrażenie. Bliss obróciła się do światła i wtedy zobaczyła. Podszewka była lepka się od krwi. Ubranie było mokre i ciężkie. Tyle krwi... O Boże...

Wciąż stała, z kurtką w zaciśniętych palcach, kiedy zauważyła w drzwiach łazienki Jordan, małą, milczącą postać w bawełnianej piżamie.

- Przestraszyłaś mnie. Puka się, wiesz? Miałaś do mnie nie włączyć! - rzuciła Bliss.

Młodsza siostra patrzyła na nią, jakby zobaczyła ducha. -Nic ci nie jest?

-Jasne, że nic - warknęła Bliss.

- Słyszałam coś... Słyszałam... niski głos... -Dylan. Mój chłopak. Był u mnie wcześniej.

-Nie, nie jego. Inny - powiedziała Jordan. Trzęsła się gwałtownie i Bliss z zaskoczeniem zauważyła, że jest bliska łez. Nigdy nie widziała siostry w takim stanie.

Bliss podeszła i przytuliła ją, nie wypuszczając kurtki.

-Co słyszałaś? - zapytała, starając się uspokoić drżącą dziewczynkę.

- Ustyszałam łupnięcie... jakby coś ciężkiego spadło... a potem kroki wychodzące z twojego pokoju... jakby coś było wleczone. .. a potem twój

krzyk... Ja... nie wiedziałam, co zrobić... zawołałam mamę i tatę... Ktoś tu był. Ktoś inny.

Albo raczej - coś innego.

I to dopadło... Boże, Dylan... Czy ktokolwiek mógł przeżyć utratę takiej ilości krwi? Poczula przejmujący żal. Dylan najpewniej nie żył. Bestia go zabrała.

Wróciła, aby dokończyć dzieła - dorwać ją, Bliss. Stąd ślad na szyi. Wprawdzie Bliss próbowała walczyć, ale gdyby Jordan niczego nie usłyszała, gdyby rodzice nie przyszli... Poczula dreszcze i gęsią skórę na rękach.

To nie był koszmarny sen - naprawdę walczyła z czymś, co wtargnęło do jej sypialni i chciało ją zabić. Z czymś, przed czym próbował ją ostrzec Dylan. Co Oliver i Schuyler odkryli w Repozytorium. Croatan. Bestia polująca na wampiry.

Srebrnokrwisty. Teraz wszystko stało się jasne. Zbita szyba.

CZTERDZIEŚCI DWA

Force'owie podrzucili ją pod sam dom. Schuyler nadal czuła palący wstyd na myśl o oskarżeniu, jakie rzuciła w twarz ojcu Jacka. Dziwiło ją rycerskie zachowanie Charlesa w drodze powrotnej - jakby jej zarzut wcale go nie dotknął. Miała wrażenie, że spodziewał się podobnego zachowania z jej strony. Ale najwidoczniej Schuyler się pomyliła. Charles Force okazał się Regisem, ich przywódcą, wampirem z wyboru, nie z powodu popełnionego grzechu. Musiała ufać jemu i jego osądom.

- Nie przejmuj się - szepnął jej Jack na pożegnanie.

Skinęła głową w podzięcie i wysiadła z samochodu. Wtedy uświadomiła sobie, że całkowicie zapomniała zapytać Charlesa, dlaczego w ogóle odwiedza jej matkę. Może Cordelia będzie wiedziała.

Już na progu domu Schuyler poczuła coś dziwnego. Hol jak zawsze był pogrążony w ciemnościach, ale wyczuwała coś złowrogiego w powietrzu. Stojak na parasole leżał przewrócony, jakby ktoś zbiegał w pośpiechu po schodach. Cisza wydawała się niemal złowieszcza. Hattie wzięła tydzień wolnego, więc babka powinna być w domu sama. Schuyler pospiesznie weszła po schodach, zauważając, że jeden z obrazów wisi krzywo. Ktoś musiał tu być. Ktoś, kogo się nie spodziewała.

Dylan! A co, jeśli Dylan był w jej domu. Szukał jej, żeby dokończyć dzieła? Poczula przyptyw paniki. Pokój babki znajdował się na końcu korytarza na drugim piętrze. Otworzyła gwałtownie drzwi i wpadła do środka, wołając ją po imieniu:

- Cordelio! Cordelio! Zza łóżka rozległ się jęk.

Schuyler podbiegła, przerażona tym, co może znaleźć. Ale nie zaczęła krzyczeć na widok Cordelii leżącej na podłodze w kałuży krwi – gęstej i niebieskiej - zupełnie jakby przeczuła, co się stanie.

- Odpędziłam to... Ale było potężne... - wyszeptała Cordelia, otwierając oczy i widząc pochylającą się nad nią Schuyler.

- Kto? Kto to był? - pytała gorączkowo Schuyler, pomagając babci usiąść. – Musimy jechać do szpitala.

– Nie, nie ma czasu - sprzeciwiła się Cordelia ledwie słyszalnym głosem.

– Przyszedł po mnie. Croatan. - Wypluła trochę krwi

- Kto? Czy to był Dylan? Widziałaś go? Cordelia potrząsnęła głową.

- Nie widziałam. Zostałam w jednej chwili oślepią. Ale był młody, potężny. Nie widziałam jego twarzy. Odpędziłam to coś. Próbowano, ale nie zdołało dostać mnie ani moich wspomnień. Teraz nadszedł już kres mojego cyklu. Musisz zabrać mnie do doktor Pat. Żeby przechowali moją

kw. Do następnej ekspresji. To ważne. Schuyler skinęła głową ze łzami w oczach. -Co z tobą, babciu?

- Dla mnie cykl się zakończył. Wiele czasu minie, zanim znowu będziemy mogły ze sobą rozmawiać.

Schuyler szybko opowiedziała Cordelii o wydarzeniach w hotelu Carlyle. Zrelacjonowała dokładnie, czego dowiedziała się od Charlesa Force'a o Dylanie, który został ukąszony i przemieniony przez srebrnokrwistego. I który zabił Aggie.

- Ale Dylan zniknął. Uciekł z hotelu. Nikt nie wie, gdzie się podział.

- Najpewniej nie żyje. Zabiją go, zanim zdradzi ich tajemnicę. Zanim błękitnokrwisci go odnajdą. Jest tak, jak się obawiałam - szepnęła Cordelia. - Srebrnokrwisci powrócili... Tylko ty ich możesz pokonać... Twoja matka była z nas najpotężniejsza, a ty jesteś jej córką...

- Moja matka?

- Twoją matką jest Gabriela. Gabriel. Jedna z siódemki archaniołów. Dwoje z nich dobrowolnie udało się na Ziemię wraz z przeklętymi. Aby nas ocalić. Ona była najpotężniejsza. Była bliźniaczką Michała – Charlesa Force'a. Jego jedyną miłością. To ona zdecydowała, że się dla nas poświęci. On podążył za nią z miłości. Opuścił Raj, żeby pozostać z nią.

Więc dlatego Charles odwiedzał jej matkę. Allegra była jego siostrą. Co oznaczało, że on sam był dla Schuyler... wujem? Splątana genealogia błękitnokrwistych wydawała się w tym momencie stanowczo zbyt skomplikowana. Cordelia ciągnęła swoją opowieść:

– Rządzili razem przez tysiące lat. W Egipcie faraonowie poślubiali swoje siostry, podobnie jak cesarze w Rzymie. Ale teraz ta praktyka jest zakazana, więc utrzymujemy ten obyczaj w tajemnicy. Bliźnięta nadal przychodzą na świat w jednej rodzinie, związane krwią, tak jak ja i twój dziadek, ale podmieniamy je, aby w przyszłości mogły się poślubić.

Czerwonokrwieńcy tego nie zauważają. W ten sposób fortuny są zachowywane przez pokolenia w obrębie tych samych rodów.

Schuyler pomyślała o Jacku i Mimi, o łączącej ich dziwnej, intymnej więzi.

– Charles i Allegra byli związani krwią przez całą wieczność. Dopóki ona nie spotkała twojego ojca. Zakochała się w Stephanie i ta miłość stała się jej przekleństwem. Charles w gniewie opuścił rodzinę. Przyjął nowe nazwisko i zerwał z dziedzictwem Van Alenów. Po śmierci twojego ojca Allegra przysięgła, że nigdy nie weźmie familianta, że pozostanie wierna ich miłości. To dlatego się nie budzi, jest zawieszona między życiem a śmiercią. Nie chce wykorzystać czerwono-krwistego, aby utrzymać się przy życiu. Charles mógłby jej pomóc, ale nie zamierza.

– Mój ojciec był człowiekiem?

– Tak. Jesteś jedyna w swoim rodzaju. Jesteś półkrwi. Dimidium cognatus. Musisz uważać na siebie. Chroniłam cię tak długo, jak mogłam. Są tacy, którzy pragną cię zniszczyć.

– Kto? Dlaczego?

- Mówi się, że córka Gabrieli przyniesie nam ocalenie, którego oczekujemy.

-Ja? W jaki sposób?

Cordelia zakasłała. Mocno złapała Schuyler za rękę.

- Musisz znaleźć swojego dziadka... mojego męża... Teddy'ego... to Odwieczny, wampir, który od stuleci zachowuje swoją powłokę. .. Rozdzieliliśmy się dawno temu. Kiedy zostaliśmy wykluczeni z Rady, uznaliśmy, że tak będzie bezpieczniej... Nie ufaliśmy Strażnikom... Sądziliśmy, że ktoś z nich ukrywa Croatana... Teddy zaginął wieki temu... Musisz przeszukać Repozytorium, może znajdziesz jakieś ślady... On ci może pomóc. Spróbuj w Wenecji. Zawsze kochał Włochy. Może tam jest.

Tylko on wie, jak pokonać srebrnokrwistych. Znajdź go i opowiedz, co się wydarzyło.

-Jak poznam mojego dziadka? Cordelia uśmiechnęła się blado.

- Napisał wiele książek. Większość woluminów w naszej bibliotece pochodzi albo z jego prywatnych zbiorów, albo spod jego pióra.

- Kim był? Jak się nazywa?

- Używał wielu imion. To konieczne, gdy żyje się tak długo. Ale kiedy ostatnio się widzieliśmy, nazywał się Lawrence Winslow Van Alen. Przeszukaj plac Świętego Marka.

I Galerię Akademii. Czekaj... Może być także w hotelu Cipriani. Kochał Belliniego z ich zbiorów. Powiedz, że przysłała cię Cordelia.

Schuyler skinęła głową, nie próbując powstrzymać łez. Tak wiele rzeczy musiała ogarnąć – Charles/Michał, Allegra/Gabriel, jej ludzki ojciec, jej nieśmiertelny dziadek. Bez wątpienia miała dziwne i urozmaicone drzewo genealogiczne. A na dodatek była półkrwi człowiekiem, a półkrwi wampirem. Kto jeszcze o tym wiedział? Oliver? Jack? I co to oznaczało? Co oznaczało, że córka Gabrieli ma przynieść błękitnokrwistym ocalenie? Zbyt wiele informacji. Zbyt wielki ciężar. Pragnęła tylko, aby Cordelia przestała krwawić. Jak sobie bez niej poradzi?

Nawet jeśli babka nie miała umrzeć naprawdę - tak czy inaczej opuszczała świat na jakiś czas.

-Babciu- błagała.- Nie odchodź.

- Dbaj o siebie, moja wnuczko - poleciła, biorąc Schuyler za rękę. - Facio vaiiturus farm.

Bądź silna i odważna. Z tym ostatnim błogostawieństwem dusza Cordeto Van Alen przeszła w stan uśpienia.

Na ceremonii pogrzebowej przewidziano wyłącznie stojące miejsca. To niezwykle, jak wiele osób znato Cordelię Van Alen. Kościół Świętego Bartłomieja pękł w szwach i nawet w siódmym dniu pożegnań tłumy nadal przychodziły złożyć kondolencje. Pojawili się gubernator, burmistrz, dwóch nowojorskich senatorów i wiele innych znakomitości. Mimi pomyślała, że panuje tłok co najmniej jak na pogrzebie Jackie Onassis.

W odróżnieniu od pogrzebu Aggie Carondolet, niemal wszyscy obecni byli tym razem ubrani na białą. Nawet jej ojciec zarządził, że cała rodzina ma przywdziać ten właśnie kolor. Mimi wybrała lekko niebieskawą sukienkę Behnaz Sarafpour. Zauważyła witającą gości Schuyler Van Alen w dopasowanej, również białej, sukni. Dwie białe gardenie przytrzymały spięte z tyłu włosy wnuczki Cordelii.

- Dziękuję za przybycie - odezwała się do Force'ów, ściskając kolejno ich dłonie.

- Łączymy się z tobą w smutku. Ona powróci - przemówił uroczyście Charles Force, odziany w kremowy garnitur. Schuyler zachowała dla siebie okoliczności śmierci babki. Uznała, że jeśli w Radzie naprawdę kryje się srebrnokrwisty, najlepiej zrobi, nie zdradzając całej prawdy. Zamiast tego mówiła wszystkim, że Cordelia zmęczyła się ekspresją i pragnęła odpocząć przed następnym cyklem.

- Oczekujemy pomyślnych wiatrów - Schuyler odpowiedziała tradycyjną formułką. Wiele się nauczyła przez ostatnie dwa miesiące.

- Vos vadum revento - szepnął Jack, pochylając głowę przed trumną. Powrócisz.

Mimi skinęła Schuyler głową. Zauważyła Bliss, wchodzącą bocznym wejściem w otoczeniu rodziny. Była ubrana w sukienkę Sarafpour, identyczną z sukienką Mimi. Dziewczyna z Teksasu także się uczyła.

- Cześć, Bliss, może po pogrzebie wpadniemy do spa? Całkiem zdrętwiałam po ostatniej jodze - zaproponowała Mimi.

- Jasne - odparła Bliss. - Zaczekam na ciebie po nabożeństwie. Podeszła do Schuyler, stojącej samotnie przed okazałą, platynową trumną.

- Przykro mi z powodu twojej babki - powiedziała.

- Dziękuję - odparła Schuyler, nie podnosząc głowy.

- Co teraz zamierzasz?

Schuyler wzruszyła ramionami. W testamencie Cordelia ogłosiła Schuyler usamodzielnionym nieletnim, ustanawiając na razie w charakterze jej opiekunów Hattie i Juliusa.

- Poradzę sobie. - Powodzenia. Schuyler patrzyła, jak Bliss odchodzi, trzymając się tuż obok Mimi. Poprzedniego dnia Bliss opowiedziała jej o tamtej nocy, o tym, co się zdarzyło, gdy wróciła z hotelu Carlyle. Że znalazła Dylana w swoim pokoju, że przyznał się do winy. I że straciła przytomność, a kiedy się obudziła, znalazła stłuczoną szybę i poplamioną krwią kurtkę.

- Był wampirem, a teraz nie żyje - powtarzała ze łzami w oczach.

Nie można stwierdzić, że nie żyje. To stan znacznie gorszy od śmierci, pomyślała Schuyler. Cordelia powiedziała jej, że kiedy srebrnokrwisci wysysają błękitnokrwistych, przywłaszczają sobie ich dusze, wspomnienia, czyniąc ich w ten sposób na wieczność więźniami swojej nieśmiertelnej świadomości.

- Złapali go, ale chcieli dopaść także mnie - chlipnęła Bliss. - Przyszedł tylko po to, żeby mnie ostrzec. Zamienili go w jednego ze swoich, ale nie poddawał się, walczył. A teraz go nie ma, już nigdy go nie zobaczę.

Schuyler przytuliła ją mocno.

- Przynajmniej ty jesteś bezpieczna.

Serce jej się krajało z powodu Bliss. Chciała powiedzieć przyjaciółce, że zawsze będzie mogła na nią liczyć. Ale już następnego dnia wszystko wskazywało na to, że Teksanka całkowicie zmieniła front. Odmówiła rozmowy z Schuyler i Oliverem o tym, co się stało, i dołączyła do starego kręgu znajomych - czyli do towarzystwa Mimi Force.

Schuyler miała nadzieję, że uda im się kiedyś zostać przyjaciółkami. W głębi duszy rozumiała słabość Bliss, ale liczyła, że pewnego dnia pomoże jej odnaleźć wewnętrzną siłę. Vaiiturus. Fornis.

Oliver podszedł, kładąc pęk białych kalii na trumnie. Miał na sobie olśniewająco biały, trzyczęściowy garnitur, a jego ciemnokasztanowe włosy zawijały się nad kołnierzykiem.

- Będzie nam jej brakowało. - Przeżegnał się.

— Dziękuję - powiedziała, pozwalając pocałować się w policzek.

Nabożeństwo się zaczęło, chór odśpiewał ulubioną pieśń Cordelii „Na skrzydłach orła”. Schuyler siedziała w pierwszej ławce, z rękami złożonymi na kolanach. Cordelia odeszła. Jedyna osoba z rodziny, jaką naprawdę знаła. Została na świecie sama. Jej matka trwała uwięziona w śmiertelnym śnie, jej dziadek zaginął, ukrywając się nie wiadomo gdzie.

Oliver współczująco ścisnął jej palce.

Po pogrzebie do Schuyler podszedł Jack Force. On także miał na sobie biały, lśniący w słońcu garnitur. Wyszli na ruchliwą Park Avenue, gdzie trwała po prostu kolejna niedziela w Nowym Jorku. Matki i niańki popychały warte osiemset dolarów wózki w stronę parku, eleganccy

mieszkańcy okolicznych domów spieszyli na jesienny spacer lub popołudniową wizytę w muzeum.

– Schuyler, można na moment?

- Pewnie - wzruszyła ramionami.

Jack Force wyglądał jak księżę, z jasnymi włosami i zielonymi oczami, w jaśniejącym stroju. Miał twarz anioła. Tak bardzo przypominał swojego ojca...

- Słucham - powiedziała.

- Słuchaj, przykro mi, że tak z nami wyszło... - odezwał się. -Ja... Moje życie nie zależy tylko ode mnie... Mam obowiązki rodzinne, które... które uniemożliwiają taki rodzaj związku, jak...

- Jack, nie musisz się tłumaczyć – przerwała mu Schuyler. Mogła się domyślić, że chodziło o niego i Mimi. Złączeni krwią od dnia stworzenia.

-Nie?

- Ty masz swoje zobowiązania, ja też mam swoje. Wyglądał na zakłopotanego.

-Jakie?

Pomyślała o Dylanie, chłopaku o smutnych oczach, ze złośliwym poczuciem humoru i marną reputacją. O swoim przyjacielu. Został przemieniony w potwora. Wykorzystany i zabity. Przypomniała sobie, co Cordelia mówiła o srebrnokrwistych - przebiegłych, podstępnych i zwodniczych - i o tym, że jej babka wierzyła, iż najpotężniejszy z nich kryje się, udając błękitnokrwistego. Ale nikt nie chciał wierzyć w ich istnienie, w to, że mogli powrócić. Nawet jeśli Aggie umarła naprawdę. A teraz Dylan. Charles Force zamierzał obserwować, czekać i niczego nie robić. Ale Schuyler nie chciała czekać. Nie mogła już nic zrobić dla Aggie, ale mogła dowiedzieć się, kto przemienił Dy-lana. Mogła wytropić srebrnokrwistego. Pomścić przyjaciela.

- Nie utrudniaj sobie życia, Schuyler - ostrzegł ją Jack. Uśmiechnęła się tylko.

- Żegnaj, Jack.

Oliver zmaterializował się niespodziewanie. Niesamowite, zawsze pojawiał się właśnie wtedy, kiedy Schuylet najbardziej go potrzebowała.

_ Schuyler? Samochód czeka - oznajmił.

Wzięła go pod ramię i pozwoliła, żeby zaprowadził ją do samochodu. Miała Olivera. Nigdy nie będzie sama.

CZTERDZIEŚCI CZTERY

Billboard kampanii Stitched for Civilization, największy, jaki pojawił się kiedykolwiek w mieście, górował nad Times Square. Fotografia była niezwykła. Ukazywała dwa splecione kobiece ciała, ubrane wyłącznie w dżinsy, ale tylko jedna modelka patrzyła prosto w obiektyw. Schuylen Twarz Bliss zastaniały rude włosy.

Schuyler przyjrzała się sobie i wybuchnęła śmiechem. Oliver pstryknął komórką zdjęcie Schuyler, pokazującej na przedstawiający ją plakat i chichoczącej.

- Wyglądasz całkiem nieźle, jak na dwadzieścia metrów wzrostu - stwierdził.

Schuyler przyjrzała się twarzy na billboardzie. Twarzy swojej matki. Nie, to była jej własna twarz. Miała rysy matki, ale oczy ojca. Była wampirem, ale w jakiejś części także człowiekiem. Poczwała się dumna z tego zdjęcia. A potem zauważyła billboard naprzeciwko.

Reklamował Force News Network, FNN, a zdjęcie przedstawiało Mimi Force w obcisłym białym T-shircie z logo kanału.

FORCE NEWS. UCZCIWIE, BEZSTRONNIE, NAJSZYBCIEJ,

- Patrz - odezwał się do Oliviera, wskazując plakat.

Więc Mimi jednak usłyszała o kampanii Stitched for Civilization. I postarała się ją przyćmić, także załatwiając sobie billboard. Tylko ona miała prawo władać na Times Square.

Minęli kiosk z gazetami, Oliver kupił „Post”.

UCZEŃ PRYWATNEGO LICEUM ZNALEZIONY MARTWY - trąbił nagłówek.

Schuyler prześlizgnęła się wzrokiem po artykule. Znała chłopaka ze spotkań Komitetu. Landon Schlessinger był błękitnokrwistym. Nie mogła tracić czasu. Srebrnokrwisci powrócili. Byli znowu tu, w Nowym Jorku. Ukrywali się pod postacią błękitno-krwistych, łamiąc prawa ich społeczności, polując na młodych w okresie, kiedy są najslabsi. A błękitnokrwisci po prostu na to pozwalali

Dość tego. Zwinęła gazetę i wepchnęła ją pod pachę.

- Ollie, co powiesz na weekend w Wenecji? - zapytała.

Uwagi do tekstu:

Książka opisuje wydarzenia fikcyjne, ale akcja rozgrywa się w prawdziwym miejscu - w Nowym Jorku. Pozwoliłam sobie jednak na pewne odstępstwa od rzeczywistości. Posiadłość Towarzystwa Amerykańskiego jest wzorowana na budynku Towarzystwa Amerykańskiego przy rogu Park

Avenue i Wschodniej Sześćdziesiątej Ósmej. Towarzystwo Amerykańskie zajmuje się propagowaniem i poszerzaniem wiedzy na temat kultury i polityki półkuli zachodniej (w tym także Ameryki Południowej), podczas gdy działalność mojego fikcyjnego Towarzystwa Amerykańskiego jest poświęcona historii wczesnej kolonizacji Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Zaginiona kolonia na wyspie Roanoke istniała naprawdę. Została założona w 1587 roku i znaleziona, całkowicie opuszczona, w roku 1590. Jedynym śladem był znak z wyrytym słowem „Croatan”.